

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II / 181

1962



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Z. HAUPT: **PIERŚCIEŃ Z PAPIERU**
Zb. GRABOWSKI: **NOTATKI Z CZASÓW
WOJNY**
K. WIERZYŃSKI: **ZAPROSZENIE DO PRZED-
PŁATY NA PISMA JÓZEFA WITTLINA**

SPIS RZECZY

Kazimierz Wierzyński:	<i>Orfeusz w piekle XX wieku ..</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z zeszytu lektury</i>	5
Wacław Iwaniuk:	<i>Notatnik poetycki (dok.)</i>	17
Paweł Zaremba:	<i>Kilka uwag o historii</i>	27
Zygmunt Haupt:	<i>Pierścień z papieru</i>	36

WERSZE

Jan Rostworowski:	<i>Brat kamień</i>	41
Jan Niemojowski:	<i>Poezja południowo-amerykańska ..</i>	42

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Rozmowa z Anonimem</i>	51
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	61

KRAJ

(x y z):	<i>Od Kępcza do Jaszuńskiego</i>	69
----------	---------------------------------------	----

SĄSIEDZI

S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	77
Berlińczyk:	<i>Gomułka u Ulbrichta</i>	82
Franciszka Toruńczyk:	<i>Na czerwonej Riwierze</i>	85

SPRAWY I TROSKI

Wacław Soroka:	<i>Książka Polska w St. Zjednoczo- nych</i>	95
Andrzej Chciuk:	<i>Jak jest z tą świecą?</i>	109

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Zbigniew Grabowski:	<i>Notatki z czasów wojny</i>	115
---------------------	-------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew Jordan:	<i>Kongres socjologów w Waszyng- tonie</i>	137
------------------	--	-----

KSIAŻKI

Teresa Snore:	<i>„Tematy” zasmuające</i>	142
Tymon Terlecki:	<i>Polski rewolucjonizm szlachecki</i>	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	150



J. G. Görlich, St. Horak, St. Kunce, A. Rawicz-Szczerbo, B. Szubska, Wł. Żbik-Koła- ciński:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad – Novembre 1962

INSTYTUT



LITERACKI

PRZEDPŁATA NA PISMA JÓZEFA WITTLINA

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że na skutek nalegań naszych przedstawicieli z zamorskich krajów zdecydowaliśmy się przedłużyć termin przedpłaty na „Orfeusza w piekle XX wieku” do końca stycznia 1963.

Książka zawierać będzie wykaz imienny subskrybentów i ukazać się nieodwołalnie w lutym 1963.

DARY DO BIBLIOTEKI „KULTURY”

Dziękujemy niżej wymienionym za nadesłane nam druki:

Tadeusz Rudnicki (Paryż) — 8 rzadkich druków;

Tadeusz Święcicki (Paryż) — po raz drugi 15 egz. pism i druków;

Cz. Tarnowski (Quackenbruck) — po raz drugi — dwie książki

Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki (Sarcelles, S.-et-O.)

— 14 książek i druków.

NOTA BIOGRAFICZNA

Izaak A. LANGNAS. Ur. w r. 1911 w Łodzi. Studia w Antwerpii i Londynie. W okresie wojny pracował w BBC i w agencji Reutersa jako dziennikarz i tłumacz. Od r. 1949 w Stanach Zjednoczonych. Wykłada w nowojorskiej New School. Obecnie pracuje nad książką o Europie.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Walter J. Chałupnik, Hodges Gardens, Many, La (USA) ..	29,40 NF
Nina Sereda, Montreal (Kanada) — zamiast kwiatów na trumnę zmarłego Franciszka Partyki, długoletniego działacza pol- nijnego na terenie Montrealu (po raz 8-my)	22,50 „
Dł W.K. Włodkowski, Toronto, Ont. (Kanada)	73,00 „

DZIEKUJEMY

Do wykazu wpłat zamieszczonego w nrze 10/180 wkraśl się błąd korektorski. Dar w kwocie NF 11,50 wpłacił p. Edward Podoski z Montrealu, nie zaś Edward Pomorski. Ofiarodawcę najserdeczniej przepraszamy.

WPLĄTY NA NAGROBEK DLA A. BOBKOWSKIEGO

Adam Schmidt, Waszyngton	19,60 NF
--------------------------------	----------

Orfeusz w piekle XX wieku

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

Elektryzująca wiadomość: Wittlin wydaje książkę „Orfeusz w piekle XX-go wieku”. Po długich latach milczenia, przy słynnym lakonizmie pisarskim — 600 stron, które obejmą wybór esejów, szkiców o literaturze i teatrze, listów z podróży do Włoch, Francji i Jugostawii, wspomnień, odczytów, polemik. Blisko 100 tytułów, dwie książki w całości: „Etapy” i arcydzieło „Mój Lwów”, w sumie rzeczy pisane na przestrzeni 39-ciu lat. Coś jak niezamierzony pamiętnik nowego „nieśpiesznego przechodnia”, który ogląda się wstecz, na całe swoje życie.

Będzie tam wszystko cośmy zapamiętali i cośmy zapomnieli z dorobku zebranego na bocznym torze pracy poety i powieściopisarza. Niezatarłe „wspomnienia byłego pacyfisty”, pochwała Paryża i Assyżu, Poe i Gogol, przyjaciel Wittlina Joseph Roth, rodem z Brodów, wielu innych współczesnych pisarzy francuskich, niemieckich i rosyjskich, a także Tuwim, Lechoń i Gombrowicz, notatki z wielkiej, ciągnącej się przez całe życie pracy nad przekładem „Odysei” — wszystko to raz jeszcze staje przy nas zapisane w żywej pamięci, tuż obok impresji moralistycznych, religijnych, podróżniczych, które ocknięte w głębi przypomnienia olśniewają nas jak gdyby czytane po raz pierwszy.

Książka ta nie jest bynajmniej lamusem drobniaków pisarskich. Jest zaproszeniem do codziennej pracowni pisarza, który spędził w niej prawie połowę stulecia. Rozlega się stamtąd widok szeroki i przejmujący. Widok na całą naszą epokę, na czasy pogardy i czasy zbrodni. Na poszarpaną wiarę, pogaszone miłości, rozwiane nadzieje, trudne i skąpe szczęście.

Przez taki pejzaż podąża poeta XX-go wieku, Orfeusz rozbiitek, skazany na zejście do piekieł. Ale nie jest to, jakby się zdawało, wędrowiec bezsilny. Przeciw pogardzie i zbrodni broni się

sztuką, przeciw grotesce człowieka ironią i szyderstwem, przeciw hańbiącemu istnieniu religii. W pewnym sensie jest to Orfeusz z tarczą i na tarczy.

Od pierwszej swojej książki, od „Hymnów”, zarezerwował dla siebie Wittlin własne miejsce w literaturze. Przytączył się do eschatologów moralności, do rodziny ludzi urzeczonych dobrem i złem, do prądu który przez wieki, od Dantego do Tołstoja, przenikał świat sztuki i szukał zrozumienia duszy rozdartej przez te dwa przeciwieństwa. Gdy nasza epoka zajęła się czym innym, gdy pochłonęła nas uzurpacja władzy nad naszym życiem przez historię, gdy oślepiła nas noc panująca w nas samych, Wittlin pozostał u źródła spraw ludzkich. Wierny swej pierwotnej idei, badał ją jako to zasada rozdziela człowieka na jasność i ciemność, i przyjął regułę podyktowaną mu przez wiedzę mistyczną. Była to reguła boska.

Aby z tej mistycznej, wypełniającej „Hymny” wysokości zejść w dół, między ludzi, Wittlin powołał do życia Piotra Niewiadomskiego, bohatera „Soli ziemi”. Umieścił go tak blisko ziemi, że Niewiadomski niewiele od niej odstaje, jak trawa lub owad. W tym ludzkim mikrokosmosie ulokował Wittlin swoje współczucie dla ludzkiej niedoli. Piękna ta powieść jest obroną Niewiadomskiego, w którym zostało najmniej co mogło zostać z człowieka, i właśnie tego minimum człowieczeństwa broni Wittlin przeciw wszystkim potęgom świata, niby odwróconego ku prawdzie porządku wartości moralnych.

„Orfeusz w piekle XX-go wieku” będzie zarówno komentarzem do głównych idei Wittlina jak i samodzielnym ich wyrazem. Będzie też zarysem dziejów wewnętrznych poety i myśliciela, ukáže nam jego postawę w różnych formach rozwojowych i w różnych okolicznościach. Stąd pewien intymny ton książki i szczególnie zbliżenie z autorem.

Jako pisarz, Wittlin zapewnia czytelnikowi istną rozkosz. Służy mu słowo dokładne, dobrane skrupulatnie, położone po rozważeniu. Ma ono swoją ostrość i zjadliwość i ma także czułość i humor. Myśl podana jest jasno, zrozumiale i niedwuznacznie, a przede wszystkim doprowadzona do końca, co nie za często zdarza się u nas i to najlepszym piórom. Nawet najnamiętniejsze i sporne sprawy wyrażone są z wykwintem pisarskim, bogata erudycja ujawnia się nie błażliwie, wszystko nacechowane jest niezwykłą inteligencją.

Taką książkę zapowiada „Kultura” i zaprasza czytelników do przedpłaty. Zapowiedź elektryzująca. Zaproszenie nie do odmowy.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Z zeszytu lektury

Kronikarz piekła

Nazajutrz po klęsce wrześniowej Ludwik Landau, ekonomista i badacz zagadnień społecznych, rozpoczął pisanie dziennika. Urodzony w roku 1901, Landau był między wojnami urzędnikiem Głównego Urzędu Statystycznego i Instytutu Badania Konunktury. Ogłosił szereg prac z zakresu swych studiów. Z przekonania socjalista, nie szczędził wolnego czasu na współpracę z takimi organizacjami jak Centralna Komisja Związków Zawodowych, Instytut Oświaty Pracowniczej, Związek Nauczycielstwa Polskiego, Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

Być może jego umysł, przywykły od lat do codziennego obcowania z faktami i cyframi, nie był w stanie znieść obawy że przepłynie niezarejestrowana przez nikogo fala „nowego materiału” życia pod okupacją niemiecką; i projekt dziennika nasunął mu się spontanicznie, jako jedyne w tych okolicznościach rozwiązanie. Albo że do chwycenia za pióro skłoniła go potrzeba stworzenia sobie surogatu sparaliżowanej przez wojnę działalności naukowej, próba ochrony własnych talentów przed zardzewieniem w przymusowej bezczynności. Nie wolno też wykluczać i takiej hipotezy, że uległ po prostu modnej podówczas manii „memorialistycznej”, która pokonanym i poniżanym miała przywrócić poczucie godności osobistej i narodowej, analizę „wczoraj” i „dzisiaj” podnosząc do roli terapii w imię „jutra”.

Wszystko to jest możliwe, a nawet prawdopodobne. Ale w miarę posuwania się w głąb ośmiuset stronic pierwszego tomu jego ogromnego przedsięwzięcia (*Kronika lat wojny i okupacji*, Wrzesień 1939 — Listopad 1940, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1962) staje się coraz bardziej jasne ile słuszności mieli redaktorzy odnalezionego manuskryptu, nadając mu właśnie miano *kroniki*. Pisywano w owych latach w kraju prawie nałogowo wspomnienia, pamiętniki, sprawozdania, raporty, memoriały, świadectwa naocznych świadków, zawsze jednak z

odcieniem mniej lub więcej personalnym, z naciskiem na własne przeżycia wplecione w obraz wypadków; i była to „mała historia”, seria płytek odgrzebywanych pośpiesznie z gruzów pamięci z myślą o przyszłej rekonstrukcji całości. Landau, wiedziony intuicją czy zmysłem doświadczonego czytelnika, musiał chyba zrozumieć od pierwszej chwili że pewne rozdziały „czarnej historii” ludzkości — kataklizmy, zarazy, eksterminacje, barbarzyńskie podboje, ludobójstwa — może odtworzyć tylko kronikarz: anonimowy, niemal średniowieczny w swej pracowitej metodyczności, absolutnie bezosobisty, o głosie wyzuty całkowicie z jakichkolwiek „podtonów” i drgnień sentymentalnych, skrupulatny a nawet drobnostkowy, jednostajny do tego stopnia że wydaje się nie człowiekiem z krwi i kości, lecz ręką poruszaną przez tłum bez twarzy, igłą w sejsmografie. Kto wie, może znał arcydzieło tego gatunku pisarskiego, *Journal of the Plague Year* Daniela Defoe (arcydzieło, choć dla autora *Moll Flanders* było jedynie chwytem literackim: Defoe miał w czasie wielkiej dżumy londyńskiej z roku 1665 zaledwie pięć lat, a jego *Journal* uważano długo za autentyczny dziennik, ocalały cudem z pożaru w roku 1666 i przez 57 lat porzucony w jakiejś piwnicy). Może zdawał sobie sprawę, że potężna wizja pisarza angielskiego czerpała całą swą siłę z beznamietnego odnotowywania dzień po dniu nazw ulic dotkniętych zarazą i ilości trupów wywożonych do zbiorowych grobów, aby na ostatniej dopiero stronie pozwolić sobie na jedno jedyne, jakby mimochodem rzucone zdanie w tonacji osobistej o „wytrwałości natury ludzkiej”. Zresztą także autor *Zapisków z ghetta warszawskiego*, Emanuel Ringelblum, poszedł (nie wiadomo czy świadomie) w ślady Defoe’go. Jego nota z 22 lipca 1941 brzmi, na przykład, tak:

„Lato uniosło w tym roku słońce tak wysoko jak tylko było można. Jest gorąco. Śmierć stała się zjawiskiem pospolitym. W uboższych częściach ghetta zwłoki zmarłych na tyfus wynosi się nocą na ulicę, a nazajutrz zabierają je furgony towarzystwa pogrzebowego Rotblata i odwożą do zbiorowych mogił na cmentarzu żydowskim. Wczesnym ranem ciała zmarłych leżą nagie na ulicach, przykryte tylko kawałkami gazet, których brzegi przymocowane są do chodnika ceglami. Nie w tym rzecz, że wyrzuci ze wszystkiego znieczuleli: pogrzeby są kosztowne, ubrania można sprzedać. Każdy mieszkaniak ghetta stał się bardziej przewidujący niż dawniej. Nic dziwnego! Ceny idą w górę. Wykwalifikowani robotnicy dostają tylko 15 lub 20 złotych za dniówkę. Pół kilo chleba kosztuje 12 złotych... Tyfus zbiera łatwe żniwo w osłabionym tłumie. W pierwszej połowie 1941, według cyfr podanych przez wydział statystyk demograficznych *Judenratu*, zanotowano 15.749 wypadków tyfusu w ghetcie”.

Literatura przyszła później: pieśń żałobną o śmierci ghetta warszawskiego odśpiewał, na kanwie po części prawdziwego a po części zmyślnego „archiwum Lewinsona”, John Hersey w swojej pięknej powieści *The Wall*.

Ale Landau mieszkał od początku do końca, prawie bez przerwy, w części „aryjskiej” miasta: co rozszerzyło naturalnie jego pole widzenia i pozwoliło mu objąć jeśli nie cały kraj, to w każdym razie większość zjawisk dostrzegalnych w ten czy inny sposób z Warszawy. Wspomagany przez swoich ex-współpracowników naukowych, przez członków WRN i funkcjonariuszy różnych komórek informacyjnych AK, stworzył u siebie w domu coś w rodzaju podziemnego obserwatorium z antenami chwytającymi wszystko co zasługiwało na wciągnięcie do kroniki. Codziennie należący do konspiracji „majdaniarz” warszawski przynosił mu komplety prasy niemieckiej do umówionego sklepu na Siennej; BIP Armii Krajowej zaopatrywał go regularnie we wszystkie pisma i druki nielegalne; posyłano doń na „przesłuchania” świadków lub uczestników ważniejszych wydarzeń; odwiedzali go często przyjaciele i towarzysze, „deponując” ustny materiał obserwacyjny; i on sam poruszał się dość swobodnie, patrząc, rozpytując, przysłuchując się, czytając obwieszczenia na murach, zapisując skrętnie w swoim notatniku pamięciowym. Codziennie z nastaniem wieczoru zasiadał do biurka jak wzorowy urzędnik i zapamiętywał karty kroniki swym równym, czytelnym pismem, prawie bez skreśleń i poprawek. Musiał przypominać doskonały automat jakiegoś ministerstwa-widma, ale tym razem to automatyzm wolności rzucił wyzwanie automatyzmowi niewoli. W ciemnej i gęstej nocy okupacji pióro sunęło miarowo na papierze przez 1600 dni. Żadnej pauzy z wyjątkiem jednej, która trwała kilka dni: kiedy kronikarz, we wrześniu 1940, musiał się przenieść z żoną i córką ze swego starego mieszkania do nowego, w dzielnicy przeznaczonej na ghetto ale jeszcze nie otoczonej murem. W dwa miesiące potem, w przeddzień ostatecznego zamknięcia ghetta, Landau uległ namowom przyjaciół i zaopatrzony w dokumenty na nazwisko Lewandowski osiadł z rodziną we Włochach. Stamtąd kontynuował swoje codzienne wyprawy zwiadowczo-eksploracyjne do stolicy.

29 lutego 1944 nie wrócił z Warszawy do domu przed godziną policyjną. Jego żona wiedziała co to oznacza: zaniósł kronikę do sąsiadki i o świcie, gdy do drzwi zapukało Gestapo, zażyła wraz z córką truciznę. Na posterunku policji córka Landaua zmarła, nie odzyskawszy przytomności; żonę dobito paroma strzałami z pistoletu. Nie znamy daty i okoliczności śmierci samego kronikarza. Ale dobre i to, że znamy jego nazwisko i życiorys: wielu jego poprzedników, kronikarzy moru i pożogi, podzieliło los opisywanego przez siebie świata nie zostawiając nam nawet znaku własnej tożsamości.

Blisko połowa kroniki (listopad 1940-grudzień 1942), zapaną w uszczelnionych puszkach na terenie należącym do Wolnej Wszechnicy, nie została dotąd odnaleziona. Reszta ukaże się w dwóch jeszcze tomach, wciąż jednak w oczekiwaniu i nadziei że pewnego dnia kilofom kopaczy odpowie metaliczne echo tego

smutnego skarbu historii Polski i Europy, zaokrąglając do pięciu tomów spuściznę jej kronikarza.



Kiedy się myśli o ciosach które kolejno uderzyły w Landaua podczas okupacji (w roku 1941 umarła w ghetcie jego matka, w roku 1942 zginął z rąk Gestapo jego ojciec, w roku 1943 rozstrzelano wraz z żoną jego brata), kiedy się pamięta o niebezpieczeństwie wiszącym ustawicznie nad nim samym, trudno uwierzyć że tamy kroniki nie pękły ani razu pod naporem uczuć osobistych. A jednak tak było: płyną bezbarwnym i monotonnym potokiem cyfry, zarządzenia policyjne i gospodarcze władz okupacyjnych, strzępy informacji o życiu codziennym, fakty i fanki, odpisy z gazet, sondaże z prowincji, próby rekonstrukcji sytuacji politycznej i wojennej na świecie, nowiny szeptane w tramwajach lub kolportowane przez pokątnych słuchaczy radia, migawki rzeczy widzianych, ceny artykułów żywnościowych, echa rozmów z przypadkowymi bądź znajomymi interlokutorami, spekulacje i opinie o zdarzeniach, wypowiedzi zwycięzców, wiadomości o aresztowaniach i masakrach wśród zwyciężonych. Płyną dokładne, wypłenione z chwastów, sprawdzone w granicach możliwości, w wypadkach wątpliwych poprzedzone zwrotami „mówi się że” albo „na ile można sądzić”. Głos załamuje się rzadko i pod tłumikiem: opisując obręcz zaciskającą się stopniowo wokół ludności żydowskiej, utrwalając obraz Warszawy w dniu Wszystkich Świętych

(„Świece nagrobkowe zapłonęły dziś wieczorem na grobach rozsianych po placach i ulicach miasta, stwarzając niezwykle widok, znowu uprzątniętą grozę dni obłędów Warszawy. Groby te zresztą pozostały już niedługo — wszystkie zwłoki podlec mają ekshumacji i przeniesieniu na cmentarz staraniem rodzin, po upływie zaś prekluzyjnego terminu pozostałe przeniesione będą przez władze miejskie do grobów zbiorowych: zarządzenie traktowane jako mające charakter przepisów sanitarnych, ale wynikłe chyba i z innych motywów. Grób taki oświetlony lampkami i świecami widziałem w samym środku miasta — na rogu Al. Jerozolimskich i Marszałkowskiej. O parę kroków dalej przed cukiernią hotelu „Polonia” stał tłum i obserwował przez okno wnętrza cukierni: sala pełna, oficerowie niemieccy zmieszani z ludnością cywilną, przy fortepianie niemiecki żołnierz i Niemcy tańczący — chyba nie tylko z kobietami ze swych rodzin. Co czuł tłum, obserwujący ten widok, można się domyślać”),

donosząc o upadku Paryża. Jeśli wiadomość może być poparta dokumentem, dokument przytoczony jest w pełnym brzmieniu. Jak, na przykład, w wypadku obwieszczenia podpisanego przez *Staatlicher Polizeiverwalter* i rozlepionego na murach Torunia:

Ażeby bezczelnemu zachowaniu się pewnej części ludności polskiej zapobiec, zarządzam co następuje:

1. Obywatele polscy obojga płci mają obowiązek przed reprezentantami władzy niemieckiej — jak dalece ci ostatni rozpoznawalni są

przez mundur czy opaskę na rękę — ustępować z drogi. Ulica należy do zwycięzców, a nie do zwyciężonych.

2. Obywatele polscy płci męskiej mają obowiązek kłaniania się przez zdejmowanie nakrycia głowy wszystkim przechodzącym osobistom Państwa, Partii i Sił Zbrojnych.

3. Niemieckie pozdrowienie przez podniesienie prawej ręki i pozdrowienie „Heil Hitler” jest Polakom wzbronione.

4. W składach i na targach obsługiwani muszą być najpierw przedstawiciele władzy niemieckiej, członkowie ich rodzin i wszyscy obywatele niemieccy; po nich dopiero zwyciężeni.

.....

Ci Polacy którzy jeszcze nie zrozumieli że są zwyciężonymi a zwycięzcami my, i którzy przeciwdziałać będą powyższym rozporządzeniom, podlegają najsurowszemu ukaraniu.

Nazwiska pojawiają się rzadko, gdy są absolutnie nieodzowne:

„Ilustracją sytuacji inteligencji może być parę wypadków, zasłyszanych o losach niektórych profesorów. Profesor archeologii Antoniewicz pracuje jako palacz w szkole; profesor Łukasiewicz zaś, który miał sposobność przedstawić sytuację nauki w Polsce jakiemuś profesorowi niemieckiemu, otrzymał na jego interwencję... propozycję otrzymywania bezpłatnych zup”.

Pod datą 7 stycznia 1940:

„Życie u nas płynie bez zmian, zwłaszcza że przyzwyczailiśmy się już do spokojnego przyjmowania wiadomości, które w normalnych czasach przejmowałyby nas grozą. Oto przykład: pewien zdun, wracający z pracy, spóźnił się i o godz. 8.05 wieczorem był na ulicy; napotkany patrol niemiecki zastrzelił go, trupa umieszczono w bramie domu Wilcza 6, gdzie pozostawał przez trzy dni, nim pozwolono go zabrać i pochować. Takie wiadomości stały się już niejako codzienną strawą i przechodzą niemal bez wrażenia”.

A jednak wśród tych wiadomości które „przechodzą niemal bez wrażenia”, i które atrofizują powoli w zwyciężonych poczucie liczb, Landau potrafi naraz wdać się w rozważania na temat niepodległości Indii jako nieuniknionej konsekwencji toczącej się wojny. Profesor Witold Kula, komentując w przedmowie do *Kroniki* ten passus, używa słusznie wielkich słów „ideowość” i „hart ducha”.

Nie ma potrzeby rozwodzić się dłużej nad okrucieństwami rejestrowanymi cierpliwie przez kronikarza. Cały sens okupacji niemieckiej w Polsce streszcza się w dwóch fragmentach z *dziennika Franka*, które dołączono do *Księgi* w odcinkach fotostatycznych.

„Kraj ten powołany jest do spełnienia roli rezerwuaru robotników na wielką skalę. Mamy tu jedynie gigantyczny obóz pracy w którym wszystko, co oznacza siłę i samodzielność, znajduje się w rękach Niemców”.

I odpis rozmowy z korespondentem *Voelkischer Beobachter*.

Pytanie: „Byłoby może ciekawe określić różnicę między Protektorem a Gubernią Generalną?”. Odpowiedź Franka: „Mogę panu plastycznie określić tę różnicę. W Pradze wywieszono np. wielkie, czerwone plakaty z wiadomością, że dzisiaj rozstrzelano 7 Czechów. Powiedziałem sobie wtedy: gdybym o każdym siedmiu rozstrzelanych Polakach chciał rozwiesić plakaty, lasy polskie nie starczyłyby na wyprodukowanie papieru na takie obwieszczenia”.

Kronika milczy o Rosjanach. Nie przez zaniedbanie kronikarza: ilekroć Landau kładzie palec na drażliwym klawiszu, struna wydaje głuchy dźwięk wielokropków. A profesor Kula informuje w przedmowie: „Publikując dziennik nieżyjącego Autora w kilkanaście lat po opisywanych przez niego wydarzeniach, wydawcy dokonali pewnych opuszczeń, zaznaczonych zawsze wielokropkiem w nawiasie kwadratowym. Naukowcy badający dzieje Polski pod okupacją znajdują drogę do archiwalnych egzemplarzy maszynopisu *Kroniki*”. Trudno doprawdy wymagać chwilowo więcej. Ale nawet tutaj zdarzają się drobne i ledwie dostrzegalne ustępstwa na rzecz nienaruszalności tekstu. W rozdziale pierwszym kroniki, podsumowującym dzieje kampanii i kłęski wrześniowej, czytamy:

„17 września wieczorem, słuchając wiadomości radiowych — których w tym czasie szukaliśmy kolejno ze wszystkich stacji zagranicznych — usłyszeliśmy z Moskwy zapowiedź, że wobec rozgromienia Polski i ustania działalności władz polskich Rosja przystępuje do zajmowania ziem białoruskich i ukraińskich; że w ten sposób nadeszła chwila uwolnienia tych dwóch narodów od nieznośnego jarzma polskiego”.

Naukowcy badający dzieje Polski pod okupacją, którzy znajdują drogę do archiwalnych egzemplarzy maszynopisu, będą mogli sprawdzić ilu i jakich cudzoziemców użył kronikarz w tym ostatnim zdaniu.

◆

Kronika lat wojny i okupacji pozostawia w czytelniku niejasne uczucie i bardzo jasną refleksję.

Niejasne uczucie jest czymś w rodzaju dumy a nawet wiary w obliczu, mówiąc słowami autora *Journal of the Plague Year*, „wytrwałości natury ludzkiej”.

Bardzo jasna refleksja dotyczy teraźniejszości i przyszłości stosunków polsko-niemieckich. Wyczytałem niedawno w *Corriere della Sera*, że jakieś poważne czasopismo niemieckie wystąpiło z tezą o sztuczności nastrojów antyniemieckich w Polsce, podsycanych przez komunistów dla silniejszego związania Warszawy z Moskwą; według publicysty niemieckiego, sami Polacy są w gruncie rzeczy gotowi jeśli nie przebaczyć, to co najmniej zapomnieć. Dopóki wychodzą i znajdują czytelników takie książki jak *Kronika*, ta teza wydaje się zawieszona w próżni. Można ich nie wydawać? Jest to historia, którą synowie i „zwycięzców”

i „zwycięzonych” odziedziczą po swoich ojcach. Nie o to chodzi czy zapomną, ale co z nią zrobią pamiętając.

Pejzaż z figurami

Nie bez pewnego wzruszenia myślę zawsze o profesorze Renato Poggioli, który wykladał literaturę porównawczą w Harvard. Gdy antyfaszyści włoscy szli na emigrację, ich szlak wygnańczy prowadził do Francji, do Anglii, do Stanów Zjednoczonych. Poggioli wybrał Polskę. Nauczył się szybko języka, był lektorem włoskiego na jednym z naszych uniwersytetów, przekładał autorów polskich (m.in. *Cudzoziemkę* Kuncewiczowej), pisywał w czasopiśmie polskich (jako uczeń gimnazjalny czytałem jego szkic o Crocem w *Skamandrze*). A nawet teraz, choć związany od lat na dobre z rusycystyką, wraca czasem w wolnych chwilach do upodobań młodości: ostatnio, na przykład, tłumaczy (jak mi pisze) wiersze Tuwima. Nie często zdarza nam się przebywać na wygnaniu w kraju, którego synowie w okresie *swojej* wędrówki znaleźli gościnę w naszym.

Rozległością zainteresowań i horyzontów, wycuciem historycznym, ogromnym odczuciem, smakiem literackim, nowa książka profesora Poggioli (*The Poets of Russia 1890-1930*, Harvard University Press, 1960) wydaje się spokrewniona z jednej strony z esejem Isaiaha Berlina *Cudowne dziesięciolecie*, z drugiej — ze *Współczesną literaturą rosyjską* księcia Dymitra Swiatopółki Mirskiego, słynnego „czerwonego księcia” z portretu Edmunda Wilsona, przez lata emigranta w Londynie i prawie członka honorowego *Bloomsbury Group*, potem dobrowolnego repatrianta i ofiary czystek stalinowskich. Te koligacje oznaczają także, że jest pasjonująca w lekturze.

Kto zna doskonałą i wysoko we Włoszech cenioną antologię profesora Poggioli *Il fiore del verso russo*, ten pomyśli może w pierwszej chwili że *The Poets of Russia* są tylko próbą klasyfikacji i dokładnego opisu naręcza kwietnego, zebranego niegdyś przez tłumacza: ci sami poeci; taka sama, albo niemal taka sama, kompozycja bukietu; ta sama wreszcie strofa Puszkina, która otwiera jako *motto* oba tomy. Byłoby to jednak mniemanie całkowicie błędne. W swojej nowej książce Poggioli przypomina raczej rzeźbiarza, „przenoszącego w bryłę” dziesiątki pobieżnych i ledwie zaznaczonych rysunków. On sam tak pisze w przedmowie:

„Zbudowana wyraźnie dokoła całej serii odrębnych portretów, ta książka może się na pierwszy rzut oka ukazać czytelnikowi jako galeria popiersi. A przecież żaden z omawianych przeze mnie poetów — nawet Błok, który bardziej niż inni zdaje się stać z boku mając dla siebie osobny rozdział — nie jest potraktowany w oderwaniu od grupy czy środowiska. Toteż z większą dozą słuszności wypadłoby ją porównać do pejzażu z figurami”.

Gdzie przez pejzaż należy rozumieć barwną panoramę tego nadzwyczajnego czterdziestolecia, w którym — według słów Władimira Weidle — „jak nigdy dotąd Rosja kulturalna miała tak silne poczucie przynależności do Europy, poczucie że jest narodem z naturalnym miejscem wśród innych narodów europejskich z różnicami uznanymi i odczuwanymi ale już nie nieprzezwyčajnymi”.

Jako „komparatysta” z powołania i wykształcenia Poggioli zadał sobie oczywiście wiele żmudnego trudu, by poezję rosyjską z przełomu stuleci umieścić we właściwej perspektywie narodowej i zachodnio-europejskiej. Jego sądy są precyzyjne, przekonujące i poparte obfitym materiałem dowodowym. W miarę jak pruje się stara tkanina, ustępując miejsca zrewidowanym lub co najmniej uporządkowanym powinowactwom filozoficznym i stylistycznym, parantelom i rodowodom, włókna układają się na nowo w deseń o uderzającej jasności. Widzi się ile symboliści rosyjscy zawdzięczali Tiutczewowi, Fietowi a nawet Niekrasowowi. Odczuwa się zgodę na zabieg odcięcia, trochę dla celów poglądowych, gałęzi dekadentów (Balmont, Briusow, Sołogub, Zinaida Gippius, Bunin) od pnia głębiej symbolistycznego. Przytakuje się wywodom z najlepszego rozdziału o symbolizmie rosyjskim i zachodnim:

„Wbrew końcowemu zaprzeczeniu Błoka, dobitne uroszczenie że poezja i religia stanowią organiczną całość pozostaje najbardziej charakterystyczną i oryginalną przesłanką symbolizmu rosyjskiego. A jednak symbolizm rosyjski, szczególnie jeśli pominiemy lub złagodzimy stanowczość tego uroszczenia, odsłoni się na dalszą metę historykowi kultury tylko jako osobliwy wariant ogólnego kierunku europejskiego o takiej nazwie. Główna różnica między gałęzią rosyjską a innymi gałęziami lokalnymi tego samego drzewa pochodzi z tradycji i orientacji; czego dowodem jest fakt, że symboliści rosyjscy nauczyli się swej sztuki nie tylko od swoich bezpośrednich poprzedników cudzoziemskich, przede wszystkim Francuzów, lecz także od poetów romantyzmu niemieckiego i ich uczniów rosyjskich którzy w ciągu całego wieku XIX osłaniali i podsycali zniczą poezji niemieckiej (Żukowski, Tiutczew, Fiet). To z Niemiec romantycznych Sołowiew zaczerpnął obrazy i idee swojej własnej poezji, podczas gdy Błokowi dane było zacząć karierę poetycką w roli nowoczesnego i oryginalnego ucznia Żukowskiego. Ten bezpośredni związek z tradycją romantyczną oddalił gwałtownie symbolizm rosyjski od jego odpowiednika francuskiego. Baudelaire i wszyscy jego bliźni i dalsi zwolennicy, od Mallarmé'go do Paula Valéry, uznali prawomocność niecierpliwiej reakcji jaka doszła do głosu w poezji francuskiej, od szkoły „sztuki dla sztuki” Gautier'a do ruchu parnasistowskiego, przeciw poezji romantycznej która we Francji zgrzeszyła zanadto w kierunku namiętnej elokwencji i uczuciowego subiektywizmu... Nowocześni poeci niemieccy i austriaccy, jakkolwiek i oni pobierali lekcje u tych samych mistrzów francuskich, nie odczuwali wszakże podobnej konieczności i uważali się za kontynuatorów wielkich poetów niemieckich z początków stulecia, szczególnie Novalisa i Hölderlina. Tę postawę wzmacniała dodatkowa okoliczność że niemiecka poezja romantyczna, intensywniej niż angielska i w znacznie wyższym stopniu niż francuska, żyła podskórnymi przecuciami symbolizmu; oto dlaczego nowoczesny ruch poetycki w Niemczech i w

Austrii przybrał stworzone dlań jak na miarę miano *Neuromantik*. Z tego punktu widzenia Błok, Iwanow i Bielyj mają znacznie więcej punktów stykowych ze Stefanem George, Rilke i Hofmannsthałem, niż z jakąkolwiek inną ówczesną grupą poetycką. I być może z tego powodu rosyjski historyk literatury Semion Wengerow nazwał cały symbolizm rosyjski ruchem neoromantycznym”.

(Jak na pewno z tego powodu Wieczesław Iwanow czuł się słusznym tytułem uprawniony do oświadczenia: „Symbolizm rosyjski nie mógł i nie chciał być jedynie sztuką”). Wzór tkany przez autora *The Poets of Russia* staje się z każdą stronką przejrzystszy: klasycyzująca reakcja „klaryzmu” i „akmeizmu” przeciw poetyce neoromantycznej symbolistów (Kuzmin, Gumilew, Achmatowa); prawdziwe i fałszywe fanfary awangardy (futuryzm Chlebnikowa i Majakowskiego, imażinizm Jesienina, ego-futuryzm Sjewierianina); i na koniec Pasternak, który w pewien sposób wchłonął i przedestylował, by się wznieść ponad nie, wszystkie soki żywotne czterdziestolecia. Tu i ówdzie spotyka się spostrzeżenia o wyjątkowej celności: jak na przykład gdy Kuzmin zestawiony jest z włoskim *crepuscolare* Guido Gozzano, albo gdy w podrozdziale o Mandelsztamie pojawia się nagle De Chirico.

Ale sam „komparatyzm” byłby zapewne dość jałowy i nudny, gdyż prawie nigdy nie udaje mu się uwolnić od własnej konwencji nominalistycznej. Poggioli ratuje się od podobnej zasadzki swoim darem portrecisty literackiego: właśnie figurami na tle pejzażu. Portrety naszkicowane w *The Poets of Russia* są znakomite. Żadna zresztą niespodzianka dla czytelnika, który pamięta jego portret Babla poprzedzający włoskie wydanie opowiadań nowelisty odeskiego: już wówczas było jasne że Poggioli posiada wszelkie dane, by wskrzesić gdzie indziej tak bujną niegdyś w Rosji sztukę Ajchenwalda, Tynjanowa i Żukowskiego. Jedyny zawód sprawia portret Maryny Cwietajewej: namalowany ręką pełną miłości i podziwu, lecz zbyt pośpieszną, chwiejną i nie gardzącą ogólnikami. Nie ma wątpliwości że piękna poetka rosyjska będzie wciąż rosła (zapowiedź jej „rehabilitacji” podana do wiadomości publicznej przez Erenburga w roku 1956 wraz z obietnicą ogłoszenia jej dawnych i nowych wierszy — z obietnicą, którą Poggioli zaskarża jako „nie dotrzymaną” — wydała wreszcie owoce: tom Cwietajewej ukazał się w Moskwie rok temu i został dosłownie rozchwytyany w ciągu paru godzin), tak jak nie ma wątpliwości że będziemy o niej wiedzieli wciąż więcej. Mała dygresja osobista. Przed kilku laty poznałem w Monachium emigracyjnego dziennikarza rosyjskiego Aleksandra Bachracha, w którym Cwietajewa kochała się w roku 1923 (on mieszkał wówczas w Berlinie, ona w Pradze). Z rozmowy wyszło na jaw że zachował jej listy, pozwolił mi nawet rzucić na nie okiem, ale nie chciał ani słyszeć o ich opublikowaniu, zastrzegając się trudnym istotnie do uchylenia argumentem „nadmiernej prywatności”. W końcu, po wielu próbach ponawianych z uporem w niczym nie ustępującym jego uporowi, udało mi się go prze-

konać: listy Cwietajewoj do Bachracha ukazały się już w dwóch seriach na łamach jednego z emigracyjnych *tołstych żurnalow*. Pamiętam że podczas tego pierwszego szybkiego przeglądania uderzyło mnie naraz zdanie: „Jestem jak lawina, nie zatrzymuję się dopóki się nie dotoczę”. Biedna Cwietajewa! Nie zatrzymała się i wtedy, gdy wróciwszy w 1941 do Rosji jak lawina nostalgii, powiesiła się w rok potem w Kazaniu!

Niezmiennie wymagający jako krytyk poezji, Poggioli ma w zasadzie słuszną gdy doprowadza swój pejzaż z figurami tylko do progu 1930, stwierdzając z melancholią że „w dzisiejszej Rosji pióro poety zamieniło się w pióro biurokraty” i z sarkazmem że „literatura sowiecka jest obecnie burżuazyjna w formie i prowincjonalna w treści”, przytaczając słowa Zamiatina: „Prawdziwa literatura może istnieć tylko tam, gdzie tworzą ją szaleńcy, eremici, heretycy, marzyciele, buntownicy i sceptycy, a nie pilni i przykładni urzędnicy”, i słowa Pasternaka: „W czasie ostatnich lat życia Majakowskiego poezja w Rosji przestała istnieć”. Wszystko to prawda. Ale postawieni w obliczu dyktatur, jesteśmy często zmuszeni (jedni powiedzą w tym miejscu „niestety”, inni „na szczęście”) mierzyć stopnie gradacji ich niszczycielskiego nasilenia. Byłoby rzeczą nieuczciwą przeczyć różnicom między hitleryzmem a faszyzmem włoskim: pierwszy stworzył absolutną pustynię, drugi nie chciał lub nie umiał zapobiec rozkwitnięciu na pustyni takich kwiatów jak *La Critica* Crocego czy *Gli Indifferenti* Moravii (żeby zacytować dwa najbardziej reprezentatywne przykłady). To samo rozumowanie obowiązuje wobec różnicy między dyktaturą Stalina i Żdanowa a dyktaturą Chruszczowa i Furcewoj. Nawet zachowując ostrożność i nie zadowolając się byle czym, nawet nie ulegając łatwym entuzjazmom, nawet nie wypuszczając z rąk kamienia probierczego, trudno nie przyznać że wśród nowych poetów rosyjskich (Zabołockij, Martynow, Słuckij, Jewtuszenko, Achmadulina, Wozniesiński) fermentuje coś autentycznego i wróżącego dobrze na przyszłość. Wpada więc w przesadę sztywnej „pryncypialności krytycznej” Poggioli, lekceważąc to zjawisko w epilogu swojej książki.

Rozdział poświęcony Pasternakowi zawiera ładny esej w dwóch częściach o jego życiu i poezji, oraz obszerny przypis o *Doktorze Żiwago* w tonie słodko-kwaśnym. Poggioli staje w ten sposób w długim szeregu krytyków, którzy — przeważnie w imię „bezkompromisowego awangardyzmu” — przybierają pozę „obrońców Pasternaka przeciw niemu samemu, obrońców Pasternaka-poety przeciw Pasternakowi-powieściopisarzowi”. Powiada że „byłoby niesprawiedliwością w stosunku do Pasternaka jako człowieka i pisarza przyjąć jego retrospektywne zapewnienie, że jego twórczość poetycka była tylko stopniowym przygotowaniem do *Doktora Żiwago*” (jakby można było odrzucać lub przyjmować osobisty sąd pisarza o sobie samym). Chwali „wyjątkową szlachetność” powieści, ale w granicach „dokumentu duchowego i psychologicznego wielkiej wagi, aktu moralnego wy-

sokiej wartości” (jakby chodziło o rzeczy, które mało mają wspólnego z dobrą powieścią). Skarży się że „niezliczone postacie spotykają się w najbardziej zaskakujących okolicznościach” (jakby w powieści zbudowanej — według trafnego spostrzeżenia Italo Calvino — prawie na wzór poematu rycerskiego miały jakiegokolwiek znaczenie okoliczności, a nie przyczyny i cele spotkań postaci). Wyraża głębokie przekonanie że „poezje Pasternaka są bardziej żywotne i podniecające od jego powieści, której brak wewnętrznego napięcia jego poprzednich utworów wierszem i prozą, tak prowokacyjnych w swoim wrodzonym awangardyzmie”. I konkluduje: „Chociaż jest prawdą że *Doktor Żiwago* góruje jak wieża nad całą beletrystyką sowiecką, należy to przypisać nie tylko kalibrowi Pasternaka-powieściopisarza lecz także miernocie jego rywali”.

Są to pchnięcia floretem, które zdecydowanie nie przystoją książce o takiej powadze. *Doktor Żiwago* będzie „górował jak wieża” nad całą prozą sowiecką nawet wówczas, gdy jego przyszlizni rywale wzniosą się nareszcie ponad poziom miernoty. I nie przez to „górowanie” podziwiać będziemy mniej poezję Pasternaka. Gdyż podziwiamy ją już dzisiaj bardziej w cieniu „wieży”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ
CZŁOWIEK WŚRÓD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZozOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)



TOM LXXVIII

BERNARD SINGER
OD WITOSA DO SŁAWKA

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)



TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ
KRÓL POPIEL

I INNE WIERSZE

(Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6))

Notatnik poetycki (dok.)

Miłosz

Mogę to nazwać czasem przeszłym dokonanym, albo zaprzyszłym. Moja nomenklatura, bo moje nerwy. Historia w zasadzie nie ma tu nic do powiedzenia, choć jej fakty biją często głośniej od dzwonów.

Więc było to przed wojną, przed tą ostatnią, w Warszawie. Poznałem Miłosza u Czechowicza, gdy ten jeszcze mieszkał na Smulikowskiego, w niedużym ale ładnym apartamencie, mieszczącym się w suterynie. Okna jego wychodziły na chodnik, którym pracownicy Związku Nauczycielstwa Polskiego śpieszyli do swoich biur, mieszczących się w nowym jeszcze, okazałym gmachu — ozdobie tej części Powiśla. Były to kolumny wytrawnych, oddanych, pilnych, chętnych, z powołaniem, misjonarzy.

Jako współpracownik „Miesięcznika Literatury i Sztuki”, „Gazetki ściennej”, „Płomyczków” i wielu innych pism, których nigdy nie mogłem się doliczyć, poznałem już wtedy kilka osób z tej nowoczesnej, biurowej menażerii. Najbardziej jednak w pamięci pozostała dotąd Anna Świrszczyńska, pół mniszka, pół „panienka z okienka”, zgrabna i ładna ale omotana w przesadną skromność i cnotliwość, co raziło nawet mnie, studenta z prowincji. Mogła być równie starą egzaltowaną panną, jak i emancypantką. Czytało się to z jej ust, przyczesanej obojętnością twarzy, przyjemnych, ale przytłoczonych rutyną urzędniczą ruchów. Świrszczyńska zaczęła wtedy pisać wiersze, które były bardzo do niej podobne.

Drugą osobą był Herod w spódnicy, kolubryna płci żeńskiej, szatan stanowczości i uporu: Wanda Wasilewska. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, bo nie zdawałem sobie sprawy z tyranii komunizmu,

że Wasilewska sprzedała się mu z duszą i ciałem. Że była komunistką, o tym mówiono, lecz komunizm był dla mnie wtedy jedną z wielu partii politycznych, zorganizowanych na zasadzie demokratycznej demagogii, a nie kaźnią gdzie się zabija myślącego człowieka na korzyść urojonego szablonu.

Siedząc w mansardzie podziemnej Czechowicza, w gronie pączkującej awangardy — patrząc przez okno — zabawialiśmy się nie raz w odgadywanie kroków i nóg. Na łydki Świerszczyńskiej wielu z nas czekało, porównując je do nóg płochliwej sarny — Wasilewska zjawiała się jak stalowy tank, w huku powietrza wywołującym grozę, przechodzącą w stan powoli stygnącego strachu. Może już nas wtedy szpiegowała, o czym my, kiełkująca latorośl buńczucznej awangardy, nic nie wiedzieliśmy.

U Czechowicza pito kawę, herbatę lub tanie wino, rozmawiano o świętej krzyżowej wojnie, toczącej się między Awangardą a Skamandrem lub recytowano wiersze. Wilno — była to baza gości, na którą Czechowicz mógł zawsze liczyć. Nawet Putrament, ten Putrament, autor rozgadanej i dyletanckiej w stylu „Rzeczywistości”, zaglądał tam, jeszcze jako pokorne literackie cielątko. Może już wtedy przyjeżdżał, by składać raporty Wasilewskiej, zasłaniając się materiałami zbieranymi do struktur nowel Prusa. Doktoratu wprawdzie w literaturze nie zrobił, ale w polityce chyba tak.

Czarującymi gośćmi byli: Miłosz i Zagórski. Miłosz był już wtedy autorem symbolicznych „Ptaków”, hermetycznego wiersza o formie zwartej, baudelairowskiej, pisanego językiem, który czytelnika porywał i więził, swoją zaborczą i gwałtowną wizją:

*Wszelkich spazmów miłości zakryta pieczara,
a jeśli słońce wschodząc jej bramy uchyli,
syczą spalone zamki króla Baltazara,
oddane we władanie zimnym krzykom pawi.
Mży śnieg. I drzewo każde, przełamane, krwawi.*

„Bramy Arsenалу” są z tej samej poetyckiej tkanki, ale mają więcej klasycznego spokoju i wstrzemięźliwości:

*Czułe zwierzęta wierne, milcząc ze spokojem
obszar parków śledziły, mrużąc lekko szpary
swoich oliwnych oczu.*

Choć i tu wyrywa się jeszcze czasem lechoniowa linia:

Szum burzliwy, huk fali, fortepianów wianie.

Już od samego początku zarysowała się u Miłosza właściwa jego linia poetycka, przygłuszona i niezauważona w okresie Dwudziestolecia, Miłosza — powiedzmy — współczesnego, powojennego autora „Traktatu poetyckiego” i „Króla Popiela...”, która poczynawszy od „Trzech Zim” określa swój wyraźny intelektualny kształt, surowy, oczyszczony z ortodoksyjnej poetyki. Ale Dwudziestolecie nie sprzyjało tego rodzaju poezji. Miłosz, to był w dalszym ciągu autor wierszy: *O książce, Kołysanka, Do księdza Ch.* itd. Jest to, najogólniej wzięwszy, poetyka klasyczna, z której najobficiej czerpał Skamander, a że klasycyzmu trzeba szukać dość daleko w czasie, utarł się więc inny termin, skojarzeniowo bliższy: poezja skamandrycka, która jest niczym innym, jak czerpaniem pełną ręką z klasycyzmu i romantyzmu. Tylko, trzeba się zastrzec, ręka a ręka. Jeżeli się na ogół wierzy Tuwimowi, to już trzeba być bardziej ostrożnym przy Słonimskim lub Broniewskim. A nie brak i kikutów w tym gronie.

Miłosz z „Trzech Zim” jest wśród nich najbardziej świadomy swojej sztuki, co jak na polskie warunki, gdzie poeci powinni być „z bożej łaski” i czerpać natchnienie z wyborowej, zakrawało na zdradę polskiego getta poetyckiego.

Wiara w tak zwane „natchnienie” lub „iskrę bożą”, to mimo wszystko dziedzictwo myślenia poromantycznego. Puszczenie cugli nie oznacza dążenia w świadomym kierunku, ale pędzenie na oślep, co w każdej dziedzinie sztuki grozi lądowaniem na manowcach. Małe talenty poetyckie, jak Broniewski czy Gałczyński, są najlepszym tego dowodem. Przy krańcowych wypadkach, nie ma już wtedy różnicy między katarynką a wierszem. Ratuje zaś sytuację inteligencja, czytanie i aplauz wiernego choć bezmyślnego czytelnika.

Talent Miłosza kształtowały najszlachetniejsze prądy poetyckie, a jednak mimo wyraźnych śladów francuskich symbolistów i polskiego Skamandra, w istocie jednak poezja Miłosza nie mieści się w tych szkołach z tej prostej przyczyny, że po pierwsze nie wyrosła z nich, a po drugie, od samego początku zdobyła własną, dojrzałą samodzielność. Autor „Trzech Zim” zamyka tym tomem nie tylko poezję naszego Dwudziestolecia, z poczesną w nim grupą Skamandra, ale kończy również pewien rodzaj gatunku poetyckiego, właściwy wielu w tym czasie krajom, z Francją na czele, wyluskując z pustego prawie już kłosa, ostatnie żyzne ziarno. Rozsadza je wstrząsająca gama katastrofizmu. I dlatego „Trzy Zimy”, tom wyjątkowo odrębny w poezji Dwudziestolecia, skłonny jestem porównać do baudelairowskich „Kwiatów zła”, choć krater oba wulkanów tryskały inną chemicznie lawą. Katastrofizm Miłosza jest nam historycznie bliski, dziś jeszcze pali wyo-

braźnię — Baudelaire'a czytać już nie można. Chyba że tę perukę, minionej na zawsze epoki, odświeży po swojemu współczesny talent Roberta Lowella.



O latach wojennych Miłosza dowiadujemy się z jego „Rozdziny Europy”. Dużo faktów z tego okresu znajdujemy również w rozważaniach końcowych „Zniewolonego Umysłu”, kiedy charakteryzując Alfę, Betę, Gammę i Deltę, wtrąca bezustannie swoje myśli i sądy, obawy i nadzieje, dając skomplikowane unerwiony obraz związków moralnych i artystycznych, co do pewnego stopnia może zastąpić charakterystykę ogólną samego poety.

Pierwsze wiersze ogłoszone po wojnie, z których część powstała w czasie okupacji, Miłosz wydał potem nakładem Czytelnika, w roku 1945, w tomie „Ocalenie”. Jest to wybór retrospektywny, nacechowany zamyśleniem, pełny penetrującego żalu za przeszłością poety, włączonego nagle nie tylko w kataklizm wojny, ale w gorszy jeszcze koszmar dokonywanych mordów na ludności cywilnej, łowionej bezprzykładnie na ulicach miast, rozstrzelwanej na miejscu lub mordowanej w obozach.

W tym okresie, a nawet jeszcze wcześniej, wiersz Miłosza przechodzi często w bliski nam, mickiewiczowski trzynastozgłoskowiec:

*Gmach ciemny, a u wejścia deski skrzyżowane
Bronią wstępu i starczyć muszą ci za bramę
Jeżeli wchodzisz.*

Albo:

*Towarzyszko serdeczna krwawego pochodu
Przez kraj ognia i wojny, powietrza i głodu
Oby serc nam nie zmogły wołania niczyje.*

Czasem, jak w „Skardze dam minionego czasu” wiersz brzmi pełnym elegijnym wzruszeniem. Ale jest to ten sam Miłosz, autor „Trzech Zim”, może tylko bardziej wstrzemięźliwy, zwięzły i oszczędny w opisie:

*Nasze suknie fałdziste zdarty się na drogach,
Perły na dno dziejowej upadły topieli,
Ptaki spalonych wstążek wiatr gonit po wodach,
Pierścienie z naszych palców ciemni ludzie zdjęli.*

„Ocalenie” jest również zamknięciem pierwszego poetyckiego etapu Miłosza, w którym „Trzy Zimy” były jego triumfem. Język jednak Miłosza jest odrębny i samodzielny, dojrzewa w zamkniętej wyobraźni, gdzie powstawanie wizji, narastanie metafor i kryształizowanie się owocu poetyckiego, odbywa się w przyspieszonym, jak w fizyce, czasie i w klimacie o podwyższonej temperaturze.



Nie wiem jak ocenilibyśmy twórczość Eliota, kluczowego nowatora poezji współczesnej, gdyby jego „Ziemia Jałowa” ukażała się w druku, tak jak ją napisał autor, bez drastycznych skrótów Pounda. Z oświadczeń samego Eliota wiemy, że Pound zredukował jego poemat o jedną trzecią, nie mówiąc już o drobnych poprawkach i przeróbkach. To co dziś czytamy jest do pewnego stopnia również dziełem wrażliwego na nowy talent krytyka.

Fakt ten nie jest tylko jeszcze jednym więcej stwierdzeniem, że najtrudniej jest ocenić własną twórczość. Można z niego wyciągnąć również wniosek o zbyt gwałtownych przesunięciach w naszej ocenie poetyckiej, gdzie sylwetka poetycka Eliota została zbyt wysoko wywindowana, kosztem innych, pozostających dotychczas w cieniu talentów, jak choćby wspomniany już poprzednio Pound. Prawdą jednak pozostanie, że Eliot odpoetyzował w sposób rewolucyjny wiersz, z drugiej zaś strony nadał potocznej, codziennej mowie, wartości artystyczne. Ale w zapędzie swoim, jak możemy przypuszczać nie z poczynionych przez Pounda skrótów, bo tych nie widzieliśmy, ale z pozostawionych w „Ziemii Jałowej” zamulających prozaizmów, że innowacje Eliota były jednostronne. W chęci przeciwstawienia się kwietyzmowi i wyeksploatowanemu do samego dna rymotwórstwu, zbyt pochopnie czerpał on z prozy, z języka dziennikarskiego, kładąc nadmierny nacisk na stronę metafizyczną, morał, a nawet użytkową religijność.

Eliot jest poetą katolickim. Tę etykietę przypięli mu jego pierwsi krytycy, którą potem poszerzyli do idei Kościoła, Boga, Prawa, Sprawiedliwości, przenosząc odhumanizowane pojęcia w świat ciemnej metafizyki. Temu religijnemu mitologizowaniu poświęcił Eliot cały poemat napisany w formie widowiska religijnego: „Skala”.

*Orzeł szybuje ku szczytowi niebios,
Lowczy ze swymi psami śledzi jego lot.*

O bezustanny ruchu ukształconych gwiazd,
 O bezustanny nawrocie ustalonych pór,
 O świecie wiosny i jesieni, narodzin i zgonu!
 Niekończąca się ciągłość pomysłu i czynu,
 Nowego wynalazku, nowego doświadczenia,
 Przynosi wiedzę ruchu, a nie bezruchu;!
 Mądrość mowy, a nie milczenia;
 Mądrość słów i niewiedzę Słowa.
 Cała wiedza zbliża nas do naszej niewiedzy,
 Cała nasza niewiedza zbliża nas do śmierci,
 Ale bliskość śmierci nie zbliża do Boga.
 Gdzie jest Życie, któreśmy utracili żyjąc?
 Gdzie jest mądrość którąśmy zagubili w wiedzy?
 Gdzie jest wiedza którąśmy rozdrobnili na wiadomości?
 Kręgi Niebios dwudziestu wieków
 Oddalają nas stale od Boga zbliżając do Prochu.

Jeździłem do Londynu, Miasta z piętnem czasu,
 Gdzie fale Rzeki unoszą obcy spływ.
 Tam mi powiedziano: za dużo mamy kościołów,
 A za mało masarni. Tam mi powiedziano:
 Wikarzy winni pójść na emeryturę. Kościół w miejscu pracy
 Niepotrzebny jest ludziom, lecz tam gdzie spędzają
 Niedziele.

Nie potrzeba nam dzwonów w mieście.
 Niech budzą one przedmieścia.
 Pojechałem na przedmieścia, tam mi powiedziano:
 Harujemy przez sześć dni, siódmego musimy wyjechać
 Do Hindhead lub Maidenhead.
 Gdy pogoda plugawa, siedzimy w domu czytając dzienniki.
 W dzielnicy przemysłowej powiedziano mi
 O prawach ekonomicznych.
 W przyjemnym wiejskim ustroniu wydawało się
 Że kraj teraz nadaje się jedynie do pikników.
 I właściwie nie odczuwa się pragnienia Kościoła
 Na wsi czy na przedmieściach — a w mieście
 Tylko do wystawnych małżeństw.

(Przekład własny)

Wobec ustalonej reputacji Eliota, wszelka krytyka jego poezji zakrawa na „szarganie świętości”, a jednak słychać już dziś głosy partyzantów, którzy rewidując swoje dawne poglądy, jak Edmund Wilson lub F.O. Matthiesson, starają się wycofać spod sztanda-

rów opinii literackiej, pod którymi w zręcznie zorganizowanej obławie literackiej dwudziestego wieku, zgromadził i podporządkował sobie Eliot prawie wszystkich. Jeszcze kilka lat temu opinia literacka, to był pogląd narzucony przez Eliota krytykom, akademikom, studentom seminariów literackich, uwielbiającym go czytelnikom. Uderzenie w ten monument cieszący się bezwzględny autorytetem, jest jak pisze John Ciardi, redaktor działu literackiego w „Saturday Review”, dla wielu czynem świętokradzkim. Mimo to na łamach tegoż pisma ukazała się w roku 1960 druzgocąca krytyka, dokonana przez wybitnego poetę młodszego pokolenia, Karla Shapiro, profesora uniwersytetu w Nebraski, zdobywcy nagrody literackiej Pulitzera w roku 1945 za tom: *V-Letter and Other Poems*.

Shapiro ma wiele wspólnego z Miłoszem, którego „Traktat poetycki” kształtował się w cieniu neoklasycznego „Eseju o rymie” amerykańskiego poety. W krytyce swojej, „T.S. Eliot: The Death of Literary Judgment” („Saturday Review”, 27 lutego, 1960) pisze on: Eliot przypomina nam jeden z owych potężnych zamków w Bawarii, górujących nad okolicą i rzucających się w oczy swoją brzydota, którego zburzenie jest zbyt kosztowne. Życie toczy się w dole u podnóża, ale on jest zawsze tam, w górze. Eliot — pisze dalej — zjawiał się na scenie literackiej w momencie kompletnej próżni (około roku 1910) i gdy smak publiczności był bardzo zły. Łatwo jest wtedy krytykowi wypełnić tę próżnię, lecz w tych warunkach jest to jego zasługa, nie poety.

Jedną z podstawowych cech poezji Eliota, o której szeroko pisze się i mówi na Zachodzie, zwłaszcza wśród krytyków anglosaskich, jest jej intelektualizm. Ciekawe, że termin „poezja intelektualna” powszechnie przyjęty, a nawet uosabiany z poezją nowoczesną, nie może jakoś dotrzeć do Polski. Poeci nad Wisłą są do dziś głusi na intelektualizm, ich nowoczesność to wersyfikacja i język, to nadużywana metafora, co właściwie nie powinno nas wśród niedouczonego społeczeństwa polskiego dziwić. Pokolenia poetyckie w Polsce, dziedziczą w spadku „bohaterszczyznę”, patriotyzm i przeładowane uczuciowością akumulatory serca, gotowe zawsze „mierzyć siły na zamiary”. Granie na uczuciach jest nie tylko właściwe naszej poezji, to był przecież nasz wieloletni „program polityczny”.

T.S. Eliot, W.H. Auden, Ezra Pound, Conrad Aiken, świetny szkocki poeta Hugh MacDiarmid i wielu innych, wnosząc do poezji anglo-amerykańskiej pierwiastek intelektualny, nadali jej właściwy awangardowy sens. Dziś poezja amerykańska wstępuje w nową fazę zdyscyplinowanego białego wiersza, a poeci, jak

Shapiro znający jej granicę, starają się uporządkować i sprowadzić do właściwych współrzędnych przeobrażony okres Eliota. Współczesny wiersz amerykański, to wiersz mądry, przesycony treścią i problemami społecznymi, z którego omalże jak z podręcznika uniwersyteckiego, obok nowych treści poetyckich, można czerpać wiedzę z naukowych dziedzin. U nas jedynym pod tym względem przykładem jest tylko Miłosz, w małym stopniu Jastrun, a z najmłodszych Herbert.

Najambitniejszą książka Shapiry jest jego „Essej o rymie”:

*Nie ma też żadnego w tym przypadku, że pomazańcem
Emersona był Whitman nie Poe. Naród
Sto lat temu był wolną posesją
Dla syntetycznych mitów i poezji
Na wielką narodowo-międzynarodową skalę.
Nie myślę abym przesadzał
Mówiąc że nasz okres wydał
Więcej wierszy z koncepcją epicką, dużych i małych,
Niż razem wzięta historia Rymu!
Masa ta spadła z zadufanych piór
Emersonowskich i whitmanowskich bardów.*

(Przekład własny)

„Traktat poetycki” Miłosza, mimo ząbwiącej się tematyki i pokrewieństwa formalnego z „Esejem” Shapiry, jest artystycznie dojrzałszy i bardziej precyzyjny w obrazie:

*Ktokolwiek białą ręką w tym stuleciu
Prowadzi rzędkie liter na papierze
Słyszysz stukania, głosy biednych duchów
Zamkniętych w stole, w ścianie, w wazie kwiatów.
Dać znać próbują, że ich właśnie ręką
Z materii przedmiot każdy wydobywa.*

Choć zdarzają się odskoki rytmiczne, jak „Oda” do października, zbyt przesycona liryzmem i odbiegająca tematycznie od całego „Traktatu”:

*O październiku.
Zасыpujący rosą rdzawe ślady,
Dmący w róg bawoli nad obozowiskiem powstańców,
Pałący bosa nogi na pochyłych miedzach,
Kiedy idą ziemniaczane i armatnie dymy.
O październiku.*

„Traktat poetycki” jest najambitniejszym tomem w twórczości Miłosza, który wzrokiem epika patrzy na stan poezji polskiej przed wojną, starając się przywrócić jej utracaną na korzyść prozy palmę pierwszeństwa:

*Ale te walki, gdzie stawką jest życie
Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było.*

Ostatni tom wierszy Miłosza „Król Popiel i inne wiersze” jest niesłychanie czysty i szczery. Wydaje się jakby Miłosz przeszedł przez kąpiel wiosennego deszczu, w którym jego wyobrażenia uległa odmłodzeniu i odświeżeniu. W „Traktacie” można było zauważyć czasami pewną oschłość języka, napotykalismy zdania usztywnione, czuło się ich kostnienie. Tu, w „Królu Popielu” całkowicie ulegamy urokowi słowa. Czystość i intensywność wizji, jej bezpośredniość i zwartość, wywołują w czytelniku falę wewnętrznego ciepłego zadowolenia. Przechodzimy od zdania do zdania, zaglądając w ich plastyczne wnętrza, tak jakbyśmy przyglądali się roślinom, które poddane nieznanemu prawu, pozwalają naszemu oku śledzić ich przyspieszony fizjologiczny rozwój. Miłosz nagle wprowadził nas w głąb zdania, jądro słowa, a tajemnicę tego procesu wyjaśnia nam sam:

*Powinienem powiedzieć kiedyś jak zmieniłem
Opinię o poezji i jak to się stało,
Że uważam się dzisiaj za jednego z wielu
Kupców i rzemieślników Cesarstwa Japonii
Układających wiersze o kwitnieniu wiśni,
O chryzantemach i pełni księżyca.*

A więc „chryzantemy” i „pełnia księżyca”, ściszenie głosu, zwężenie tematyki za ogólnej na bardziej osobistą, więcej liryzmu a mniej epiki. Czy tak jest istotnie? Na to pytanie odpowie nam w przyszłości sam autor. W każdym razie, w „Królu Popielu” widzimy więcej osobistych wierszy i prywatnych przeżyć poety, by dla przykładu przytoczyć następny wiersz, „Oda do ptaka”:

*Abym pojął w biciu skrzydeł co mnie dzieli
Od rzeczy którym co dzień nadaję imiona
I od mojej postaci pionowej
Choć przedłuża siebie do zenitu.*

Moment wielkości, moment nieprzemijającej prawdy i najwyż-

szego prawa, wywołuje Miłosz przez drobny opis i codzienną uwagę:

*Pies, koń i owad, zwierzę leśny i polny
Żyją i giną a ty chcesz trwać wiecznie?*

Wiersz, jak „Heraklit”:

*A tam czy echo niesie dzwoneczki monstrancji,
Czy płyną złote szaty Orlanda Furioso,
Czy pysk ryby zdejmuję płynną farbę z ust
Radiotelegrafistki głębinowych łodzi:*

lub „Mistrz”:

*Nikt nie wie jak płaciłem. Śmieszni. Oni myślą,
Że dostaje się darmo. Przebija nas promień*

fragmenty „Kroniki miasteczka Pornic”, cały niesłychanie wycieniony artystycznie „Album snów” i końcowy wiersz „Po ziemi naszej”, to jest właśnie Miłosz, o którym chciałem pisać na początku, Miłosz niezauważony w Dwudziestoleciu, choć prototypem „Króla Popiela i innych wierszy” jest właśnie pierwszy tom Miłosza, „Poemat o czasie zastygłym”. Ale Dwudziestolecie, zajęte swarami Awangardy ze Skamandrem, nie zauważyło Miłosza z „Traktatu poetyckiego” i „Króla Popiela...” — Miłosza dzisiejszego.

Wacław IWANIUK

Polsko-szkocki Hotel

„STRATHCONA COURT”

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą o d 2 l s z y l i n g ó w

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Kilka uwag o historii

Będę się starał nie sprzeniewierzyć tytułowi i pod pokrywką „uwag” nie przemycać „tez”. Pokusa to zwykle duża. Ulegając, jej wprowadzamy w błąd przede wszystkim samego siebie; gdyż czytelnik snadniej od autora wypatrzyć może brak logiki między wstępną zapowiedzią a końcowym wnioskiem.

„Uwagi” są albo komentarzem pisanym na marginesie myśli wypowiedzianych przez kogoś innego, albo próbą formułowania własnych przypuszczeń, wypływających z własnych wątpliwości lub z podejrzeń, że nie wszystko co myślimy o przeszłości opiera się na stwierdzonych faktach. Przypuszczenia tego typu nie zasługują nawet na miano „hipotez”. Są po prostu ostrożnymi pytaniami z zarysowaną odpowiedzią na niektóre z pytań. Przy każdej próbie odpowiedzi, uczciwość wymaga dodania wyjaśnienia: „odpowiedź jedna z wielu możliwych”. Słowo „przypuszczenie” i słowo „podejrzeń” są prawie synonimiczne ilekroć jako temat myślenia obieramy historię. Historię to znaczy ogromne zespoły zjawisk, których nie możemy już powtórzyć dla sprawdzenia właściwej ich treści. A także uczucia i myśli ludzi, o których niekiedy wiemy bardzo dużo a niekiedy bardzo mało; lecz z całą i absolutną pewnością wiemy tylko jedno: że pomarli.

Niekompletność i niesprawdzalność wiadomości o tym co było, o tym co i jak ludzie myśleli, czuli i chcieli nie zraża często zwolenników porządnego ustawiania myśli w tezy. Wieczne stawianie ciągle nowych pytań bez odwagi sformułowania odpowiedzi ostatecznej i pewnej — niecierpliwi i zniechęca. Zamiast dzielić się z każdym, kto ciekaw lub tylko cierpliwy, swymi wątpliwościami w postaci uwag, czyż nie łatwiej, nie godniej i nie praktyczniej, ułożyć swe myśli w zamkniętą i powiązaną logicznie całość? I nazwać ją tezą? Lub hipotezą? Słowo „hipoteza” osłania często jej wynalazcę przed zarzutem arogancji i z góry osłabia ostrze krytyki. Lecz w historiografii różnica istotna między „te-

zami" i „hipotezami” jest tak mglista, że obie nazwy stają się w gruncie zamiennymi. W naukach ścisłych sytuacja jest łatwiejsza. Nie mamy wątpliwości jaka jest „natura” tezy i hipotezy. Nie potrzebujemy słów tych wstawiać w cudzysłowy. Znamy różnice. Nawet w takich dyscyplinach jak lingwistyka lub etnologia, szacowne rozróżnienie między tezą i hipotezą choć przypomina stary garnek, przecież jest garnkiem bez szczelin i woda z niego nie ucieka.

Lecz we wszystkim co, nawet bezwiednie lub wbrew oczywistej woli i przekonaniu wyznawców takiej lub innej szkoły ideologicznej lub metodologicznej, zahacza o filozofię, o spekulację myślową oderwaną od empirycznego sprawdzianu, rozróżnienie między tezą i hipotezą wymaga dodatkowej umowy, między głoszącymi i słuchającymi. Wymaga elementu wiary w jakieś założenie dogmatyczne, nienaruszalne i leżące poza kręgiem faktów na podstawie których tezę lub hipotezę budujemy.

Dla tych, którzy przyjmują dogmat jako podstawę, teza będzie tezą. Lecz dla innych będzie tylko hipotezą, a jeszcze dla innych wierutnym głupstwem. Wykład Ojców Kościoła lub tezy Lutra są tezami tylko dla ograniczonego zespołu odbiorców. Podobnie jak tezy wypływające z wiary w dogmat o nieomyślności dialektyki materialistycznej.



Układanie myśli w „tezy” lub w „hipotezy”, wówczas gdy myślimy o czymś co było i co się nie powtórzy, stwarza natychmiast konieczność ich „obrony”. Metodologicznie nie jest to zadanie zbyt trudne. Wymaga, rzecz jasna, drobiazgowej i starannej pracy wzmocnionej chytrąścią polemiczną. Lecz łatwość polega na tym, że w obronie tezy z góry wiemy do jakiego wniosku mamy dotrzeć.

Zdarza się często, że obrońca tezy w żmudnym poszukiwaniu dowodów na jej poparcie zaczyna mieć wątpliwości co do prawdziwości lub prawidłowości samej tezy. Wówczas, albo od niej odstępkuje, albo zaślepia się i broni raz obranej pozycji, nie oglądając się na szkody jakie wyrządza odbiorcy, gdy swe własne wątpliwości przed nim ukrywa. Następuje wówczas prostytucja istoty i celu pracy badawczej. Ilekroć przystępujemy do obrony jakiejś *idée proconque*, którą nazwalismy tezą, *przestajemy dociekać*. Gdy chodzi o badania historyczne, o pisanie historii, *przestajemy dociekać prawdy*, do której droga wiedzie przez wątplenie. *Przestajemy się uczyć*, gdyż zaczęliśmy udowadniać.

W tym co było, można znaleźć dostatecznie dużo dowodów na „udowodnienie” każdej tezy. Wszystkich tez. Tez zupełnie ze sobą sprzecznych. Tak się ma sprawa zresztą w każdej nauce społecznej.



Ostrożnie! Miejmy się na baczności. Może już potknęliśmy się w swych uwagach i ulegliśmy tezomani... Któż udowodnił, któż wyjaśnił bez pozostawienia żadnych wątpliwości co znaczy określenie „nauka społeczna”? Czy dyscyplina zwana historią da się zmieścić w takim ogólniejszym określeniu? A może jest odwrotnie? Może „nauki społeczne” mieścić się powinny w ogólniejszym od nich określeniu „historii”?

Być może. Lecz nie wydaje się by zmieniało to istotę zagadnienia. Słowo, nazwa: historia, różne przechodziło koleje, a ścisłość terminologiczna, o którą tak bardzo zabiegają naukowcy, nie wytrzymuje często próby czasu, który obchodzi się beczeremonialnie z każdym słowem w ludzkim wokabularzu. Nauki przyrodnicze musiały także mieścić się w słowie „historia”, zanim nie wyzwoliły się z tej humanistycznej podległości, nie we wszystkich zresztą językach.

Więc wróćmy raczej do sprawy dowodów historycznych, za które uważamy najczęściej fakty z przeszłości. W historii, tym razem nie myślimy o nauce, lecz o rzeczywistości to znaczy o wszystkim co się wydarzyło od pojawienia się człowieka na ziemi po dzień dzisiejszy, żaden fakt nie wystąpił w oderwaniu od innych faktów. Żaden nie pozostał w izolacji i żaden nie wypalił wszystkich swoich skutków. Fakt nie staje się faktem dopiero wtedy, gdy zaczyna się nam zdawać iż wszystko o nim wiemy. Fakty w historii, miliardy i miliardy faktów, przypominają opętany taniec atomów w materii. Wszystkie fakty, i te, o których wiemy i te, o których nie wiemy, pozostają w stosunku funkcjonalnym, w jakimś stosunku współzależności. Wyśledzenie współzależności to zadanie badawcze. Nie jest nim sięganie pełną garścią w niewyczerpaną skarbnicę faktów po to by przesiać je między palcami, po to by na dłoni pozostały te tylko, które przydadzą się do obrony tezy, zbudowanej na dogmacie.

Taką metodą wszystko można udowodnić. W dodatku bez ryzyka pociągnięcia do odpowiedzialności. W ten sposób ciągle się coś w historii udowadnia. Czyż nie szczęśliwsze jest w tym świetle położenie historyka wyznającego tezy i dogmaty od położenia fizyka lub chemika? Wystarczy przecież zadać sobie trud takiego przesunięcia faktów by ułożyć z nich logicznie nienaganną całość. Innymi słowy namalować z nich obraz naszkicowany z góry przez tezę, którą się pragnie udowodnić. Przypomina to układanki z wyciętych w drzewie fragmentów, którymi bawią się dzieci ćwicząc inteligencję, lub chorzy w szpitalach starając się oderwać myśli od bolesnej rzeczywistości.

Nie potrzeba nawet „fałszować faktów”. To metoda prymitywna, którą posługują się ci historycy, którzy zaprzędali się w służbę biura propagandy jakiejś politycznej ideologii. Lecz i oni, jeśli z historyków przekształcili się w dobrych urzędników, mogą wyznaczyć sobie robotę wykonać lepiej w sensie rzemieślniczym. Po co fałszować? Wystarczy dokonać umiejętnej selekcji: jedne fakty uwypuklić, oderwać od tła innych faktów,

wyzolować z masy innych faktów. I przeciwnie: fakt niewygodny można przytłoczyć mnogością innych faktów i zmniejszyć jego wagę. Obraz powstanie pełny i ściśle odpowiadający potrzebom udowodnianej tezy. Obraz może być ciemniejszy lub jaśniejszy, bardziej lub mniej przekonujący. Wynik zależeć będzie od pracowitości i umiejętności zawodowej rzemieślnika-historyka, od jego doświadczenia w „robocie” i od jego talentu pisarskiego.

A także, choć wydaje się to dziwne, od siły jego osobistego przekonania, którym potrafi zarazić odbiorcę tj. słuchacza lub czytelnika. Innymi słowy od stopnia jego wiary w słuszność, piękno lub potrzebę dogmatu, który mu kazał tezę udowadniać.

Dotknęliśmy tu zagadnienia intencji z jaką wyznawca tezy przystępuje do jej udowadniania. Podobnie jak nie możemy przejść do porządku nad intencją czynu, tak samo nie możemy nie uwzględnić intencji myśli. Gdyż jak dotychczas nie możemy wyłumaczyć myśli ludzkiej tylko i wyłącznie procesami biochemicznymi. Pojęcia winy i zasługi, gniewu i miłości, nie dają się zamknąć w formułki materialne. Są pojęciami duchowymi, nawet wtedy gdy unikamy tego przymiotnika. Intencję uwzględniają wszystkie systemy etyczne, nie wyłączając etyki materialistycznej. Intencję uwzględniają też systemy prawne. W nich, podobnie jak w etyce, intencja decyduje o stopniu przewiny — w terminologii chrześcijańskiej o popełnieniu lub niepopełnieniu grzechu.

Także i historyk, może być czysty w swym sumieniu i niewinny we własnym przekonaniu, gdy umiejętnie szereguje fakty na poparcie tezy, w którą wierzy. Im mocniej w nią wierzy tym bardziej przekonujący będzie jego wywód. Gdy wierzy — jest w położeniu bardzo szczęśliwym. Jak każdy człowiek, którego nie trapią wątpliwości. Jest w położeniu adwokata, który broniąc klienta przywołać może w pomoc nie tylko swą wiedzę, swe krasomówstwo i zapal walki z przeciwnikiem, lecz także wiarę w słuszność broniącej sprawy.

Lecz warsztat historyka nie jest kancelarią adwokacką, a historiografia nie jest przewodem sądowym. Przynajmniej być nimi nie powinny. A zasług lub przewinień historyka nie mierzy się jego zdolnościami polemicznymi. Od pytania czy historyk wierzy czy nie wierzy w głoszone i udowodniane tezy zależy jego ocena jako człowieka. Jeśli wierzy: jest człowiekiem uczciwym — jeśli nie wierzy jest oszustem. Sądźmy też, jak mówiliśmy wyżej, że od tego pytania — czy wierzy czy nie wierzy — zależy w dużej mierze rezultat jego wysiłku. Wierzącemu łatwiej przekonać słuchacza lub czytelnika o słuszności tego co głosi. Ale najsilniejsza wiara, podobnie jak największa umiejętność zawodowa, nie wystarczy na to, by z tezy historycznej uczynić niewzruszalne prawo naukowe, podobne do praw rządzących zjawia-

skami przyrodniczymi. Co najwyżej można z niej uczynić jeszcze jeden dogmat ideologiczny, którego wartość praktyczna, skuteczność jako motoru ludzkiego działania, nie będzie zależeć od jego treści, lecz od stopnia wiary jaką w jego nieomyślność zdołał wszczepić w umysł odbiorcy wysiłek obrońcy tego dogmatu.

Wynikałoby z tego, że najpierwszym obowiązkiem historyka nie jest formułowanie lub obrona tez, lecz właśnie staranne ich unikanie. W tym ujęciu historykiem idealnym, historykiem w najczystszej postaci tego słowa znaczeniu byłby kronikarz notujący suche fakty, bez żadnego komentarza i bez żadnych objaśnień.

Wydaje się jednak, że wymagamy od historyka czegoś więcej niż pilnego zapisywania faktów. Umysłu ludzkiego nie zadowala i nie wystarcza mu stwierdzenie: stało się to lub tamto. Stawia natychmiast pytanie: dlaczego stało się tak a nie inaczej? Odpowiedzi oczekuje od historyka. A czy można, po ludzku sądząc, mówić dlaczego coś się stało tak a nie inaczej bez wytyczenia sobie z góry jakiegoś schematu myślowego, bez prób doszukiwania się podobieństw w podobnych warunkach, bez pasji ustalania prawidłowości i bez chęci wyciągnięcia wniosków na przyszłość, które w istocie swej nie są niczym innym niż chęcią pouczenia? Wyminąć te wszystkie pułapki i ustrzec się tych wszystkich pokus byłoby osiągnięciem ideału. Jak każdy ideał także i ten jest nieosiągalny. Nie znaczy to wcale, by do ideału takiego nie warto było dążyć. Chociażby dlatego, by dążąc do ideału narzucić sobie większą dyscyplinę umysłową i utrzymać się na baczności przed łatwiznami i uproszczeniami, które są najpierwszą, zdaje się, cechą twórców tak zwanych szkół myślenia historycznego i proroków ideologii historycznych rzutowanych wstecz z płaszczyzny własnych ambicji i marzeń.

W dążeniu do ideału napotykamy na tak wiele przeszkód, że niekiedy na samym wstępie pracy zacierają się nam wyznaczone z góry cele. Tym — w moim rozumieniu — jest dążenie do obiektywizmu i wyzbycie się elementu uczuciowego w opisie minionych zjawisk. By do celu tego się przybliżyć trzeba z góry przyznać się do możliwości błędu i z góry poddać w wątpliwość każdy wynik badania do którego się dotrze. Wymaga to nie tyle jakiejś odwagi i siły woli. Zwłaszcza, że pociąga za sobą konieczność rezygnacji z wrodzonej chęci filozofowania. Powiedzmy wyraźniej: wymaga rezygnacji z chęci pouczenia, z troski o to czy czytelnik lub słuchacz zrozumie mnie tak jak chcę by mnie zrozumiał i będzie chciał postępować, będzie chciał sądzić, w ten sposób jaki chcę mu narzucić.

Być może, że historia jest nauczycielką życia. Czy nią jest czy nie jest — sprawa dość obojętna, gdyż już samo powtarzanie tego banału przez tysiące lat stępiło całkowicie żądlę jego aktualności. Natomiast nie jest sprawą obojętną, że historycy chcą być nauczycielami życia. Szukanie wskazań i poparcia dla swych pomysłów w historii; natrętne powoływanie się na rzekomo identyczne lub bardzo podobne sytuacje z przeszłości, jest manierą na którą ludzkość cierpi od tysiącleci. Maniera ta w okresie Odrodzenia i Humanizmu stała się myślą przewodnią wszelkiego myślenia i działania ludzkiego. Ideał praktyczny życia — w kulturze, w prawie, w obyczajach i w ustroju — widziano w przeszłości. W prawdziwym lub, częściej, w wymaginowanym obrazie jaki sobie stwarzano o czasach minionych. Mówiąc paradoksalnie: postęp widziano już nie w bezruchu nawet, lecz w świadomym cofaniu się wstecz. Starożytny Rzym lub Hellada były tym wzorem doskonałym ponad który nic i nigdy doskonalszego nie powstanie. Należało zatem dążyć do jego naśladownictwa w pobożnym życzeniu, że stanie się cud i że czas popłynie w tył i przyszłość dorówna przeszłości. A któż mógł lepiej pouczyć i wyjaśnić jak ów wzór wyglądał niż historyk? Uczyniono go nauczycielem i prorokiem przeszłości, tej przeszłości, w której widziano ideał na przyszłość. Wiek osiemnasty i dziewiętnasty zrodziły to pojęcie postępu, którym do dziś się posługujemy, coraz zresztą niepewniej. Należało dążyć do ciągłej zmiany i odbiegać od wszystkiego co było. Lecz i tu nauczycielsko-filozoficzna rola przydzielona historykom nie poniosła uszczerbku. Historia miała pouczać jakich błędów należy się wystrzegać. Zamiast wielbić przeszłość miała przed przeszłością ostrzegać. Jej rola z pozytywnej przerodziła się w negatywną. Niemniej pozostała rola ważna.

I w jednym i w drugim okresie chęć filozofowania łączyła się i dalej się łączy z jak najbardziej utylitarnym i praktycznym celem. Z nauki historii czyniono i czyni się do dzisiaj służkę teoretyczną i dogmatycznie wytyczanych ideologii. Politycznych, kulturalnych, społecznych i ekonomicznych. Tu umiłowanie tezy, ślepa wiara w dogmat, przyświecająca doktrynerom, politykom, reformatom i ideologom podały sobie milcząco ręce z ławizną myślową, która także i historykom kazała trawić czas i siły na budowanie ogromnych domków z kart, opatrzonych w piękne napisy w rodzaju misji dziejowych, przeznaczeń historycznych i wszelkich w ogóle tez historycznych. Dzięki temu podaniu rąk łatwiej było i łatwo jest do dzisiaj wprzęgać historiografię w służbę determinizmu ideologicznego, który mówi, że „tak być musi, gdyż inaczej być nie może”. Na co historiografia odpowiada z ochotą, „nie tylko tak być musi, lecz i tak być musiało gdyż inaczej być nie mogło”.

Na tych przesłankach opierają się wszelkie teorie o prawidłowości procesów historycznych. Wśród teorii tych najsilniejsza dziś, dysponująca imponującą aparaturą pseudo-logicznego myśle-

nia i najmniej podległa skrupułom płynącym z wątpliwości, jest doktryna materialistyczna, która istotę swej pracy widzi nie w opisie lecz w dialektyce.

Lecz filozofia prawidłowości dziejów nie jest monopolem materializmu. Mniej brutalna w narzucaniu swych dedukcji wyściowych, lecz jednocześnie mniej logiczna w przewodzie myślowym — każda teoria głosząca prawidłowość w oparciu o jakieś nieodwracalne rzekomo przeznaczenia społeczne lub narodowe popełnia ten sam grzech. Zwykle tą grupą społeczną bywa naród zorganizowany w państwo. A „przeznaczenia”, które determinują rzekomo historię wyrastają w interpretacji historyków i polityków do miary praw i przywilejów, które zwalniają naród zainteresowany z wszelkich więzów moralnych. W swych wypaczeniach teorie te doprowadziły do koncepcji „narodu panów” Nietzschego i Hitlera. A w innych przejawach, mniej tragicznych lecz przecież służących jako praktyczny motor działania, do wiary w „Manifest Destiny” na kontynencie amerykańskim. Lub do koncepcji mesjanistycznych. A także do doszukiwania się „ducha dziejów” w fantastycznych koncepcjach ideologicznych w rodzaju pasywnej obronności, która pod bardziej urzekającym mianem „przedmurza” nadawać miała sens istnienia narodowi polskiemu, narodowi węgierskiemu lub państwu weneckiemu, oczywiście w okresie ich upadku a nie rozwoju politycznego i ustrojowego.

Koncepcje determinizmu — obojętnie czy będzie nim determinizm materialistyczny czy wypływający z przesłanek uznających przewagę zjawisk duchowych nad materialnymi — przybierają nieodmiennie kształt rozgrzeszania lub potępienia przeszłości w zależności od *obecnie pojmowanego ideału życia na przyszłość*. Nie może przy tym dziwić, że potępienie jednych jest rozgrzeszaniem innych.



Ów ideał wyznaczony i rzutowany na przyszłość staje się najczęściej celem samym w sobie, tak ważnym i jedynym, że uświęca wszelkie środki. Wszystko w historii należy tak naświetlić i tak przeinaczyć by jej całość posłużyła jako mocny fundament dla celu na przyszłość wyznaczonego. Założenie jak najbardziej praktyczne. Lecz ku rozczarowaniu jego zwolenników ciągle zmienne. Wprowadza to trudny do opanowania chaos w umyśle historyków, od których wymaga się raz po raz całkowitej zmiany kryteriów potępienia i rozgrzeszania w stosunku do tego co było. Zaprawdę orwellowska wizja ciągłego „przerabiania prawdy” w najmniejszym szczególe. Wystarczy przejrzeć kolejne wydania „Encyklopedii sowieckiej” by otrzymać przykład konkretny.

Nawet „podtrzymywanie ducha”, tak przydatne politycznie szeregowi pokoleń Polaków i wspomagane pracą legionu historyków, w każdym dwudziestolecu inne przybiera kształty i inne historykom stawia wymagania. Na usprawiedliwienie tych historyków polskich dodać by tu trzeba, że w okresie poprzedza-

jącym obecnie obowiązującą w Polsce doktrynę potępienia wszystkiego co było, wyjątkowo mało popełniali świadomych przestępstw i nie ograniczali się do idealizowania dziejów Polski, lecz znajdowali zawsze odwagę na wypowiedzianie krytyk.



Doszliśmy, zdaje się, do sedna zagadnienia: czy historia jako nauka jest powołana do osądzania historii jako rzeczywistości? Odpowiedź twierdząca byłaby do przyjęcia tylko w tym wypadku, gdyby istniało jedno prawdziwe i niezmiennie kryterium sądu. Sąd historyczny jest sądem nad czynami, myślami i co gorzej nad uczuciami ludzi. Tylko ludzie mają historię. Tym się różni — zdaniem Chestertona — od krów na pastwisku. Ludzi nie umiemy sądzić inaczej niż w oparciu o dwa podstawowe pojęcia: „dobrze” i „źle”. Gdyby założyć, że pojęcia te są absolutne i w każdym szczególe niezmiennie, sąd historii mógłby pretendować do miana wyroku sprawiedliwego i słusznego. Gdyby tak było, nowe badania i nowe naświetlania faktów byłyby tylko wznowianiem procesów nad jakimś okresem lub nad jakimś ludźmi dziś już nie żyjącymi. Byłyby wznowianiem procesu, jego rewizją, lecz kryterium wyroku nie ulegałoby zmianie. Co jednak zrobić, gdy się nie posiada pewności, iż pojęcia „źle” i „dobrze” są zawsze te same i niezmiennie? Jeżeli przyznamy, że pojęcia „dobrze” i „źle” zmieniają się z biegiem czasu dylemat staje się bardzo trudny. A wiemy, przecież, że tego rodzaju zmiany w poglądach odbywają się ciągle. Wolniej gdy chodzi o sprawy podstawowe, szybko w szczegółach.

Wynika z tego chyba, że ilekroć historia-nauka uzurpuje sobie prawo sądenia historii-rzeczywistości, wyroki jej dyktowane są przez kryteria ocen obowiązujące w danej chwili w danym społeczeństwie. Dlatego ciągle jest to wyrok nowy. Dlatego ciągle przepisujemy historię na nowo. Dlatego tworzą się coraz nowe tezy, których wartość jest przemijająca.

Powiedzieliśmy już wyżej, że ideałem byłoby całkowite odżegnanie się od tezy, rezygnacja z sądenia. Ideał taki oczyszczałby historiografię z dążenia do przykładania na czasy minione miary czasów obecnych. Wyznaczałby jej zadanie inne: zrozumienie i wytłumaczenie jakimi kryteriami i przesłankami myślowymi rządzą się ludzie dziś już nie żyjący wówczas gdy żyli, gdy myśleli, czuli i działali. Zadanie bardzo trudne. Czy ktoś będzie je mógł wypełnić kiedykolwiek w sposób doskonały? Na pewno nie. Lecz każdy może z pożytkiem starać się zadanie takie wypełnić.

Jedynym warunkiem podstawowym byłoby w tym wypadku uprzytomnienie sobie, że tak samo jak pokolenie dziś żyjące, tak samo żadne z pokoleń przeszłych nie działało i nie myślało w oparciu o kryteria, które powstaną dopiero w przyszłości. Mogło sobie wyobrażać przyszłość, mogło sobie jej kształt imaginować i dążyć pilnie by do wyimaginowanego kształtu się przybliżyć.

Lecz w pracy myślowej ograniczać się musiało — tak jak i my dziś się ograniczamy — do pojęć znanych i zrozumiałych. Zabiegało o szczęście swych synów i wnuków. Lecz nie wiedziało co synowie i wnuki za szczęście będą uważali. Gdybyśmy potrafili odtworzyć sobie intencję przeszłych pokoleń sąd nasz mógłby rościć sobie prawo do miana sądu sprawiedliwego.

Można by zapytać z kolei, czy nie próżno to wysiłek? Przecież doszukiwanie się intencji czynu wówczas gdy nie mamy żadnych możliwości doświadczenia porównawczego prowadzi na manowce, gdyż zamiast prawdy wprowadzimy w historiografię fantazję i domysły. Czyż nie lepiej ograniczyć się do wydawania sądów w oparciu o skutek, który my znamy, choć znać go nie mogli nasi podsądni? Nawet jeśli sądy będziemy ciągle zmieniać w miarę zmiany kryterium oceny? Czyż doszukiwanie się intencji postępowania każdego pokolenia nie zaprzeczy ciągłości historii, nie uczyni z niej szeregu hermetycznie zamkniętych pudełek, których zawartość będzie miała znaczenie tylko antykwaryczne. Odpowiedzi może być wiele i każda wytworzy nowe wątpliwości.

Ratunkiem przed wątpliwościami może być pamięć o tym, że wszystko czego dokonali ludzie w przeszłości było współzależne. Nie ma niczego co się stało kiedyś a co by nie miało jakiegoś wpływu na to, co się dzieje teraz i co się dzieć będzie w przyszłości. Nie możemy poznać teraźniejszości nie znając przeszłości. Dzięki temu rola historii jako nauki nie kończy się nigdy i jest nie do zastąpienia. Historia jest nam potrzebna, jako podstawowy element wiedzy i kultury. Lecz poznawanie przeszłości nie musi być jednoznaczne z osądzaniem przeszłości, podobnie jak obserwacja teraźniejszości nie musi być jednoznaczna z osądzaniem teraźniejszości. Paradoksalnie można by się posłużyć porównaniem z funkcją dziennikarstwa, które służy opisywaniu „na żywo” wszystkiego co się dzieje. Sądy dziennikarskie, kształtowania opinii itp. to funkcje wtórne w dziennikarstwie. Funkcją podstawową jest opis, jest reportaż, a nie publicystyka. Dziennikarstwo jest historią teraźniejszości, jest udoskonaloną kroniką. Jej rdzeniem jest opis. Opis też pozostaje rdzeniem historiografii — którą, nikogo nie obrażając, nazwać by można dziennikarstwem rzutowanym wstecz.

Z uwag naszych wyłania się, jak się zdaje, jeden tylko wniosek końcowy: celem pracy historyka jest ułatwić ludziom poznanie rzeczywistości. Im dalej stać będzie od chęci pouczenia, od idei reformatorskich, od moralizatorstwa i doszukiwania się „praw” historycznych tym lepiej zadanie swe wypełni.

I tym więcej nauczyć.

Paweł ZAREMBA

jącym obecnie obowiązującą w Polsce doktrynę potępienia wszystkiego co było, wyjątkowo mało popełniali świadomych przeinaczeń i nie ograniczali się do idealizowania dziejów Polski, lecz znajdowali zawsze odwagę na wypowiedzanie krytyk.



Doszliśmy, zdaje się, do sedna zagadnienia: czy historia jako nauka jest powołana do osądzania historii jako rzeczywistości? Odpowiedź twierdząca byłaby do przyjęcia tylko w tym wypadku, gdyby istniało jedno prawdziwe i niezmiennie kryterium sądu. Sąd historyczny jest sądem nad czynami, myślami i co gorzej nad uczuciami ludzi. Tylko ludzie mają historię. Tym się różnią — zdaniem Chestertona — od krów na pastwisku. Ludzi nie umiemy sądzić inaczej niż w oparciu o dwa podstawowe pojęcia: „dobrze” i „źle”. Gdyby założyć, że pojęcia te są absolutne i w każdym szczególe niezmiennie, sąd historii mógłby pretendować do miana wyroku sprawiedliwego i słusznego. Gdyby tak było, nowe badania i nowe naświetlania faktów byłyby tylko wznowianiem procesów nad jakimś okresem lub nad jakimś ludźmi dziś już nie żyjącymi. Byłyby wznowianiem procesu, jego rewizją, lecz kryterium wyroku nie ulegałoby zmianie. Co jednak zrobić, gdy się nie posiada pewności, iż pojęcia „źle” i „dobrze” są zawsze te same i niezmiennie? Jeżeli przyznamy, że pojęcia „dobrze” i „źle” zmieniają się z biegiem czasu dylemat staje się bardzo trudny. A wiemy, przecież, że tego rodzaju zmiany w poglądach odbywają się ciągle. Wolniej gdy chodzi o sprawy podstawowe, szybko w szczegółach.

Wynika z tego chyba, że ilekroć historia-nauka uzurpuje sobie prawo sądenia historii-rzeczywistości, wyroki jej dyktowane są przez kryteria ocen obowiązujące w danej chwili w danym społeczeństwie. Dlatego ciągle jest to wyrok nowy. Dlatego ciągle przepisujemy historię na nowo. Dlatego tworzą się coraz nowe tezy, których wartość jest przemijająca.

Powiedzieliśmy już wyżej, że ideałem byłoby całkowite odżegnanie się od tez, rezygnacja z sądenia. Ideał taki oczyszczałby historiografię z dążenia do przykładania na czasy minione miary czasów obecnych. Wyznaczałby jej zadanie inne: zrozumienie i wytłumaczenie jakimi kryteriami i przesłankami myślowymi rządzą się ludzie dziś już nie żyjący wówczas gdy żyli, gdy myśleli, czuli i działali. Zadanie bardzo trudne. Czy ktoś będzie je mógł wypełnić kiedykolwiek w sposób doskonały? Na pewno nie. Lecz każdy może z pożytkiem starać się zadanie takie wypełnić.

Jedynym warunkiem podstawowym byłoby w tym wypadku uprzytomnienie sobie, że tak samo jak pokolenie dziś żyjące, tak samo żadne z pokoleń przeszłych nie działało i nie myślało w oparciu o kryteria, które powstaną dopiero w przyszłości. Mogło sobie wyobrażać przyszłość, mogło sobie jej kształt imaginować i dążyć pilnie by do wyimaginowanego kształtu się przybliżyć.

Lecz w pracy myślowej ograniczać się musiało — tak jak i my dziś się ograniczamy — do pojęć znanych i zrozumiałych. Zabiegało o szczęście swych synów i wnuków. Lecz nie wiedziało co synowie i wnuki za szczęście będą uważali. Gdybyśmy potrafili odtworzyć sobie intencję przeszłych pokoleń sąd nasz mógłby rościć sobie prawo do miana sądu sprawiedliwego.

Można by zapytać z kolei, czy nie próżno to wysiłek? Przecież doszukanie się intencji czynu wówczas gdy nie mamy żadnych możliwości doświadczenia porównawczego prowadzi na manowce, gdyż zamiast prawdy wprowadzimy w historiografię fantazję i domysły. Czyż nie lepiej ograniczyć się do wydawania sądów w oparciu o skutek, który my znamy, choć znać go nie mogli nasi podsądni? Nawet jeśli sądy będziemy ciągle zmieniać w miarę zmiany kryterium oceny? Czyż doszukiwanie się intencji postępowania każdego pokolenia nie zaprzeczy ciągłości historii, nie uczyni z niej szeregu hermetycznie zamkniętych pudełek, których zawartość będzie miała znaczenie tylko antykwaryczne. Odpowiedzi może być wiele i każda wytworzy nowe wątpliwości.

Ratunkiem przed wątpliwościami może być pamięć o tym, że wszystko czego dokonali ludzie w przeszłości było współzależne. Nie ma niczego co się stało kiedyś a co by nie miało jakiegoś wpływu na to, co się dzieje teraz i co się dzieć będzie w przyszłości. Nie możemy poznać teraźniejszości nie znając przeszłości. Dzięki temu rola historii jako nauki nie kończy się nigdy i jest nie do zastąpienia. Historia jest nam potrzebna, jako podstawowy element wiedzy i kultury. Lecz poznawanie przeszłości nie musi być jednoznaczne z osądzaniem przeszłości, podobnie jak obserwacja teraźniejszości nie musi być jednoznaczna z osądzaniem teraźniejszości. Paradoksalnie można by się posłużyć porównaniem z funkcją dziennikarstwa, które służy opisywaniu „na żywo” wszystkiego co się dzieje. Sądy dziennikarskie, kształtowania opinii itp. to funkcje wtórne w dziennikarstwie. Funkcją podstawową jest opis, jest reportaż, a nie publicystyka. Dziennikarstwo jest historią teraźniejszości, jest udoskonaloną kroniką. Jej rdzeniem jest opis. Opis też pozostaje rdzeniem historiografii — którą, nikogo nie obrażając, nazwać by można dziennikarstwem rzutowanym wstecz.

Z uwag naszych wyłania się, jak się zdaje, jeden tylko wniosek końcowy: celem pracy historyka jest ułatwić ludziom poznanie rzeczywistości. Im dalej stać będzie od chęci pouczenia, od idei reformatorskich, od moralizatorstwa i doszukiwania się „praw” historycznych tym lepiej zadanie swe wypełni.

I tym więcej nauczyć.

Paweł ZAREMBA

Pierścień z papieru

Od razu poszła o mnie wieść. Na jarmarkach, po zajazdach, dworach, plebaniach, między chłopami i Żydami. W kuźniach, na targowicy, po wozowniach, stajniach, w bazylikańskich monasterach. Przyjechał...

W czasie odpustów i prazników, przy tołokach, sianożęciu, u pocieni żydowskich sklepów, przed bóżnicą i u wejścia do cerkwi (na górze bania monasteru Bazylianów, do góry biegną ścieżki wydeptane przez pątników, kręte, kapryśne, w pośród wyszczypanej przez gęsi murawy, zbiegają się u furty klasztornej, gdzie podcień i podwórze cerkiewne pachnie w słońcu wapnem i potem świątobliwym, i tu taborem obóz dziadów, chałturów, kalek zawodzących i miamlących modlitwy, pieśni, błagania i prośby, „Hospody pomyśl”, „Świataja Preczystaja”, głosy, szkaplerze, różańce, tułowie, grzbiety, garby, kikuty, kule, powykręcane stopy, pokurczone w szpony garście, puste na zawsze oczodoły ściągnięte zmarszczką skóry, grymasy niezrosłych od urodzenia ust, rachityczne pałaki, małpie twarze, kuternogi, obnażone na pokaz resztki ramion, torby, kije, głowy okutane w szmaty, czasem atletyczny tors obok wyschniętej na szczapy kupy kości ludzkich, a nad nimi, na bielonych ścianach podcieni czarne płótna obrazów z głowami świętych w aureoli, twarze o surowym wyrazie z parą patrzących w ślup oczu, którym brwi, rzęsy, oprawę prymitywny malarz zrobił maskarę jak w salonie piękności, a nad nimi w wieńcu głągolicy Duch Święty — Paraklet), w salonach resursy, nad zielonym suknem stołów karcianych, po kancelariach adwokackich, wśród wozów czekających przed młynem albo u przewozów i brodów, powtarzano i wyolbrzymiano wieść, niosła się i rozchodziła. Przyjechał...

Wrócił, mówili. Majątek u niego, powiadali, kruszec, dobro, mnóstwo, massa. Przyjechał, mówili, z całym dworem, końmi, psami, a dywany i kobierce, mówili, u niego, srebrne naczynia, makaty, uprząż, rzędy, dywdyki, łańcuchy, stroje. Mówili o mnie żem stanął w najlepszym, najszykowniejszym zajęździe, żem z kozakami przyjechał, służbą a konie u mnie, araby, a sfora, charty.

Tym co mnie spamiętać nie mogli, bo gdzie tam, to były lata temu, to mówili jaki to ja byłem wtedy, że nie było u nikogo większej fantazji. Że to od moich czasów datuje się pamięć koniarzy, furmanów, zaprzęgów, że to mnie spędzali konie od Azowa, od Mołdawii, z Anatolii i puszczy węgierskiej, różne maścią, zbierane po jarmarkach, kradzione za kordonem, spędzane z dalekich stron, uchlastane po kłęby, dosiadywane na oklep przez koniuchów, pławione wśród zarosłych szuwarami stawów, łypiące krwawym okiem wpośród tłumu, zgiełku i kurzu jarmarku końskiego, gdzie każą im iść stępą, kłusa, galopem, gdy w pośród szamotania się i tulenia uszu, z wiszącym u pyska koniowodnym kowal pasuje im do rogu kopyta rozpaloną podkowę w kłębach gotującej się pary hartowaną.

To o mnie opowiadali żem na czwórkę dobierał konie nie maścią, nie z wyglądu ale dla ich wytrzymałości, a im brzydsze były i pokraczniesze tym bardziej były pożądane. Że sadziłem się na oryginalność, więc w czwórce z zasady musiał być srokacz, a inne żeby były jak najdziwniejsze, mroziatę, dropiatę, wilczatę, deresze, rzadkich odmastków hamany, a jak który miał szramę po opaleniu w pożarze to tą szramą wprzągało się go na zewnątrz, a jak miał rybie oko czyli jak się to mówiło „zerkaty” to tym cenniejszy. A uprząż to mogła być u mnie tylko z surowcowej skóry, kręconej po domowemu, szytej nie dratwą lecz rzemieniem, uprząż prosta i łatwa do wkładania, czy też wyprzęgania na prędcę, typu szorowego, ze skóry złożonej we dwoje, mizdrą do środka i licem na zewnątrz, napierśnik i nakarczek, od którego po bokach i wokół biegł pas natylnik z upinaczem natylnika biegnącym grzbietem końskim, od którego podtrzymywały go szelki. To one powstrzymywały rozpędzony wóz, trzymały go konie dyszlowe, natomiast konie przyczepne, orczykowe, albo tak zwane „biczowe” kiedy w czwórce w „porącz”, były wprzęgnięte do orczyków zaczepionych do bocznych posmyków zahaczonych o szynkle tylnej osi. A już prawdziwą ozdobą upręży były uzdy, z ich nagłówkami, policzkami, nachrapnikami i rzemieniem biegnącym środkiem twarzy końskiej, nabijanym mosiężnymi tarczami. A zwłaszcza wspaniały, zdobny w kłamrę i mosiężne nabijania pas, który przebiegał od nagłówka pod szyję, ganaszowanie, pas u którego zawieszało się bałabony, kałatały

i szeptuny, bałabony lane ze srebra carskich rubli, szeptuny ciągnięte po domowemu z blachy starych pił i kałatały drewniane, z dobrze wysuszonego drzewa gruszkowego, kwadratowe, skuwane na spojeniach, w które uderzały serca z drewnianych paciorków nanizanych na drut.

Ktoś mnie widział na drodze spadającej z Przełęczy Tatarskiej w stronę Rahowa, drodze zapchanej kolumnami samochodów, ciężarówek, wozów, platform, sprzętu, ludzi pieszych, zapatrzonych w jedną stronę, gdzie w pośród kurzu i tętentu kopyt przepychał się tabun koni, gnany od setek kilometrów, stłoczony, ściśniony, fala grzyw i karków końskich, szyi zmydlonych i boków mokrych od potu. Konie były młode, jakaś stadnina z Janowa Podlaskiego, Włodawy? dwu i trzylatki, zastrachane i toczące białkami oczu, z rozwartymi chrapami, w tumanach kurzu. Tym razem konie stanowiły jedno z ludźmi. Już nie było tej strasznej różnicy niemych zwierząt i artykułowanego przemądrzania się ludzkiego, nad grzbietami końskimi nie świstał bat ani przynaglało ich ludzkie przekleństwo.

A potem, wieść szła, miałem pół świata zwiedzić. Mnie, którym znał stadniny Chorostkowa, Czarnokoniec, Jarczowiec, Albigowej, Sławuty przyszło poznać inne, w Babolnie na Węgrzech, w Lippiza w Austrii, stadniny Pompadour i Tarbes we Francji, „Royal Mares” w Malmesbury i Tutbury w Anglii. Widziano mnie w Longchamps i u paddocków Newmarket, na przeszkodach w Saumur i w Hurlingham gdzie grają w polo. Mówili żem nocował w namiotach Wahabitów i ujeżdżałem ich konie i znałem ich rody, rody słynnej piątki Al-Khamsa, gniade, o podłużnej twarzy i wysokim nadpęciu „kuhailany”, siwe „saklawi” o długich nogach i głębokiej piersi, złotej maści „munighi” o wąskim, wydłużonym tułowiu, żem je po ich chodach, pokroju, odsadzie ogona nieomylnie poznawał. Po czerwonym, krwawym rozwarciu chrap, nerwami przesianej, delikatnej skórze, rzeniu biorących na kiel ogierów, po spadającej grzywie, różowych oczach, przybranych w wiązane z czerwonej wełny uzdy klaczy i niecierpliwym szukaniu wymienia żrebaków.

Mówili żem w Carogrodzie poturczył się, zbisurmanił, żem zaparł się wiary i przywdział turban paszy i przyjął epolety, krzywą szablę i buńczuk. Powiadali ze zgrozą, że obraz Czarnej Matki Boskiej w monasterze ułaszowieckim spłynął wtedy krwawymi łzami i pękły carskie wrota w jej cerkwi.

W każdym razie miałem przyjechać. Mniejsza o to jakim tam obrzezańcem wróciłem, czym rozsiadał się na miękkich „karamani”, perskich „hamadanach” i „saroukach”, modlitewnych „czirwanach”, mniejsza o to czym gryzł bursztyn cybucha, czy za

Firdusim słowik był dla mnie „bul-bul”, czym legitymował się firmanem (który odebrawszy należy z szacunkiem ucałować), w każdym razie wróciłem.

Powiadali żem przywiózł ze sobą żonę, obcą, młodą, czarnobrewą, Greczynkę. To pewnie musiało należeć do tego orientального bagażu, bo jakżeby inaczej miało być. Taka spod dalekiego nieba egzotyczna, zakwefiona, ognista o powłóczącym spojrzeniu spoza welonów miała być tak nieodzowna jak powymyślane bogactwa, srebra, konie i charty. Wieść po prostu sama zaokrągląła w kompozycję tę historię zapóźnionego powrotu.

Więc kiedy tak, to sobie to jeszcze sam uzupełnię. Każę sobie osiodłać konia, wychudzić, wystroić jak dryganta dla drużby na weselu. Z podwórza w bramę, z bramy drogą, tędy jak kuźnia na skraju wsi.

Strzeż się kowalichy co w ogrodzie, wśród ostów, burzanów i łopuchów zasiewa anhełycę, dziewanny, rutę, biedrzeńnic, tiutiu, rabarbar, rumianek, co zbiera szalej, piołun, kokoryczkę, belladonnę, śláz, co warzy pijanice, centurianum-dorohozołot, dziurawce, co wie gdzie znaleźć walerianę, passiflorę, podbiał, dziką różę, co hoduje miętę, tymianek. Omijaj, unikaj jej oczu, nie patrz na jej nogi, kiedy spódnice zatyka w pasie, kiedy przedzie cieniotko, kiedy niesie wiadra na koromesle od potoku, kiedy otręby zadaje świniom. To ona, jak podpatrzeć w samo południe, zakrada się do stajni, ze stołkiem i z kopcem i usiadłszy u ściany, gdzie na hakach wiszą uprząże, szleje, uzdy, postronki, naszelniki, ujmuje wiszące końce lejcy, czarownica, i doi je i strzyka z rzemiennych końców lejcy tych mleko do trzymanego udami skopca, ciur ciur, słońce świeci i deszcz pada czarownica masło składa, ciur ciur, mleko czarownica odbiera krowom ze wsi i doi je z tych rzemiennych lejcy i z miaukiem ociera się o jej gołe kolana czarny kocur, towarzysz nocnych wypraw wiedźmy.

To na jej zbliżenie się ogiery tulą uszy, przypierają się do ścian klatki, kopią, cofają się, przysiadają na zadach, przestępują kopytami, gryzą i chrapią, stają dęba. To ona może sprowadzić na nie kolkę, ochwat, kulawiznę, parchy, odparzenia, koler, to ona sprawi że zatratują się, zagwoździ im kopyto i gnić im będzie żywcem, rzuci się na nie nosacizna, ślepotą, narowy, zastudzą się, będą chromać, gubić podkowy, płoszyć się u krzyży na rozstajach, czepi się ich dychawica, będą łykawe, ogarnie je błąd i będą ponosić.

To harap! aż pręgi występują na delikatnej skórze i w pole!

Stary okop wojenny ciągnie się grzbietem pól, rów krzywą linią biegnący, z jego trawersami, przecznicami i dobiegami, z

wysypanym na przedpiersie marglem, który kiedyś, po zasypianiu będzie znaczyl świezo zorane niwy jak blizna biala wśród czarnoziemu. Opuszczony okop służy za cmentarzysko końskie. Jest bardzo łatwo i oszczędza to wysiłku ściągnąć tu taki zewłok koński do tego rowu i na prędce przysypać go niezdarnie po wierzchu ziemią. Wkrótce psy tam znajdą drogę i tę ziemię będą rozgrzebywać by dobrać się do ściierwa. Brzuch zapadnie się, sterzyć będą tylko żebra i rozwłócone golenie i kopyta końskie. Czerep, głowa z czarnymi oczodołami, wyszczerzone zęby, potężna zuchwa, kręgi szyjne, łopatki, ostre, kańciaste stawy biodrowe, szkielet, zmyślna machina, przeguby jej, anatomia celowa, maszyna obrona z mięśni, cuchnący zewłok koński. Po nocy dźwignie się rozpaczliwie, naprzód na przednie nogi, a potem z jękiem końskim bólu i rozpacz, że coś mu jeszcze raz każe powstać, chwając się poderwie się jeszcze raz z przekleństwem życia, wzniesie puste żebra do oddechu, przerywającego się jak spłoszony ptak przez pręty klatki. Po nocy, wśród kłaków chmur straszliwa zjawia zbiegłych do kupy piszczeli końskich powstałych w straszną karykaturę, ażeby jeszcze raz posłużyć ludziom, popozować do rozbieganej, rozgalopowanej czwórki Głodu, Moru, Wojny, Śmierci wymyślonej przez ludzi, ozwie się strasznym rżeniem rozlatanego szczęściem wśród łąk żrebaka by przejść w dziki kwik koni, które w panice i trwodze kosiło na wszystkich polach bitewnych świata.

A my teraz stępa przez dąbrowę, twarde, pożółkłe z jesieni trawy, miotły sztywne w styczniowym powietrzu. Lśnią w posród grzywy mego konia, szumiącej grzywy, odświeżenie wplecione w nią złote krążki, jak cekiny w warkocz cyganki. Jest już siny, zimowy wieczór i las przechodzi w granat. Dobrze jest być blisko domu. Śmiało można patrzeć w czelusz świata, głęboko wciągać mroźne powietrze, nastawić mu policzek.

W domu knot naftowej lampy pływa w bursztynowo-żółtej cieczy, płomień jak żółte pawie oko patrzy uważnie i mądrze na cienie pokoju. W samowarze cieniutko pieje woda i herbata w szklance złoci pozostawioną w niej łyżeczkę poślótką złotą i aromatyczną.

W świetle lampy widzę swą dłoń położoną na stole i na serdecznym jej palcu lśni błyskiem żelaznym pierścień z papieru.

Zygmunt HAUPT

Fragment z książki, która w niedługim czasie ukaże się w „Bibliotece Kultury” pod tym samym tytułem.

Wiersze

Brat kamień

*Przecież do Ciebie wrócę,
przecież nie ma innego losu,
przecież się trzymam kurczowo
szumiących twoich włosów.*

*To tylko takie udawanie,
chodzenie bokiem,
że potrafię puścić w niepamięć
sprawy nasze wysokie.*

*To Tyś mi pokazała
stopnie w słowie wyrzute,
z twojej ręki klamry i liny
do zdobywania liter.*

*Tylko od Ciebie kubek
tego słodkiego mleka,
duszy oczarowanie,
najmilsze przyleganie
liter do człowieka.*

*Są ogromne porty na świecie,
w portach statki ciężko ładowane,
a ja wrócę i już zostanę.*

*Poznałem kraje jak pejzaże,
zwidziłem ludzi jak okolice*

*i wiem już: po za Tobą
nimi się nie zachwyce.*

*Zachwyci się mój słuch i wzrok,
bo tak czasami bywa,
ale nie to, co w środku drży
i co się nie nazywa.*



*O Tobie mówią marynarze: świt,
a górnicy: wieczorna pora.
Brat mój, kamień, z twojego pola
w południe się wyorał.*

*I to jest drzenie wyorania
i obsychanie nasze.*

*A przed zaśnięciem niech choć raz
lampę u Ciebie zgaszę.*

Jan ROSTWOROWSKI

Lancaster, 5 wrzesień, 1962

Poezja południowo- amerykańska

XAVIER VILLARRUTIA (Meksyk)

NOKTURN, W KTÓRYM PRZEMAWIA ŚMIERĆ

Tytuł oryginału: *Nocturno en que habla la muerte*

*Jeśli śmierć przybędzie ze mną tutaj, do New Haven,
ukryta w fałdzie ubrania w walizce,*

Przełożył z hiszpańskiego Jerzy NIEMOJOWSKI. Wiersze te wejdą do zbioru pt. „Krótka Antologia Poezji Iberoamerykańskiej”, obejmującego selektywny wybór pod kątem widzenia innowacji formalnej i konkretnego przykładu kolorytu lokalnego. Będzie to antologia kontrastów, nie tylko wzajemnych kontrastów poszczególnych krajów Ameryki Środkowej i Południowej, ale i podstawowego kontrastu do całości poezji reszty obszaru atlantyckiego. Antologia jest na ukończeniu.

*w kieszeni któregoś z garniturów,
pomiędzy kartkami książki,
jak znak, który mi już niczego nie przypomina;
jeżeli moja własna śmierć przystanie w oczekiwaniu
na datę, na ten moment, który tylko ona jedna zna,
by rzec to do mnie: „Oto jestem.
Szedłem za tobą jak cień,
którego nie możesz tak, zwyczajnie, pozostawić w domu;
jak cząstka powietrza, niewidzialna i ciepła,
pomieszana z zimnym, ostrym powietrzem, które wdychasz;
jak pamięć tego, co kochasz najwięcej;
jak zapomnienie, tak, jak zapomnienie,
któremu dałeś paść na wiele spraw,
bo ich nie pragniesz przechować w pamięci.
I do niczego nie prowadzi to, że mnie szukasz zwrotem głowy:
jestem na zewnątrz ciebie i równocześnie w tobie.
I niczym jest morze, choćbyś je chciał jak bóg
wstawić pomiędzy nas;
i niczym jest ziemia, choć mierzą ją ludzie,
o nią zadają śmierć i za nią giną;
niczym sen, w który chciałbyś uwierzyć, że żyjesz
beze mnie, gdy ja sama rysuję go i ścieram;
niczym dnie, które liczysz
raz za razem i o każdej godzinie,
ani godziny, które z pychą zabijasz,
nie myśląc o tym, że się na nowo rodzą — poza tobą.
Wszystko to niczym jest, niczym są niezliczone
sidła, które na mnie zastawiasz,
niczym dziecinne wybiegi, twe próby, by mnie porzucić
oszuowaną i zapomnianą.
Oto jestem. Nie czujesz tego?
Otwórz oczy; zamknij je, jeśli chcesz!”*

*A teraz pytam sam siebie:
jeśli nikt nie wszedł w pokój sąsiedni,
kto tak starannie zamknął drzwi?
Jakaż to skryta siła ciężkości
strąciła kartkę papieru ze stołu?
Dlaczego się zadomowił tutaj, nagle i bez zaproszenia,
głos kobiety z rozmowy ulicznej?*

*I gdy pióro naciskam,
coś jakby krew pulsuje i krąży w nim*

*i czuję że poszarpane litery,
które stawiam w tej chwili,
zbyt małe, nadto drżące, bardziej ułomne,
o, nie tylko moja dłoń postawiła.*

MIGUEL ANGEL ASTURIAS (Gwatemala)

INDIANIE SCHODZĄ OD MIXCO

Tytuł oryginału: *Los Indios bajan de Mixco*

*Indianie schodzą od Mixco
z ładunkiem ciemnego błękitu,
naprzeciw wychodzi im miasto,
miasto ulic przerażonych,
z jedną garścią świateł, które
jak gwiazdy się przyćmiewają
z nadejściem szarej godziny.*

*Łomot ich serc się dobywa
z rąk podobnie wiosłujących
jak para wiosł na wietrze
i do stóp podobne ślady
ich stopy znaczą na stałe
na mokrym piachu gościńca.*

*Gwiazdy, co się wynurzają
w Mixco, pozostają w Mixco,
bo Indianie łowią je, by
mieć je w koszach napęcznionych
kurami i ogromnymi
kwiatami białymi jak bagnet
hiszpański i poślacany.*

*Jest spokojniejsze to życie
Indian od życia naszego
i kiedy schodzą do Mixco,
słyszysz się tylko ich oddech
pośpieszny, gdy czasem zasyczy
jak wąż jedwabisty na wargach.*

CONSTANTINO SUASNAVAR (Honduras)

LICZBY

Tytuł oryginału: *Numeros, XXX*

*XXX
Mijam, patrząc na hotele,
zamiatacz, żeby móc jeść —
i nic.*

*Mijam tutaj targ za targiem
i to samo —
nic.*

*Mijam te wszystkie ulice
i już nie umiem pozbierać
nawet słów.*

Nic, zupełnie nic.

CLAUDIA LARS (El Salvador)

PORTRET KOBIETY-PIONIERKI

Tytuł oryginału: *Dibujo de la mujer que llega*

*Wyniosła — po kostki w błocie.
Nie jak łodyga kwiatowa,
ani pragnienie motyla...
Bez przywiązań i bez gier:
prostsza, pewniejsza siebie,
więcej wolna.*

*Znająca dobrze cień i cierni.
Z cudem w górę uniesionym
w ramionach triumfujących.
Z barierą i przepaścią —
niżej skoku.*

*Pani absolutna ciała,
by je przekształcić na rdzeń ducha:
naczynie niebiańskich spraw,*

*domus aurea, gleba,
z której kłują się paki
kukurydzy, nardu.*

*Niepomna uśmiechu Giocondy.
Rozbity czar stuleci.
Zwyciężająca niepokoje.
Widoczna i naga w klarowny dzień.*

*Kochanka nieporównana
w tak wyniosłym trudzie miłości,
że dziś tego nikt nie przeczuwa.
Słodka
filtrowaną słodyczą,
co nie rani, nie odurza próbującego jej.*

*Mimo to — macierzyńska,
a bez pieśczoły, która wstrzymuje lot
i bez czułości, co okręga,
czy ustępstw lichych, które się splota.*

*Pionierka chmur.
Przewodniczka po labiryncie.
Tkająca płótna i pieśni.
Bez innych ozdób prócz prostoty.*

*Podnosząca się z pyłu...
Nie jak łodyga kwiatu,
która jest ledwie pięknocią.*

FRANCISCO MENDEZ (Nicaragua)

KREW NA JAKIEJS TAM SKALE

Tytuł oryginału: *Sangre en una piedra*

*Biedny Ponczo, dali mu łupnia obcy
podczas rewolty w Nikaragwie.
I to takiemu gorącce, miłośnikowi awantur,
rodem z tego samego puebla, co ja;
gdy miał trzynaście, albo czternaście lat zbiegł na wybrzeże
z podobnymi mu smykami.*

*Waleśali się przez osiem lat po jakichś dziurach,
jedząc czarny jasek, (1) ujeżdżając źrebce,
wycinając gąszcz pod kawę, rozrabiając po winiarniach.
Bo od Indian nauczył się, jak do dna wysuszać.
A pewnego dnia wąż go użart...
Dobrze, tysiąc razy był po różnych ściskach
i jakże mu rozgrzały, oprychowi, krew!
Jakże to słońce plantacji wpiekło się w niego na zawsze!
Jak ten kraj, nieokrzesany i gwałtowny
wżart mu się w wnętrności!
Korzenie drzewa powykrzywiały mu żyły,
a w piersi wierzgało serce.
Już był mężczyzną, kiedy powrócił do wioski,
no i parskał jak bestia znarowiona.
W wielkim sombrero z rogoży, (miało w sobie, bo ja wiem, coś
z rancza i coś z sawanny),
wrywał się od matki w ulice, w zaułki,
a w niedzielę — na rynek.
I jeszcze poderwał se dziwke i zaczął na nowo
włóczyć się po świecie.
Jak mi się to wspomina dziś jego wąż obwisty
i jak mnie to raz „oskrobał” maczetą!
Więzienia.*

Rabunki bydła.

Rany od kuli i rany od noża.

*Tak dotarło jego imię wszędzie.
Zakotwiczył się na koniec na wodach generała Sandino
w roku dwudziestym szóstym.
W jakich że to strzelaninach nie było biednego Ponczo:
pakował całe uncje ołowiu w tę obcą zgraję!
Jego sombrero przewijało się przez chmury dymu, żółte
od przepalenia przez słońce i przemoczenia od ros o świecie
i przysznic pyłu rósł za koniem.
Na jakim brzegu rzeki, w jakim zagaju,
w jakim zwarciu sparzyła z nim się śmierć?
Z brzuchem rozprutym, wytłupionymi oczyma
znaleźli go chłopcy porucznika Visquery
z siedmioma obcymi kulami, zatopionymi w kościach.*

Zapomniani.

Ani jednej tzy.

Ani nawet imienia na skale.

(1) „Czarny jasek” — poslední gatunek fasoli o czarnej łusce w jasnofioletowe rzuty, jedzony w wielu krajach przez najuboższych.

*Nie przejdzie, o nie przejdzie to sombrero z rogoży
popod łukami historii!*

RAFAEL ESTRADA (Costa Rica)

Z M I E R Z C H

Tytuł oryginału: *Atardecer*

*Pod różnobarwną szybą nieba
przesuwa się w powolnym locie
czapla, cichsza niż wieczór.
Wskazując ku górze
powiada ktoś: „Tam, pod tą chmurą”.
Ptak pokoju dąży na północ
w prostolinijnym locie;
wygląda, jakby leciała po stawie polerowanym,
gdy mnie pochłania to, patrzę
jak leci, leci, leci,
jakby po róż jeziorze wioślowała;
daleko teraz, przeźroczyście, zmienia się w zarys,
są to dwie giętkie linie, gubią się;
zniżają się zwolna i ptak pokoju
dąży w swym locie na północ;
zniżają się jeszcze i linie mgliste
to już tylko dwie białe kreski w poprzek błękitu wzgórz;
zniżają się więcej i więcej: dwie białe kreski
zmieniają się w biały punkt w trzepocie
o gałęzie dalekich drzew.
Przepląły przez miasto spokojne:
wieczór cichy — i czapla,
cichsza niż wieczór.*

DEMETRIO HERRERA S. (Panama)

T R E N I N G

Tytuł oryginału: *Entrenamiento*

*Morze — pięściarz błyskawiczny —
ma za pięś
 ciars
 ką kulę
barki niespokojne.*

*Ręcznikiem wiatru
wieczór wyciera ciało
spotniałego boksera.*

*Budynki
— fanatycy ringu —
zapatrzeni w ścisku
na wielki trening.*

*(Molo szepce
dymiącym statkiem...)*

*Na grzmot oklasków fali
wieża staje na palcach
z zegarkiem w ręce,
by mierzyć czas.*

*Dzieciaki-wagabundy,
morskie ptaki,
wkradają się pod dach.*

Przełożył Jerzy NIEMOJOWSKI

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXX

II-gi

ZESZYT HISTORYCZNY

zawierający m. in:

Bazyli Rogowski:

Ostatni okres życia marszałka Rydza-Smigłego

Nieznane listy marszałka Piłsudskiego

Cena ZESZYTU w sprzedaży: 15 NF (22/-; dol. 3)
w prenumeracie o połowę taniej.



TOM LXXXI

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

T. II

Cena egz. 15 NF (22/6; dol. 3,25)



TOM LXXXII

MIŁOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STALINEN

w przekładzie Adama Ciołkosza

Cena egz. 9 NF (13/6; dol. 2)

Archiwum polityczne

Rozmowa z Anonimem

Odwiedził mnie pewien pan z kraju — anonimowo. Zapowiedział swoją wizytę telefonem i odmówił podania nazwiska. Mój rozmówca z wykształcenia jest ekonomistą. Oceniam jego wiek na 32-35 lat. Rozmowę z Anonimem uważam za interesującą i charakterystyczną — ponieważ odzwierciadla poglądy nieznanej na emigracji formacji pokoleniowej. Technokraci-ekonomiści na ogół nie dyskutują z emigrantami. Większość z nich to nie są ludzie pióra i z ich poglądami nie spotykamy się na łamach prasy krajowej.

Anonim rozpoczął swój dłuższy monolog od stwierdzenia, że „Kultura” a w szczególności niżej podpisany, walcząc z anachronizmami — sami stanowią największy pomnik polskiego anachronizmu.

— Niech pan spojrzysz na siebie — cytuję mojego rozmówcę. — Pan nie jest zawodowym pisarzem i dziennikarzem, tylko zawodowym Polakiem starego obżędku. To co pan nazywa „służeniem sprawie” jest w gruncie rzeczy traktowaniem narodowości jako fachu — i to przeważnie źle płatnego. Narodowość, niepodległość, „Sprawa” — nie mogą stanowić ciężaru, który przytłacza i deformuje indywidualny los ludzki. W Polsce to się skończyło. Przede wszystkim chcemy być tacy sami jak wszyscy inni. Chcemy dobrze zarabiać, dobrze mieszkać, patrzeć na telewizję, a w sobotę po południu pojechać samochodem za miasto.

— Powie pan, że pewne minimum niepodległości jest konieczne, by móc w własnym kraju czuć się u siebie w domu i żyć zwyczajnie tak, jak wszyscy inni Europejczycy. Zgadzam się z tym poglądem. Ale niepodległość dla pana jest pojęciem tradycyjnym, którego nie umie pan zdefiniować w kontekście współczesnej sytuacji. Przyparciu do muru mówicie o wyborach, które miałyby się odbyć w jakże zmienionych warunkach według konstytucji uchwalonej niemal pół wieku temu.

— W naszym przekonaniu sprawy ustrojowe są wtórnie. Przez niepodległość — nie w romantyczno-tradycyjnym, lecz konkretnym tego słowa znaczeniu — należy rozumieć pewien optymalny stopień niezależności Polski od Rosji i od Niemiec. Osobiście — jak większość moich kolegów, przyjaciół i znajomych — jestem zwolennikiem orientacji pro-rosyjskiej. Pozwólę sobie panu przypomnieć, że na przestrzeni ostatnich lat 200 — Polska była niezależna od Rosji tylko przez 20 lat. Owe 20 lat zakończyły się katastrofą i latami najstraszniejszego terroru znanego w naszych dziejach.

— Kochamy historię, ale myśleć historycznie nauczyli nas dopiero marksiści. Lekcję jaka wypływa z ostatnich 200 lat naszych dziejów należy ująć następująco: Niepodległość Polski nie może oznaczać niezależności i od Niemiec i od Rosji. To jest mrzonka, która w danej sytuacji przetłumaczona na język polityczny wiodłaby prostą drogą do powtórnej katastrofy. Innymi słowy niepodległość Polski oznacza konkretnie całkowitą niezależność od Niemiec i optymalną niezależność od Rosji. Nie twierdzę, że ową optymalną niezależność zdołaliśmy już uzyskać.

— Stopień niezależności jest funkcją wielu czynników. Pierwszym czynnikiem jest potencjał gospodarczy. Na optymalny stopień niezależności liczyć może sąsiad ekonomicznie prężny i dynamiczny — bo tylko współpracę z takim sąsiadem ceni się i szanuje. Im Polska będzie produkcyjnie potężniejsza — tym dla Rosji będzie potrzebniejszym i cenniejszym partnerem, co z kolei umożliwi Warszawie domagać się od Moskwy większej niezależności. Wadliwie użyłem słowa „domagać się”. Takie rzeczy muszą narastać same — są po prostu konsekwencją ewolucji i rozwoju. Gdyby pan znał odpowiednie cyfry przekonałby się pan, że w tej sprawie nastąpiły już wielkie zmiany. Był czas, że mówiliśmy sobie w kraju: „jak to dobrze, że Rosjanie każą nam wwozić węgiel do Związku Sowieckiego”. Na pytanie dlaczego dobrze — dowcipnie odpowiadali: „mogliby przecież kazać nam ten sam węgiel odnosić na plecach”.

— Sowiety korzystają niewątpliwie z klauzul największego uprzywilejowania. W większości wypadków dostawcy sowieccy w stosunku do nas są monopolistami i mogliby dosłownie obdzierać nas ze skóry. Jako ekonomista, obnajmiony „od podszewki” z tymi sprawami, mogę pana zapewnić, że owo „obdzieranie ze skóry” nie przekracza 4% rocznie w całej dziedzinie obrotów towarowych ze Związkiem Sowieckim.

— Gdy pan spojrzy na problem Ziemi Odzyskanych w tej perspektywie — to przekona się pan, że główną rolę tych Ziemi jest podmurowanie naszej pozycji nie w stosunku do Niemiec, lecz w stosunku do Rosji. Potrzebujemy tych ziem i ich potencjalnej możliwości gospodarczej, by dokonać awansu ze statusu satelity do statusu pełnoprawnego partnera. Bez Ziemi Odzyskanych ów awans nie byłby realną propozycją.

— Powie pan, że każdy specjalista patrzy na świat przez okulary swojej specjalności. Niemniej faktem jest, że wolność i niepodległość stały się dziś pojęciami ekonomicznymi. Jest się niezależnym w proporcji do swojego potencjału gospodarczego. Im ten potencjał większy — tym niezależność większa i odwrotnie.

— Powyższe sformułowanie idzie pod włos polskiej tradycji przedwojennej. Ale decydującą w tej sprawie będzie „rewolucja rolna”, którą przygotowujemy ostrożnie i z długiej ręki. Jeżeli zdołamy rozwiązać pomyślnie problem rolny — dokonamy jako państwo wielkiego awansu w bloku wschodnim.

— Kołchozy nigdzie nie zdały egzaminu i w Polsce postanowiliśmy „fazę kołchozową” przeskoczyć. Od lat różne ośrodki badawcze prowadzą studia nad rozwojem struktur rolnych w krajach przemysłowych jak Kanada, Dania czy Stany Zjednoczone. Według obliczeń specjalistów przeważającym typem strukturalnym w r. 1980 będą PGRy. Około 15 do 20% ziemi ornej pozostanie w rękach rolników indywidualnych, lecz będą to przeważnie gospodarstwa podmiejskie, sadownicze, warzywnicze itp.

— Istnieje tylko jedna metoda rozładowania problemu rolnego — to jest pełne uprzemysłowienie. W miarę coraz powszechniejszego przechodzenia do przemysłu ludności wiejskiej na roli pozostanie niewielki procent i to starszych roczników. W miarę wymierania tych ostatnich Mohikanów poszczególne gospodarstwa zostaną scalone w duże PGRy. Płace w PGRach będą wówczas zrównane z przemysłem — w przeciwnym wypadku problem siły roboczej byłby nie do rozwiązania.

— Chłop polski, ten co „potęgą jest i basta” — odchodzi w przeszłość. Jeżeli przez chłopa rozumieć gospodarza na kilku morgach, dla którego specjalizacja, mechanizacja, postęp — są pojęciami nieprzystawalnymi to trzeba stwierdzić, że stanowi on taki sam anachronizm jak szlachcic na zagrodzie. Konserwatyzm chłopów jest nie do przełamania i zapewniam pana, że do dziś dnia mamy chłopów — nawet w Lubelskim, którzy orzą krowami.

— „Odchłopienie” jest jednym z cenniejszych produktów uprzemysłowienia. Ciemnego, średniowiecznego, konserwatywnego polskiego chłopa zastąpić musi światły, ekonomicznie myślący farmer. Osobiście przewiduję, że za lat 20 rolnicy indywidualni — chcąc wyciągnąć maksimum zysków i podołać konkurencji — będą dobrowolnie zrzeszać się tworząc wysoko wyspecjalizowane kombinaty produkcyjne. Wówczas nasze rolnictwo osiągnie maksymalny stopień produktywności i strukturalnie upodobni się do ekonomik rolnych państw wysoko uprzemysłowionych.

— W Związku Sowieckim obrabowano chłopów, by stworzyć kapitał na uprzemysłowienie. U nas rewolucja przemysłowa wchłania chłopów powoli, ale nieodwracalnie — podobnie jak działo się to w Anglii czy w innych krajach Zachodu.

— Widzę, że się pan uśmiecha. Analogie są zawsze zawodne. Ale przyznać pan musi, że, w porównaniu z tym co działo się w

Rosji, reforma struktury rolnej w Polsce stanowi szczyt zachodniości. W ten sposób polski model jest wolny od sowieckiej pięty Achillea.

— Ale do czego zmierzają te uwagi? Chciałem panu wykazać, że praktyka wyprzedza u nas dogmaty o 20 lat i że „oddogmatyzowanie” musi nosić charakter uznania stanu faktycznego. Dogmatów nigdy się nie odwołuje — dogmaty przestaje się tylko stosować. Wszystko mierzy się wynikami i dlatego nie ma na nas nacisków ze strony sowieckiej w tej sprawie.

— Ale zgodzę się z panem, że to nie jest cała *story*. Awans satelity do statusu partnera zależy również od międzynarodowego układu politycznego. Awansują ci, co są nie tylko cenni, ale i potrzebni. Dziś Polska jako sprzymierzeniec jest potrzebna Związkowi Sowieckiemu. Jesteśmy najpotężniejszym europejskim aliantem Rosji. Ale czy zawsze tak będzie?

— Erich Fromm w swej świeżo wydanej książce pt. „May Man prevail” — stwierdził, że Rosja nie jest już dzisiaj ogniskiem rewolucji, tylko zwyczajnym mocarstwem, zarządzanym przez konserwatywnych menadżerów. „Zimna wojna” jest histerią, którą należy zwalczać i piętnować. Fromm w jednym punkcie ma rację. Jako człowiek z tamtej strony barykady mogę pana zapewnić, że Rosja jest niewątpliwie w mniejszym stopniu państwem komunistycznym i rewolucyjnym niż się to wydaje Amerykanom czy Anglikom. Niemniej ów moment ideologicznej nienawiści po obu stronach „żelaznej kurtyny” odgrywa wielką rolę. W Ameryce czy w Anglii nie ma żadnej nienawiści do Rosjan. Ludzie nienawidzą i boją się komunizmu. I na razie z naszego punktu widzenia — dobrze jest, że tak jest.

— To nie jest paradoks — problem jest oczywisty w swojej prostocie. Jeżeli wyłączyć komunizm to można przyjąć za prawdopodobne, że pomiędzy menadżerską Rosją a menadżerską Ameryką i bez nienawiści ideologicznej istniałaby ostra rywalizacja o prymat w koncercie mocarstw światowych. Ale między menadżerską Rosją a menadżerską Francją odżyłaby — być może — tradycja sojuszu. Innymi słowy Rosja wróciłaby do Europy i mogłaby wybierać partnerów i sojuszników. W gruncie rzeczy Francuzi i Anglicy na dnie duszy marzą o chwili kiedy „wielki Brat” powróci na łono Europy w charakterze marnotrawnego syna, który wprowadził zabłąkał się, ale zrobił wielką karierę.

— W Europie po Ural — Polska zmaleje. Przestaniemy być pierwszym i najważniejszym europejskim sojusznikiem Rosji. Przestaniemy być potrzebni. Będzie można wywierać na nas nacisk, a może nawet presję poprzez usłużne ambasadę francuską i brytyjską. Znamy to — prawda?

— Obecna koniunktura nie będzie trwała wiecznie. Wcześniej lub później albo Rosja wróci do Europy albo Europa przyjdzie do Rosji. Nie taję przed panem, że to drugie rozwiązanie byłoby dla nas bardzo niekorzystne. W komunistycznej Europie czołowymi partnerami Rosji byłyby Niemcy i Francja. Ulbrichto-

wi można nakazać uznanie granicy na Odrze i Nysie. Ale zjednoczone komunistyczne Niemcy uzyskałyby z całą pewnością zgodę Moskwy na „przyjazną” rewizję granicy polsko-niemieckiej. Stalibyśmy się małą, ościenną republiką — bez wpływów i znaczenia.

— Ale i druga alternatywa pogorszy naszą sytuację. Gdy uciśnie „zimna wojna”, gdy wygaśnie nienawiść ideologiczna, gdy nie tylko Fromm, ale cała zachodnia Europa uwierzy, że Rosja jest zwyczajnym mocarstwem rządzonej przez konserwatywnych menadżerów — wówczas ze statusu pierwszego europejskiego sojusznika spadniemy do rangi znacznie późniejszej. Przestaniemy być „przedmurzem” a nie wiadomo czy będziemy „pomostem”.

— Powie pan, że w takiej sytuacji nie tylko Rosja będzie miała wybór, ale i my będziemy mieli wybór. „Kultura” wysuwała swego czasu koncepcję federacji polsko-czechosłowackiej i rozważaliście również projekty szerszego związku państw między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Zapewniam pana, że w Polsce, jak długa i szeroka, nie ma zwolenników tej koncepcji. W przeciwnieństwie do was na emigracji, ludzie w kraju zrozumieli, że tylko Rosja ma wybór, ale my go nie mamy. Wybierają supermocarstwa. Państwa naszego kalibru mogą tylko cierpliwą i mądrą polityką oraz wytężoną pracą wyciągnąć maksimum korzyści z maksymalnie niekorzystnej sytuacji geopolitycznej.

— Rosjan nikt nie kocha. Wszyscy klą na Mochów, ale nie znalazłby pan w kraju jednego człowieka, który by gotów był zależność od Rosji zamienić na zależność od Niemiec. To Niemcy są twórcami polskiej orientacji pro-rosyjskiej. To oni dokonali przewrotu w tradycyjnym nastawianiu narodu polskiego. Musi pan zrozumieć, że dla nas w kraju niezależność zarówno od Rosji jak i od Niemiec jest synonimem katastrofy wrześniowej i lat okupacji, które po tej katastrofie nastąpiły. Dla was na emigracji niepodległość oznacza pełną niezależność od Rosji i od Niemiec. Dla nas taka koncepcja niepodległości nie oznacza niepodległości tylko zaproszenie do katastrofy.

— Jadąc do pana kupiłem „The Guardian” i przestudiowałem go w kolejce podziemnej. Pozwoli pan, że przeczytam panu jedno zdanie z artykułu wstępnego: — *If we look to the political union as a means of preventing Germany from becoming warlike, we must accept that it will deny us independent foreign policy* („The Guardian” Sept. 19).

— „The Guardian” stwierdza w tym artykule, że jednym z głównych motywów, które skłonić by mogły Anglię do przystąpienia do europejskiej unii politycznej, byłaby chęć zapobieżenia odrodzeniu się wojowniczości Niemiec. Ceną, którą trzeba by wówczas zaakceptować byłaby rezygnacja z niezależnej polityki zagranicznej. Anglicy, ci światli, których opinię wyraża „The Guardian” rozumieją ten problem znakomicie. Ale polscy emigranci — nie. Jeżeli Anglicy, którzy wygrali wojnę przeciwko

Niemcom, którzy nie przeżyli ani jednego dnia okupacji — rozpatrują możliwość częściowego zrzeczenia się suwerenności w tym celu, by zabezpieczyć się przed wojowniczością (*warlike*) Niemiec — coż mówić o Polakach, dla których jest to sprawa życia lub śmierci. Częściową utratą suwerenności — nie taję, znaczną utratą suwerenności — płacimy za bezpieczeństwo ze strony Niemiec.

— W kraju zdajemy sobie sprawę, że obecny układ w Europie jest prowizorium. Trudno sobie wyobrazić, żeby Berlin miał być podzielony murem przez dziesiątki lat. Trudno sobie również wyobrazić, by o losie narodu niemieckiego dziesiątkami lat decydować mieli Amerykanie.

— Osobiście nie wątpię w pokojowość zarówno Francuzów, jak i Anglików. Mimo różnic taktycznych de Gaulle planuje podobnie jak Anglicy. Nie przeczę, że lęk przed odrodzeniem militarystyki niemieckiej w zachodniej Europie jest autentyczny. De Gaulle chce związać Niemcy zachodnie z Francją, by zaasekurować się przed Niemcami — by zdobyć dla Paryża decydujący wpływ na politykę Bonn. Zwolennicy europejskiej unii politycznej rozumują po linii „The Guardian”. Innymi słowy wierzą, że włączenie Niemiec do ponad-państwowego związku nie tylko gospodarczego, ale i politycznego zabezpieczy Europę zachodnią przed niespodziankami ze strony Bonn.

— To co powiem być może zdziwi pana. Niemcy liczą się tylko z Ameryką — tak jak w innym układzie liczyliby się tylko z Rosją. Z chwilą gdy Amerykanie wyjdą z Europy — hamowanie inicjatyw niemieckich może się okazać zadaniem przerastającym siły Paryża i Londynu.

— Dulles umarł i Niemcy pogodzili się z faktem, że nie narzucają swoich planów Waszyngtonowi. W Bonn nikt już nie ma złudzeń, że Amerykanie nie zjednoczą Niemiec. Gdyby to zależało wyłącznie od Amerykanów sprawa Berlina byłaby już dawno kompromisowo załatwiona. W rezultacie w polityce niemieckiej wariant amerykański traci zwolenników, a wariant europejski zyskuje. Niemcy wyczuwają, że o ile narzucenie Ameryce ich polityki przerasta niemieckie możliwości — o tyle z Europą dadzą sobie radę. Niemcy za tych, którzy ich pokonali uważają tylko Amerykanów i Rosjan. Natomiast w stosunku do wszystkich narodów kontynentalnej Europy — Niemcy uważają się za zwycięzców. To jest moment wielkiej wagi, który wiele tłumaczy. Politycy w Bonn sądzą, że grupują wokół siebie państwa, które kapitulowały przed nimi nie tylko przy monachijskim stole obrad ale i na polach bitew.

Chciałbym jeszcze zwrócić pańską uwagę na następujący podstawowy problem. Dlaczego granica na Odrze i Nysie do tej pory nie jest oficjalnie uznana? Odpowiedź jest prosta. Europejscy partnerzy Niemiec nie chcą utrudniać pozycji rządu w Bonn. Nie chcą i nie mogą dopuścić do osłabienia czy rozkładu NATO. Niemcy stanowią trzon NATO. Utrudniać pozycję rządu w Bonn

jest równoznaczne z osłabianiem spójności NATO — co z kolei podważyłoby bezpieczeństwo zachodniej Europy. NATO, a w dalszej perspektywie unia czy federacja europejska — będą miały charakter zgrupowania antysowieckiego wbrew woli wielu członków tej wspólnoty. Ale przed Anglikami czy Francuzami nie ma wyboru. NATO mogą mieć tylko za cenę milczącego inkorporowania niemieckich postulatów rewizjonistycznych. Owa inkorporacja nada przyszłej unii europejskiej charakter agresywnego bloku antysowieckiego. Permanentne kryzysy i napięcie sytuacji międzynarodowej powodowane takim układem będą wodą na młyn tych, którzy głoszą, że nie można żądać od Niemców rezygnacji z ziem na wschodzie Europy — bo to doprowadzić by mogło do rozbicia NATO. Teraz rozumie pan mechanikę tego procesu. NATO, a w przyszłości unia europejska — mogą być tylko agresywnie antysowieckie — bo są możliwe tylko z udziałem Niemiec. Paradoks polega na tym, że dla większości państw europejskich z wyłączeniem Niemiec — NATO jest nie taranem lecz tarczą. Ale to tak — jakby ktoś zawodowego podpalacza mianował komendantem straży pożarnej. Niemcy w NATO i Niemcy w unii europejskiej swoim partnerom nie gwarantują pokoju i bezpieczeństwa — lecz wprost przeciwnie wieczne kryzysy, które w moim przekonaniu skończą się jeżeli nie katastrofą to superkryzysem, który zasadniczo zmieni układ europejski.



Poglądy Anonima starałem się przedstawić wiernie. Jego opinie — jak miałem to możność kilkakrotnie sprawdzić — są charakterystyczne i reprezentatywne dla pokoleń średniego i młodego technokratów, których związek z kulturą po-szlachecką jest już bardzo luźny.

Polakowi mieszkającemu od 23 lat zagranicą trudno jest przyjąć i zrozumieć pewne podstawowe przemiany charakteryzujące Polskę współczesną. Przed wojną warstwa inteligencji była tak duża, że z łatwością asymilowała dopływ nowych elementów z klas chłopskiej i robotniczej. Syn chłopca czy robotnika, który kończył wyższe studia — zdobywał „nobilitację” asymilując kulturę po-szlachecką, która dominowała w Polsce dwudziestolecia.

Inteligencja poniosła ilościowo największe straty zarówno w czasie wojny jak pod okupacją i po wojnie. Z drugiej strony awans mas społecznych — a więc awans uniwersytecki synów chłopskich i robotniczych jest wielokrotnie większy niż przed wojną. Lecz tych mas nowych inteligentów nie ma już komu asymilować. Kultura po-szlachecka straciła swą bazę społeczną i tym samym siłę przyciągania.

W tej perspektywie należy oceniać wypowiedzi Anonima. Jest on Polakiem i niewątpliwie dobrym Polakiem — ale nie jest jednym z nas, przedwojennych inteligentów. Jest on w du-

orientacji. Rosjanie nie chcą, by Polacy byli pro-rosyjscy. Oni chcą tylko byśmy byli pro-komunistyczni. Warunki do stworzenia polskiej orientacji pro-rosyjskiej powstaną wówczas — gdy Polak będzie mógł być pro-rosyjski bez względu na swe przekonania społeczno-ustrojowe i religijne.

Przyjdzie chwila — ufam — że Rosjanie zdadzą sobie sprawę, że argumenty przemawiające za polską orientacją pro-rosyjską są tak oczywiste, iż nie potrzeba do nich niczego dodawać z zewnątrz.

Imperializm, wyzysk, konformizm ideologiczny — to są wszystko średniowieczne metody, którymi nie można rządzić podbiłymi ludami na długą metę. Może nie być parlamentu, może nie być wyborów — ale rząd, który nie opiera się na większości nie ma szansy trwania. Kto myśli inaczej — myśli a-histerycznie.

Składam się do poglądu, że większość obywateli sowieckich popiera swój rząd i w momencie interwencji z zewnątrz stanęłaby za nim. Obywatele sowieccy pragną reform i podwyższenia stopy życiowej — ale rząd w Moskwie uważają za swój rząd. Tego nie można powiedzieć o żadnym rządzie satelickim. W razie konfliktu zbrojnego rząd sowiecki może liczyć na swoją armię, że będzie walczyła przeciwko Amerykanom. Rząd PRL nie może na to liczyć. Jeżeli niemieckie oddziały NATO zatrzymałyby się na Odrze — co można z góry uzgodnić, a granice przekroczyłyby formacje amerykańskie, brytyjskie i francuskie — w Polsce, na Węgrzech, czy w Czechosłowacji nikt przeciwko nim nie będzie walczył. Może nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji. Ale niemniej ostatecznym sprawdzianem każdego rządu i jego polityki jest solidarne poparcie społeczeństwa w chwili zagrożenia.

Sądzę, że z czasem Rosjanie dojdą do wniosku, że istnieje sprzeczność pomiędzy konformizmem ideologicznym, a politycznymi interesami rosyjskimi. Państwa wschodniej Europy mogą sąsiadować z Rosją na zasadach współzależności, ale nie satelictwa. Orientacja pro-rosyjska jeżeli miałaby w tych krajach odegrać poważną rolę — musiałaby się opierać na nie-komunistach ponieważ nie-komuniści stanowią większość. Rządy komunistyczne w krajach satelickich ułatwiają wyzysk gospodarczy, ale nie dają Rosji żadnego bezpieczeństwa. W razie wybuchu konfliktu pierwszego dnia wyewakuują się do Moskwy — odsłaniając tekturową fasadę Paktu Warszawskiego.

Nie można mieć konformizmu ideologicznego, wyzysku gospodarczego i bezpieczeństwa. Trzeba wybierać. Konformizm i wyzysk można mieć na krótką metę, ale rezygnując z bezpieczeństwa. Pakt Warszawski stoi i upada jako odpowiedź na zagrożenie niemieckie. Dla sowieckiego naczelnego dowództwa Niemcy są sojusznikiem głównego wroga, tj. Amerykanów. Ale dla Polaków czy Czechów Niemcy to są tylko Niemcy. I jeżeli Niemcy nie przekroczą granicy — Pakt Warszawski runie, jak domek z kart. Amerykanie, którzy są dobrze zorientowani w na-

strojach panujących w Europie wschodniej — byłiby szaleni, gdyby w razie wojny ten problem rozgrywali inaczej.

Osobiście jestem głęboko przekonany, że rozwój stosunków polsko-rosyjskich zadecyduje w przyszłości nie tylko o pozycji Polski, lecz w jeszcze większym stopniu o pozycji Rosji jako wielkiego mocarstwa. Polska jest bowiem polem doświadczalnym i kamieniem probierczym współzależności i współpracy Wschodu z Zachodem. Dopóki Polacy jako naród — w swej masie — będą antyrosyjscy, jak w przeszłości — pozycja Rosji w Europie będzie zawsze niepewna, prowizoryczna, kryzysowa.

Przed Rosją stoi trudny wybór. Jeżeli Rosjanie nie dokonają rozdziału kościoła od państwa — ideologii od polityki zagranicznej — jeżeli trwać będą przy dogmacie, że sojusznikiem Rosji może być tylko państwo komunistyczne — wówczas nie dobędą masowego poparcia narodów państw satelickich które w chwili kryzysu obrócą się przeciwko nim. Jeżeli natomiast Rosjanie gromadząc doświadczenie dojdą z czasem do wniosku, że zdobyć poparcie narodów państw satelickich można tylko za cenę uznania ich odrębności — wówczas będą mogli utrzymać system sojuszków w Europie wschodniej, ale ideologicznie poniosą klęskę. Za ideał należałoby uznać stopniową ewolucję od doktryny ku pragmatyzmowi zarówno w Rosji jak i w Polsce. Ale i wówczas (i zawsze) będą zasadnicze różnice pomiędzy polskim a rosyjskim modelem społecznym. I nie tylko społecznym, ale i indywidualnym. Rosjanie — mimo wielu podobieństw — są bardzo różni od nas i próba „rusyfikacji” Polski w sensie ideologicznym, społecznym, czy *way of life* byłaby równie beznadziejnym przedsięwzięciem jak próba „zbrytanizowania” Indii. Owe podobieństwa zagrałyby dopiero wówczas, gdyby w pełni zostały uznane nasze odrębności i konsekwencje z tych odrębności płynące.

Juliusz MIEROSZEWSKI

P.S.: — Pozostaje jeszcze do skomentowania wypowiedź Anonima w odniesieniu do Niemiec. Temu zagadnieniu poświęcę jeden z następnych artykułów.

Kronika angielska

POLEMIKI I KOMENTARZE

Prof. Adam Schaff na łamach „Przeglądu Kulturalnego” wystąpił z cyklem artykułów pt. „Humanizm czy Rewizjonizm”. W drugim artykule

z tej serii („Przegl. Kult.” nr 38) — prof. Schaff poświęcił sporo miejsca i uwagi prasie emigracyjnej, a w szczególności „Kulturze”.

Na wstępie chciałbym podkreślić, że polemiczne rozważania autora utrzymywane są w kurtuazyjnym i europejskim tonie — co niestety w polskim piśmiennictwie politycznym stanowi rzadkość.

Dyskusja w naszych warunkach jest utrudniona, bo krajowi czytelnicy artykułów prof. Schaffa w znakomitej większości nie mają możliwości zapoznać się z „Kulturą”, która jest przedmiotem ataku — a emigracyjni czytelnicy „Kultury” w znakomitej większości nie czytują „Przeglądu Kulturalnego”, który ów atak przeciw nam podjął.

Trzeba więc zacząć od przedstawienia tezy przeciwnika. Omawiając reakcje prasy zagranicznej — zwłaszcza amerykańskiej — spowodowane jego esejami na temat „Filozofii Człowieka” — prof. Schaff pisze między innymi:

„Aby zrozumieć to zagadnienie, należy zdać sobie przede wszystkim sprawę z linii ataku przeciw komunizmowi, ataku, który prowadzi się obecnie rozmaitymi sposobami w krajach kapitalistycznych. Jak już o tym była wyżej mowa, jest nią linia rzekomej obrony jednostki i jej praw przeciw totalitaryzmowi. Jest to linia ataku, który znajduje wiarę i posłuch ciągle jeszcze w szerokich kołach społeczeństwa krajów kapitalistycznych. Nie sprawa własności prywatnej, nie sprawa planowania gospodarki, lecz właśnie sprawy jednostki i jej wolności. Rzecz zrozumiała, że z punktu widzenia walki ideologicznej jest to tym samym dziedzina szczególnie cenna i ważna dla obrońców ustroju kapitalistycznego”.

Innymi słowy prof. Schaff stoi na stanowisku, że humanizm, wolność człowieka, a nawet filozofia szczęścia ludzkiego — to są wszystko zagadnienia rdzennie marksistowskie, które tylko w ramach systemu komunistycznego mogą być w pełni rozwiązane. Marksizm — z wielu przyczyn zaniedbał ten ważny odcinek co zostało w pełni wykorzystane przez propagandę antykomunistyczną.

Co więc należy robić? Marksści winni odebrać kapitalistom monopol na obronę praw jednostki, wolności osobistej itp. — i nie tylko wykazać, że system kapitalistyczny jest a-humanistyczny, lecz przekonać ludzką, że jedynym prawdziwym źródłem humanizmu jest komunizm.

Kapitalizm w wielu aspektach z humanizmem ma nie wiele wspólnego, co zostało tysiącrotnie znakomicie wykazane przez humanistów zachodnich. Ale czy z tego wynika, że komunizm jest bardziej humanistyczny niż kapitalizm?

Prof. Schaff trafia niewątpliwie w sedno pisząc w omawianym artykule co następuje:

„Słowa jednak nie mogą — na dłuższą metę — pozostawać w konflikcie z rzeczywistością. Dlatego też niewątpliwie taka ofensywa, gdy zdajemy sobie sprawę z jej znaczenia w walce ideologicznej, wpłynąć będzie kształtującą na naszą własną rzeczywistość w niezwykle doniosłej dziedzinie życia społecznego. Przynajmniej w sensie odmra-

zania tych sfer życia i działalności jednostki ludzkiej, które zachowują nieraz swą postać skrepowaną nakazami i zakazami wynikającymi raczej z dawnej, minionej już sytuacji społecznej, z utrwalonego tą minioną sytuacją stereotypu dyktatury proletariatu aniżeli z sytuacji aktualnej, z którą coraz bardziej popadają w sprzeczność”.

Stuprocentowa, kryształowa prawda: „słowa nie mogą na dłuższą metę pozostawać w konflikcie z rzeczywistością”.

Prof. Schaff musi sobie zdawać sprawę z faktu, że słowa — jeśli chodzi o propagandę komunistyczną — są tak zdyskredytowane, że im nikt nie wierzy. Konstytucje państw komunistycznych nie wyłączając Związku Sowieckiego — gwarantują obywatelom wszystkie możliwe wolności i przywileje, a jak to wygląda w praktyce wiemy zarówno my jak i prof. Schaff.

Ale byłoby wielkim błędem nie doceniać wysiłków autora, zmierzających do nadania bardziej humanistycznej interpretacji filozofii marksistowskiej.

Zabrukowanie przepaści jaka oddziela słowo od rzeczywistości w ustroju komunistycznym jest zadaniem dosłownie na miarę Herkulesa. Kapitałści górtują w tym względzie nad komunistami. Nie deklamują bowiem o raju na ziemi, o „zanikaniu państwa” o „każdemu według jego potrzeb”, o zniesieniu wszystkich podatków itd. itp. Kapitałści mówią przeważnie o zyskach i na tym koniec.

Jest oczywiste, że w ludzkich warunkach musi istnieć dysproporcja pomiędzy słowem a rzeczywistością, pomiędzy planem, a jego realizacją, pomiędzy polityką a praktycznymi osiągnięciami. Ale konstrukcja nie może stanowić odwrotności planu — a system społeczny odwrotności konstytucji.

„Polityka” (nr 23 i 24) zamieściła interesujący artykuł prof. Władysława Krajewskiego o szkołach myśli marksistowskiej. Istnieją marksistowscy pozytywiści i marksistowscy humaniści — by wymienić główne kierunki — które z kolei rozpadają się na „podszkoły”.

W kwietniu br., z inicjatywy UNESCO, odbyło się w Warszawie międzynarodowe seminarium ekonomiczne, na którym dyskutowano marksistowską teorię rozwoju. W seminarium wzięli udział m.in. wybitni ekonomiści amerykańscy z prof. Berlinerem (Harvard) na czele.

Marksistowskie filozofie dokonali zdumiewającej rzeczy. Za przykładem Sokratesa wyszli na ulicę. Przed wojną byłoby nie do pomyślenia, aby czołowi filozofowie dyskutowali na łamach popularnych tygodników typu „Przeglądu Kulturalnego”.

Równocześnie w Polsce Ludowej — gdzie filozofia odgrywa taką rolę — dzieją się rzeczy, które filozofom się nie śniły. Tego samego dnia, w którym na łamach popularnej prasy filozofowie rozważają najsurowsze i najwznioślejsze postulaty humanizmu — sądy Polskiej Ludowej posyłają do więzienia obywatela za przekład naukowej książki socjologa amerykańskiego.

Tego samego dnia, w którym śmietanka polskich ekonomistów wraz ze swymi zagranicznymi kolegami rozważała, w czasie cytowanego seminarium, wspaniałości marksistowskiej teorii rozwoju — setki tysięcy przeciętnych obywateli w tysiącach przeciętnych współczesnych restauracji jadło „źle, brudno, i długo” — by użyć plastycznego zwrotu jednego z reporterów pism krajowych.

Prof. Schaff słusznie podkreśla, że słowa nie mogą pozostawać w konflikcie z rzeczywistością. Wydaje mi się, że nigdzie na świecie ten konflikt nie jest głębszy niż w krajach bloku wschodniego. Dlatego najwymowniejsi i najlepszymi chęćmi uskrzydleni marksiści-humaniści nie przekonają ani swoich współobywateli ani społeczeństw na Zachodzie — dopóki ów rozdzźwięk między słowem, a praktyką nadawać będzie ustrojowi komunistycznemu znamiona karykatury.

Co jest ważne — czy odejście od dogmatu czy dobre restauracje? W Moskwie, stolicy rewolucji, po 40 latach nie ma ani jednej dobrej restauracji — klasy średnich restauracji paryskich czy nowojorskich. Nie spotkałem dosłownie ani jednego Polaka z kraju, który by uważał — po latach smutnych doświadczeń — uspołecznienie restauracji za propozycję realną. Socjalizm nie polega na tym by jadać „źle, brudno i długo”. Nikt mnie nie przekona, że uspołeczniony przemysł restauracyjny może kiedykolwiek w jakimkolwiek ustroju funkcjonować. Czy ekonomiści marksistowskie wyobrażają sobie, że ludzie zrezygnują z dobrego, czysto i sprawnie podanego jedzenia tylko dlatego by pewnym teoretycznym postulatom sprzed stu laty stało się zadość?

Prywatne restauracje mogą być opodatkowane, kontrolowane, obwarowane odpowiednim ustawodawstwem pracy i z powodzeniem włączone w ramy gospodarki socjalistycznej. Dotyczy to zresztą całej dziedziny przemysłu usługowego. Ekonomia polega między innymi na tym, że jeżeli jakiś schemat w praktyce nie gra — i to nie gra katastrofalnie i od długiego czasu — to się go zmienia. Bo sprawdzianem ekonomii — marksistowskiej czy jakiegokolwiek innej — jest praktyka i tylko praktyka. Jeżeli ktoś myśli inaczej nie jest ani marksistą ani ekonomistą tylko tępym doktrynerem.

Ale dajmy spokój restauracjom — choć to jest sprawa ważniejsza niż się filozofom wydaje i przejdźmy do następnego punktu tej polemiki.

Prof. Schaff pisze, że niżej podpisany „niejednokrotnie pisze rzeczy ciekawe i oryginalne politycznie, które — niezależnie od zgody na zawarte w nich koncepcje — warto byłoby przedrukować u nas ze względu na inteligentną analizę. Jeśli jednocześnie pisze niejednokrotnie rzeczy dla nas zaskakujące swą błędnością ocen oraz naiwnością przewidywań, to nie tylko z powodu odmienności zajmowanego stanowiska, lecz przede wszystkim z powodu gruntownej i głębokiej niewiedzy o rzeczywistej sytuacji w kraju. Jest to zresztą charakterystyczne nie tylko dla Mieroszewskiego i zespołu „Kultury”, lecz jest to stan pogłębiający się w całej politycznie nam wrogiej emigracji”.

Prof. Schaff jest w jednym punkcie idealnie zgodny z Kisielewskim i z Gołubiewem. Uważa bowiem, że trzeba mieszkać nad Wisłą, by móc zabierać głos w sprawach krajowych.

Ben-Gurion — skąd inąd wielki mąż stanu i polityk — zrewolucjonizował tradycyjną koncepcję diaspory żydowskiej ponieważ głosi — śladem Gołubiewa, Kisielewskiego, Schaffa — że tylko Żydzi mieszkający nad brzegami Jordanu mają prawo uważać się za Żydów i zabierać głos w sprawach Izraela. Pięć milionów Żydów amerykańskich, którzy mogliby pokryć budżet Izraela nie wiedząc nawet, że wydali jakieś pieniądze — ponieważ mieszkają nad Hudsonem i innymi pogańskimi wodami nie żyją „pełnią żydowskiego życia”. Jak wynika z głosów prasy, Żydzi poza Izraelem nie są

zadowoleni z „jordańskiej” interpretacji żydostwa. Czeki — tak, krytyka — nie.

Pomijam fakt, że „pełnia życia polskiego” w wydaniu komunistycznym nie odpowiadałaby większości 10 milionów Polaków zagranicznych. Ale — drodzy panowie — czy wy na serio wierzycie, że Polska Ludowa jest takim niezgłęzionym misterium? Czy naprawdę uważacie, że trzeba 17 lat mieszkać nad Wisłą, by dojść do wniosku, że uspołecznione restauracje są klęską narodową?

W żadnym z miast polskich — nie wyłączając mojego rodzinnego Krakowa — nie mieszkalem równie długo jak w Londynie. Ale nie zdarzyło mi się dotąd, by mi skradziono butelkę mleka sprzed drzwi. Wańkowicz opisuje natomiast, że w Warszawie nie tylko systematycznie kradziono mleko sprzed drzwi, ale butelki z mleka napelniano uryną. Czy trzeba koniecznie poddać się tego typu doświadczeniom by zdać sobie sprawę z niewiarygodnego schamienia stylu życia w Polsce Ludowej? Osobiście uważam, że literatura przedmiotu jest dostatecznie wymowna. Nie ma powodu tego wszystkiego przeżywać na własnej skórze.

Czytam zawsze z wielkim zainteresowaniem w prasie brytyjskiej artykuły Wiktora Zorzy o Chinach i ich skomplikowanych stosunkach z Sowietami. Skłonny jestem przypuszczać, że Zorza nigdy w Chinach nie był. I cóż z tego? W Anglii są tysiące ludzi, którzy przeżyli w Chinach dziesiątki lat i nie mają nic na ten temat do powiedzenia. Gdybyśmy przyjęli pogląd, że na to by móc pisać o danym kraju trzeba w nim 17 lat — publicystyka polityczna przestałaby istnieć.

Na tym świecie z całą pewnością są bardziej zagadkowe tajemnice niż Polska Ludowa. Poza tym — choć zabrzmiało to zarozumiale — twierdzę, że w wielu wypadkach znajomością spraw krajowych gorzej nad naszym oponentem. Czy prof. Schaff wyobraża sobie, że przeciętny polski inżynier, dziennikarz, lekarz — nie mówiąc o pisarzach i intelektualistach — będzie rozmawiał z członkiem KC, czy zastępcą członka KC równie szczerze i otwarcie jak z nami? Wysoki stopień w hierarchii partyjnej odcina prof. Schaff od zwyczajnych zjadaczy chleba. Im wyższy szczebel na drabinie partyjnej tym większe wyobcowanie. I owo wyobcowanie gra na dwie strony. Działacz polityczny, zajmujący wysokie stanowisko w partii, nie może sobie pozwolić na luksus szczerości. Musi bardzo uważać na to, co mówi i jeszcze bardziej uważać na to, co pisze.

Polecam uwadze prof. Schaffa tom „Dokumentów”, któremu poświęcam oddzielną notatkę w tej Kronice. Sądzę, że prof. Schaff zgodzi się ze mną, że tylko ludzie dobrze poinformowani i mający dostęp do źródeł mogli zdobyć, opracować i wydać tego typu materiały.

I wreszcie punkt ostatni i najistotniejszy. Nasz oponent sądzi, że jesteśmy „zaambarasowani, zdenierwowani podejmowaniem przez marksizm nowej tematyki”. Wręcz przeciwnie, cieszymy się z każdej wypowiedzi, z każdego artykułu polskich marksistów — jeżeli w tych wypowiedziach i artykułach dopatrzyć się można ewolucji ku humanizmowi.

Ala *proof of the pudding is in the eating*. W dziedzinie humanizacji nauki humanistyczne mają najwięcej do odrobienia. Jeżeli przez humanizację rozumieć oddogmatyzowanie to należy stwierdzić, że nauki ścisłe — nie wyłączając Związku Sowieckiego — korzystają z niewspółmiernie więk-

szej wolności niż dyscypliny humanistyczne. W matematyce, fizyce, chemii — nie przejmują się dziś nikt teoriami marksistowskimi. I to jest jedna z przyczyn dla której scjentyści sowieccy znajdują łatwo wspólny język ze swymi kolegami na Zachodzie. Nikt się dziś nie przejmuje „dialektiką przyrody”. Jest całkowicie nie do pomyślenia, by na posiedzeniu naukowym w Moskwie zjawiał się p. Trofim Łysienko i oświadczył na wstępie (jak to swego czasu bywało), że jego referat został zatwierdzony przez KC.

W moim przekonaniu nie humaniści, lecz scjentyści i technokraci przetrząca kiedyś most porozumienia pomiędzy Wschodem i Zachodem. Kultura scjencyficzna jest jedna, wszystkim wspólna i w pełnym tego słowa znaczeniu międzynarodowa.

Humanizm natomiast — tak jak go rozumie prof. Schaff — stanowi ostatni bastion doktrynalnego marksizmu. Humanizm w takim ujęciu — w wydaniu popularnym jest zwykłą propagandą, a na wyższym szczeblu apologetyką doktryn, które potrzebne są tylko jako usprawiedliwienie dyktatury.

Obserwujemy dziś na całym świecie upadek kultury humanistycznej, co oczywiście znalazło swój wyraz w stosunku humanistyki do polityki. Humanisci przestali być przywódcami, rewolucjonistami, reprezentantami i trybunami ludu. Wpływ na ogniska siły, na politykę, a tym samym na historię — tracą humaniści na rzecz scjentystów. Kennedy otoczony jest sztabami scjentystów i ekspertów — a wpływ ekspertów i technologów w Rosji Sowieckiej rośnie z każdym miesiącem.

Można by napisać udokumentowane dzieło i wykazać, że upadek humanizmu i deklaszacja humanistów w znacznym procencie jest dziełem marksistów.

Marksieści nie umieli wyprodukować żadnej nowoczesnej syntezy filozoficznej. W epoce, w której rodziła się na Zachodzie fizyka atomowa, marksieści czcili Stalina jako renesansowego geniusza. W epoce stalinowskiej i później marksieści napisali największą ilość nonsensów jaką wyprodukowali ludzie od czasów średniowiecza. Pół setki „British Museum” można by wypełnić marksistowskimi „cegłami”.

Grzechem pierworodnym komunizmu jest przemoc. Dyktatura mniejszości nad większością nie jest niczym innym jak ustabilizowanym systemem przemocy. Wiele imponujących rzeczy dokonano w historii przemocą. Ale nie można mieć przemocy i demokracji, przemocy i wolności, przemocy i rozkwitu humanistyki. Marksieści nie mają odwagi przyznać się do tego. Wprowadzili zespół zachodnich norm z dodatkiem „ludowy”, „socjalistyczny”, lub „marksistowski”. W rezultacie grzęzną w absurdalnych sprzecznościach — ponieważ nie ma i nie może być marksistowskiego humanizmu — tak jak nie ma i nie może być katolickiego materializmu.

W wyniku tych oszałamiających zonglerok — o ile wszyscy na Zachodzie traktują serio scjentystów z bloku wschodniego, o tyle humanistów marksistów nikt nie traktuje poważnie.

Z górą sto lat temu pisał Hercen:

„Socjalizm rozwinie się we wszystkich swych formach do skrajnych konsekwencji, do absurdu. I wówczas z tytanicznej piersi rewolucyjnej mniejszości znów wyrwie się krzyk negacji i znów rozpocznie się śmiertelny bój, w którym socjalizm zajmie miejsce dzisiejszego

konserwatyzmu i zostanie zwyciężony przez przyszłą nie znaną nam rewolucję”.

Jak marksistów-humanistów traktować poważnie? Jeżeli w ich wypowiedziach dopatrzylibyśmy się owego „krzyku negacji” zapowiedzianego przez Hercena i dalibyśmy temu wyraz na łamach naszej prasy — byłoby to denuncjacja. A w gruncie rzeczy jeżeli ktokolwiek na Zachodzie interesuje się wypowiedziami marksistów-humanistów to tylko pod tym herceńskim kątem widzenia.

DOKUMENTY

Chciałbym zwrócić uwagę naszych Czytelników na dwie niezmiernie interesujące i wybitne książki. Pierwsza to „6 lat temu” (Kulisy Polskiego Października), druga — „Rozmowy ze Stalinem” Dżilasa.

Mija 6 lat od przewrotu październikowego, ale w gruncie rzeczy wiemy na ten temat niezmiernie mało. Na emigracji czytałem całkowicie sprzeczne opinie wygłaszane w tej sprawie.

Wydałiśmy w ramach „Biblioteki KULTURY”, w serii „Dokumenty” jakby „Białą Księgę” przewrotu październikowego. Jest to zbiór dokumentów dotyczących niepublikowanych, dotyczących okresu 1956/57. Trzeba było wielu lat nieustannych wysiłków i zachodów, by zdobyć te materiały. Wśród tych dokumentów Czytelnik znajdzie nieznane „białe kruki”, jak na przykład słynny artykuł Stefana Kurowskiego pt. „Apatia — czyli w poszukiwaniu celu”, który ukazał się w skonfiskowanym w całości przez cenzurę ostatnim numerze „Po Prostu” z dnia 7 września 1957 r.

„6 lat temu” jest zbiorem autentycznych dokumentów nie mających nic wspólnego z propagandą. Komentarze pióra wybitnego uczestnika wypadków październikowych — którego nazwiska chwilowo ze zrozumiałych powodów podać nie możemy — mają na celu zbliżenia czytelnika do sytuacji w jakiej powstały omawiane dokumenty.

Październik w pewnym aspekcie był wzlotem jednego pokolenia. Owo świetne, entuzjastyczne pokolenie Goździków, Tejkowskich, Lasotów, Brodzkich — Gomulka stracił. Ale czy wyznawcy hasła „śmierć frajerom” mogą budować humanistyczny, ludzki socjalizm?

„6 lat temu” jest dokumentem nie tylko Października. Książka ta dokumentuje również rolę polskiej emigracji. Zbiór tych dokumentów mógł się ukazać tylko zagranicą i stanowi świadectwo, że przynajmniej dla części z nas nic co dzieje się w Polsce nie jest obce. „Kultura” brała skromniutki udział w dyskusjach październikowych i nam przyszło wydać zbiór dokumentów o tej rewolucji, która „nie w całości umarła”.

Drugą książką-dokumentem, którą polecam naszym Czytelnikom, to Dżilasa „Rozmowy ze Stalinem” — w przekładzie Adama Ciołkosza. Na stronach tej książki spotyka się dwóch niezwykle ludzi — Stalin i Dżilasa. Obaj byli komunistami, obaj ludźmi wybitnymi i równocześnie fundamentalnie różnymi.

Dżilas był komunistą od dwudziestego roku życia. Rozszedł się z komunizmem nie na tle doktrynalnych zawłości, ale w konsekwencji konfliktu moralnego. Głęboki instynkt prawości dominuje nad całą jego osobowością i wyklucza jakiegokolwiek kompromis. Równocześnie jest to umysł zaprawiony do chłodnej analizy — lecz pozbawiony podejrzliwości. Ów brak podejrzliwości wydaje się nam — wychowanym na propagandzie antykomunistycznej — czasem naiwnością. Lecz Dżilas jest w całości i bez reszty produktem świata komunistycznego, a jego droga do wolności jest jego własną i odbiega od jakiegokolwiek szablonu. Dżilas nie wybrał wolności, bo pozostał w Jugosławii, ale duchowo się wyzwolił. Dzieje tego procesu wyzwolenia — dla mnie osobiście — są znacznie bardziej interesujące niż opisy uczt u Stalina.

Wszyscy byli oburzeni brutalną interwencją Sowietów w okresie wydarzeń budapeszteńskich. Dżilas miał wyrok na trzy lata więzienia z zawieszeniem za „wrogą propagandę” (wywiad w „The New York Times”). Doskonale wiedział, że jeżeli potępi publicznie stanowisko rządu jugosłowiańskiego w sprawie powstania na Węgrzech — dostanie się do więzienia.

Dlaczego zabierał głos będąc w takiej sytuacji? Dżilas należy do tych ludzi, którzy uważają że wszyscy za wszystko są współodpowiedzialni. Przezornie milczeć w takiej sprawie oznaczałoby dla Dżilasa pójść na kompromis moralny. Jak zawsze w swym życiu — przed i po rewolucji — wybrał nie kompromis, lecz więzienie.

LONDYŃCZYK

WOLNOŚĆ — RÓWNOŚĆ — NIEPODLEGŁOŚĆ



Redaguje Kolegium
Sekretarz Redakcji:
Ryszard Zakrzewski

Wydaje

Centralny Komitet Zagraniczny PPS. Rok założenia: 1894

ROBOTNICY POLSCY! PRENUMERUJCIE I KOLPORTUJCIE PISMO, KTÓRE SŁUŻY WASZYM INTERESEM, WASZYM IDEALOM i WASZEMU ZWYCIĘSTWU!

Prenumerata roczna 12 sh. Numer pojedynczy
(dwumiesięcznik) 2 sh.

Adres: 77, WESTON PARK, LONDON, N.8.

68 LAT WALKI
O WOLNOŚĆ
O NIEPODLEGŁOŚĆ
O SOCJALIZM
DLA POLSKI

Kraj

Od Kępcicza do Jaszuńskiego

CZYLI O INFORMACJI PRASOWEJ W POLSCE
I GDZIE INDZIEJ

Są w Polsce zdolni i myślący dziennikarze. Aby uzasadnić to twierdzenie najlepiej byłoby opowiedzieć historię ostatnich sześciu lat. Tę samą metodę trzeba by zastosować dla zilustrowania tezy, że w Polsce, a zwłaszcza w innych krajach ludowej demokracji, obiektywność informacji i wolność prasy stoją pod wielkim znakiem zapytania.

Oto pierwsze refleksje jakie się nasuwają po przeczytaniu fragmentu pracy Grzegorza Jaszuńskiego o prasie zachodniej (*Biuletyn Naukowy Studium Dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego nr 2, 1962*), poświęconego obiektywności informacji prasy zachodniej a raczej jej brakowi. Dość dalekie są te skojarzenia między tematem poruszonym przez Jaszuńskiego a stwierdzeniem walorów polskich dziennikarzy. Aby więc wyjaśnić po kolei o co chodzi zaczniemy od... Kępcicza.

Kiedy z początkiem 1953 roku ukazała się książka Klemensa Kępcicza (dziennikarz, długoletni attaché prasowy w Londynie, obecnie w New-Delhi) pt. „Prasa brytyjska donosi...”, była ona klasycznym niemal dziełem struktury i argumentacji stalinowskiej. Przedstawiała ona prasę angielską jako zakłamaną, służącą kilku wielkim kapitalistom i pozbawioną wolności. Fakt ukaźywania się „Daily Worker” — organu Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii — był przedstawiony nie jako (jednak) cień chociażby tej wolności, ale jako nieprzerwany ciąg szykan i trudności, które, ta jedyna prawdziwa redakcja angielska, wytrzymuje z największym wysiłkiem.

Jeśli stwierdzamy, że praca Kępcicza była „niemal” klasykiem minionej ery, to dlatego, że autor starający się w miarę możliwości zachowywać coś w rodzaju *fair play* przedstawił rzeczywiście fakty prawdziwe i zacytował prawdziwe wypowiedzi

krytyczne wybitnych dziennikarzy i przywódców angielskich pod adresem ich własnej prasy. Jednak tendencyjny wybór cytat i agresywny komentarz wyostrzał *ad maximum* wady i po prostu całkowicie pomijał zalety tej prasy.

Ale klasyk stalinowski wymagał również stwierdzenie, że *prawdziwa wolność jest w krajach obozu socjalistycznego, a prawdziwa niewola w krajach kapitalistycznych*. Kęplicz wykił się jednym następującym zdaniem:

„Tej brytyjskiej „wolności prasy”, której istotą jest opanowanie całej prawie prasy drukującej w milionach egzemplarzy krzykliwe brukowce, możemy z dumą przeciwstawić jedno z wielkich przeobrażeń, które dokonały się w Polsce Ludowej — mówi o nich art. 71 naszej Konstytucji:

1. Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji.

2. Urzeczywistnieniu tej wolności służy oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków łączności, radia oraz innych niezbędnych środków materialnych.

Obraz rozwoju prasy angielskiej i dzisiejszy jej stan wskazują szczególnie obrazowo, że kapitalistyczny system posiadania środków materialnych, niezbędnych dla wydawania prasy, musi nieuchronnie doprowadzić prasę do stanu niewoli. Tylko w ustroju wolnym od władzy kapitału może odrodzić się i rozwinąć prawdziwa wolność prasy, powstać nowa prasa, która służy sprawie pokoju i postępu, sprawie mas pracujących, a przez to sprawie całego narodu”.



Dziewięć lat później ukazuje się pierwszy fragment pracy Jaszuńskiego o prasie zachodniej, który pozwala z miejsca stwierdzić kilka godnych uwagi kroków naprzód. Nomenklatura — bez epitetów; Jaszuński lojalnie wzmiankuje istnienie prasy opozycyjnej na Zachodzie, jak również fakty publikowania przez różne dzienniki, poglądów dziennikarzy sprzecznych z zapatrywaniami ich własnych wydawców. Możemy również dowiedzieć się, że prasa burżuazyjna krytykuje (nawet często) swoje rządy (str. 48). Po tych stwierdzeniach autor stara się wyjaśnić, że fakty te niewiele zmieniają istotę rzeczy tj. informacja prasy zachodniej jest w zasadzie subiektywna gdyż stosuje ona szeroko *cztery sposoby*, aby uniknąć obiektywnego informowania, a mianowicie: *przemilczanie, dawkanie, dobieranie i dobór słownictwa (terminologii)*.

W tym miejscu jeszcze kilka refleksji a raczej dygresji. *Pierwsza dygresja*. Próba Jaszuńskiego, polemiki obejmującej również cytowanie argumentów przeciwnika (1) nie jest dziś jeszcze

(1) „Prawdą jest, że np. Walter Lippman nieraz ogłasza w „New York Times” artykuły, w których broni pozycji wręcz odwrotnych od znanego stanowiska właścicieli tej gazety. Możliwe jest więc np. by p. Lippman popierał kandydata Partii Demokratycznej podczas wyborów prezydenckich,

do pomyślenia ani w prasie czechosłowackiej ani wschodnio-niemieckiej. Wydaje się, że nawet i w *węgierskiej* (zbliżającej się do poziomu polskiej) nie przeczytalibyśmy, że Lippman może pisać co innego aniżeli właściciel jego dziennika. A więc *chapeau bas*.

Druga dygresja. To ujęcie i ten ton mieszczący pewne elementy lojalnej dyskusji, są nie tylko cechą Jaszuńskiego. Jest w kraju grupa doświadczonych dziennikarzy (2), mających kontakty z prasą międzynarodową, którzy tłumacząc, dyskutując, pokazując to wszystko co się dobrego dzieje w kraju,

gdy właściciele koncernu popierają kandydata Partii Republikańskiej, lub też, by w sprawach polityki zagranicznej głosił swe własne poglądy. Jest to z pewnością wyjątek bardzo istotny, ale jednak tylko wyjątek. Nie Lippman i nie kilku czy kilkunastu jeszcze Lippmanów nadaje ton i charakter prasie burżuazyjnej. Regułą pozostaje zasadnicza zgodność polityki redakcyjnej z poglądami i interesami właścicieli koncernów prasowych.

Prawdą jest również, że prasa burżuazyjna częstokroć krytykuje swe własne rządy i nieraz czyni to w sposób konsekwentny i dosadny. Ale jest to krytyka, jeżeli tak można powiedzieć, „od wewnątrz” z pozycji ustroju kapitalistycznego. Krytyka tych czy innych posunięć prezydenta Kennedy, czy premiera brytyjskiego lub kanclerza zachodnio-niemieckiego nigdy na łamach gazet burżuazyjnych nie przekształca się w krytykę samego ustroju. Grupy i ludzie sprawujący władzę na Zachodzie mogą sobie pozwolić na luksus tego rodzaju krytyki prasowej. Daje ona obywatelom złudzenie „wolności prasy”, bynajmniej nie *podważając podstaw ustrojowych państwa kapitalistycznego*.

Prawdą jest wreszcie, że w większości krajów burżuazyjnych istnieje prasa opozycyjna. Jednakże jej rola jest z konieczności bardzo ograniczona. *Nakłady gazet komunistycznych na Zachodzie z różnych względów stanowią mały tylko odłamek nakładów prasy brukowej*. Dziennik komunistyczny na Zachodzie, nawet w tych krajach, w których wpływy Partii Komunistycznej są silne (jak np. Francja czy Włochy), nie wytrzymuje konkurencji ze znacznie bogatszymi gazetami burżuazyjnymi.

Czytelnik na Zachodzie od dziesiątków lat przyzwyczajony jest do tego, że w gazecie szuka sensacji i rozrywki, przeważnie niewybrednej sensacji i taniej rozrywki. Burżuazyjna prasa brukowa w pełni pokrywa to zapotrzebowanie.

Toteż nie popełniliśmy błędu, jeżeli mówiąc o prasie i dziennikarzach na Zachodzie mieliśmy na uwadze „normalną” gazetę, to znaczy gazetę wydawaną przez duży koncern kapitalistyczny, czyli gazetę, w której dziennikarze ogłaszać mogą tylko to, co dogadza właścicielom tego koncernu. Brzmi to niemal jak schemat, ale w przeważającej większości wypadków schemat ten zgodny jest z rzeczywistością, zwłaszcza jeśli chodzi o interesujący nas w tej chwili problem tzw. *obiektywności w prasie zachodniej*”.

(2) Przykładowo wymienimy skład takiej grupy „angielsko-amerykańskiej” — Osmańczyk, Stanisław Brodzki, niedawno zmarły Litauer, Arski, Jaszuński, Broniarek, Hoffman, Bańkowski, Giebułtowicz, Korotyński, Rakowski, Małcużyński, Kemplicz, Janczewski, Ros (czterej ostatni po r. 1956 zostali wysokimi urzędnikami MSZ). Ci dziennikarze w ciągu licznych spotkań i rozmów ze swoimi kolegami angielskimi i amerykańskimi, zanotowali pewne sukcesy „na koncie” międzynarodowej opinii o Polsce.

wpływają nieraz w większej mierze na ton, a nawet i treść, artykułów prasy zachodniej o Polsce, aniżeli by się to nam zdawało.

Trzecia dygresja. Wolność prasy i obiektywność informacji stanowią od dawna jedno z podstawowych kryteriów wolności demokracji i socjalizmu, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. Toteż nie dziwota, że na tym „froncie” toczy się ciągła walka między apologetami dwóch bloków. Jest też i *trzecia siła*: ci, którzy korzystając z wolności słowa drukowanego na Zachodzie, krytykują zarówno ograniczenia wolności prasy i zanik obiektywnej informacji w krajach kapitalistycznych jak i w krajach komunistycznych. Jaszcuński cytuje te tylko fragmenty tych głosów, gdzie poddana jest krytyce prasa zachodnia. Nie można zresztą żądać (i byłoby to bezskuteczne) aby cytował on jakże liczne (i *równie prawdziwe*) fragmenty tych autorów mówiące o brakach prasy komunistycznej (3).

Nie jest naszym zamiarem bronić tutaj tezy o anielsko-obiektywnym charakterze całej prasy zachodniej. Nie. Ale gdy przychodzi o porównań między prasą zachodnią i wschodnią nie można się oprzeć chęci stwierdzenia nie tylko, że „przyganiał kocioł garnkowi a sam smoli”, ale raczej, że kolega Jaszcuński widzi słomkę (powiedzmy: solidną dużą słomkę) w oku drugiego, a w swoim ludowym oku nie widzi belki wcale pokaźnych rozmiarów.

Skąd prasa polska czerpie masę wiadomości kompromitujących w oczach opinii publicznej rządy kapitalistyczne? Z prasy i od agencji zachodnich. O skandalach w Algierze? Też z francuskiej prasy, nie koniecznie komunistycznej i z książek demaskatorskich nie napisanych przez komunistów. O ograniczeniach wolności prasy, konfiskatach etc. we Francji czy Anglii? — Skąd? — Z teje samej prasy.

Jaszcuński cytując kilka przykładów (miażdżąca krytyka polityki USA wobec Kuby — J. Restona w *New York Times*, czy ataki Lippmana w *New York Herald Tribune*) wyprowadza następujące wnioski: „A więc, *po pierwsze*, że prasa amerykańska ulega w tych czy innych wypadkach sugestiom i naciskom kół rządowych. *Po drugie*, że administracja czasem wykorzystuje te swoje możliwości po prostu dla wprowadzania w błąd obywateli. *Po trzecie* wreszcie, że w ramach amerykańskiej wolności prasy mieści się — choć niezbyt często się z tego robi użytek — *prawo do krytykowania tego rodzaju posunięć rządu*”.

„Czy z tego ostatniego faktu należy wnioskować, że prasa Stanów Zjednoczonych — i innych krajów kapitalistycznych —

(3) Np. cytowany przez Jaszcuńskiego J. Kayser w swej książce „Mort d'une liberté” demaskuje na 28 stronach zakłamanie prasy komunistycznej (str. 38-62 i 237-242). Oczywiście te cytaty nigdy nie zobaczyły światła dziennego w Polsce.

jest jednak „wolna” w burżuazyjnym znaczeniu tego słowa, to znaczy „niezależna” od rządu? Tego rodzaju konkluzja byłaby przedwczesna. Wydrukowanie cytowanego krytycznego artykułu Restona na łamach *New York Times'a* jest jedynie dowodem tego, że właściciele poważniejszych gazet amerykańskich mogą sobie pozwolić na luksus krytykowania rządu wówczas, gdy tego pragną. Akcent w poprzednim zdaniu położyć należy na ostatnie trzy słowa: „gdy tego pragną...”.

A jeżeli tego sobie nie życzą? Jeżeli ich interesy i poglądy pokrywają się z interesami i poglądami rządu? Jeżeli — mowa wciąż o właścicielach gazet w państwach kapitalistycznych — stanowią oni część składową tej grupy, czy warstwy, czy klasy, która sprawuje władzę? Niewiele wówczas zostaje z tej wolności i „niezależności”.

Czwarta dygresja. Nie znamy jeszcze całości cytowanej pracy o prasie zachodniej. Wydaje się jednak, że trudno będzie autorowi twierdzić, że w krajach socjalistycznych informacja jest w pełni obiektywna. Taki pogląd jest odrzucany przez najwybitniejszych teoretyków radzieckich (Palgunow) i czechosłowackich (*Novinarski Sbornik* nr 1 /1962).

Z opublikowanego rozdziału wynikałoby raczej, że Jaszcuński pragnie powiedzieć: „Zarzucacie nam nieobiektywność informacji a wy co... Wy dopiero jesteście nieobiektywni...”.

Co innego *wolność prasy*; tu nie ma wątpliwości: na Zachodzie jej nie ma, a na Wschodzie jest. Cytowany już tekst art. 71 obowiązuje i jako litera prawa i jako wyraz teorii socjalistycznej wolności prasy (tej *prawdziwej*).

Cztery sposoby i cztery biuletyny

Tu koniec dygresji. Wracamy do „czterech sposobów” aby zając się bliżej prasą polską, która nigdy nie przemilcza, nie dawkuje, nie dobiera ani nie cieniuje terminologii.

To tylko ironia niestety; nawet Jaszcuński tego nie powiedział, bo doskonale zna: „B.S.”, „K.B.S.”, a może *Sygnaty* i Biuletyn MSW. Są to cztery mniej lub więcej poufne biuletyny P.A.P.'u, Urzędu Kontroli Prasy i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zawierające wiadomości w zasadzie nie przeznaczone do publikacji, zwłaszcza „K.B.S.”, lub już skonfiskowane (w *Sygnalach*). Jaszcuński zna też doskonale systemy telefonów „rządowych” (Starewicz KC PZPR — P.A.P., Polskie Radio i Główny Urząd Kontroli Prasy) działających magicznie (i jednostronnie) na sposób redagowania i w ogóle na publikowanie lub nie tej czy innej informacji.

Gdy Kęplisz musiał stwierdzić jak to dobrze w polskiej prasie, Jaszcuński nie musiał; stąd właśnie z jego wywodów

płyń m.in. logiczny wniosek: „U nas z tą informacją (4) nie tego, ale u kapitalistów jeszcze gorzej”. Naprawdę mała to pociecha. Spróbujmy uzasadnić naszą krytykę stosując „sposoby” Jaszuskiego do sytuacji w prasie polskiej. A więc:

1. *Przemilczanie*. Prasa polska przemilczała sowieckie próby atomowe w jesieni 1961, mimo że społeczeństwo z radia dobrze o nich wiedziało. Ostatnio przemilczano też kontrowersyjne wystąpienie brytyjskiego posła Silvermana na moskiewskim kongresie w sprawie rozbrojenia, jak i te wszystkie głosy, które nie pokrywały się z ustalonym schematem. To samo jeśli chodzi o słynną „misję Beitza” w Warszawie w sprawie nawiązania stosunków między Polską i Niemiecką Republiką Federalną.

Przemilczała też prasa krajowa szczegóły wielu dyskusji w sejmie oraz ilość posłów, którzy się wstrzymali od głosowania i tych, którzy głosowali przeciw projektom ustaw zwalczanych przez katolickie koło poselskie „ZNAK”. (W sprawie projektu ustawy o zgromadzeniach, było ich łącznie 16 na ogólną ilość 460 posłów); informacja ta więc nie obaliłaby władzy ludowej...

Pełne, prawdziwe i bardzo dobrze napisane informacje o wydarzeniach w Nowej Hucie, Toruniu, o dyskusji na zjeździe literatów, o poruszeniu wśród robotników domagających się podwyżek, o dyskusji Gomułki z członkami organizacji partyjnej na Żeraniu — wszystko to ukazywało się jedynie w kilkuset egzemplarzach („KBS”), przeznaczonych dla kierownictwa partii, rządu i prasy.

Nie wspominamy tu nawet całej masy informacji związanych z różnicami istniejącymi w łonie partii komunistycznych, z konfliktami: Jugosławia — obóz socjalistyczny, Albania — tenże obóz, czy zwłaszcza Chiny — Z.S.S.R. Z tego wszystkiego przeciętnie inteligentny czytelnik zdaje sobie przecież sprawę. Zwłaszcza jeśli słucha (a słucha) zagranicznego radia.

2. *Dawkowanie*. Tu już nie trzeba przykładów. Każdy numer numer *Trybuny Ludu* czy *Życia Warszawy* jest jednym przykładem stosowania tego sposobu. Ton tu nadaje PAP, inspirowana przez Starewicza (szef biura prasowego KC PZPR). Niezależnie od tego, na zebraniach redaktorów naczelnych mówi się im wprost gdzie poświęcili za dużo uwagi, a gdzie za mało; atakuje się też tych, którzy naruszyli zasady dawkowania i dobierania informacji.

3. *Dobieranie*. Ogólnie można powiedzieć, że panuje tu tendencja do przeceniania komentarzy i wielkich artykułów publicystycznych wyjaśniających politykę partii i rządu. Jeśli zostaje jeszcze miejsce daje się informacje mające pokazać siłę obozu pokoju i socjalizmu oraz słabość i złe zamiary świata kapitalistycznego. A więc każda wiadomość, że coś się złego dzieje w

(4) Całkiem wyraźnie to stwierdza Leopold Unger w *Prasie Polskiej* nr 2 (166) str. 3 (Luty 1962).

Algierze, że kolonizatorzy uciskają, że w Anglii giną wielkie dzienniki pożarte przez konkurencyjne koncerny prasowe — ma oczywiście pierwszeństwo przed sukcesami Zachodu. Nic, lub jak najmniej o tym co się stało niedobrego (dla socjalizmu lub ZSSR) w obozie socjalistycznym (stąd przemilczanie rozbieżności sowiecko-chińsko-albańskich) lub ich ujmowanie w sposób niezrozumiały dla przeciętnego czytelnika, lub topienie w tasemcowych przemówieniach, których nikt prawie nie czyta.

4. *Terminologia*. Tu już nie dysponujemy tak bogatym zbiorem przykładów jak w „minionym okresie”, albo jak w prasie bułgarskiej czy wschodnio-niemieckiej, ale niemniej możemy zaprezentować... próbę ucieczki grupy Niemców do zachodniego Berlina jako: „Udaremnioną próbę przedarcia się siłą do Berlina band bońskich prowokatorów” (*Życie Warszawy* — 21.6.1962, str. 2). Ten tytuł dwuszpaltowy w pełni odpowiada zwrotom użytym w tekście informacji.

Trzeba przyznać, że w zasadzie jednak poważne dzienniki polskie zdobyły się na wielki wysiłek odchodząc od propagandy „epitetowej”.

Natomiast wciąż jeszcze zauważamy tzw. „chwyt”. Tak np. w *Trybunie Ludu* z 1.7.1962, str. 1 i 2 czytamy korespondencję Kazimierza Goldego, gdzie następująco przedstawia on wydarzenia w Algierze:

„Ostatnie chwile suwerenności francuskiej w Algierii. Ostatnie zbrodnie w Algierii — zamordowany Algierczyk pod Oranem, spadochroniarze w czerwonych beretach ostrzeliwują oddział algierskiej siły lokalnej na przedmieściu Algieru Belcourt”.

Tak jakby równocześnie nie ginęli licznie niewinni Europejczycy w Algierii (xyz) Ejże... a dalej czytamy:

„Christian Fouchet wygłasza w Rocher Noir przemówienie transmitowane przez radio i telewizję. Stwierdza, że jest to ostatnie przemówienie wygłoszone przez ostatniego z tych, którzy od 132 lat reprezentują suwerenność Francji na terenie Algierii. Wzywa, by zapomnieć o zbrodniach popełnionych. Przedstawia „dobrodziejstwa” kolonializmu. Mówi o nawadnianiu suchych ziem, o nowoczesnym przemyśle i miastach wybudowanych w Algierii przez Francję. Zapomina o zniszczeniach dokonanych w ramach taktyki „spalonej ziemi”. Celem jego przemówienia jest wykazanie konieczności współpracy francusko-algierskiej, konieczności pojednania i stworzenia nowoczesnego państwa, w którym wszystkie rasy i religie znajdą swoje miejsce, w którym Francja i Francuzi będą mogli nadal odgrywać swą rolę dla dobra Algierii”.

Wzywa, by „nie zaprzepaścić tej wielkiej okazji, czego by historia nie wybaczyła”. A korespondent *Trybuny Ludu* zapomina że to nie Francja dokonywała tych zniszczeń i że nawet działacze FLN chcą (przynajmniej tak oświadczają) zapomnieć to co red. Golde pragnie przypomnieć z okazji przemówienia Christiana Fouchet. W ten sposób można każdemu politykowi „przypomnieć”

wszystko co dziennikarz mu pragnie przypisać. To jest właśnie „chwyt”... niżej pasa.

I drugi „chwyt”: wiadomo jak drażliwa jest sprawa otrzymywania paszportów zagranicznych w kraju, że nie łatwo jest je uzyskać. I oto *Życie Warszawy* z 20 czerwca 1962 zamieszcza na 1-ej stronie wielki tytuł: 36 małych miast — Wydziałowe „małżeństwo z przymusu” — Nowe herby miejskie — Z ogniem nie ma żartów — *Paszporty bez dyskusji*. „OBRADY SEJMOWEJ KOMISJI SPRAW WEWNĘTRZNYCH” — można więc przypuszczać, że dowiemy się czegoś istotnego o ułatwieniach w otrzymywaniu paszportów. Ale oto co czytamy w tekście:

„...W punkcie trzecim, postanowiono przyjąć projekt noweli do ustawy paszportowej w brzmieniu przedłożenia rządowego. Z uwagi na to, że ustawę tę omawialiśmy ostatnio (5) obszernie — przypominamy jedynie, że projektowane zmiany dotyczą przedłużenia ważności paszportu do lat dwóch i określają termin jego zwrotu na dni siedem”.

Po co więc pisać i rozdrażniać ludzi?



Ale są też w Polsce odważni i rozsądni zarazem dziennikarze (i nie tylko oni) rozumiejący, że im obiektywniej i pełniej informuje się opinię publiczną kraju, tym większe zdobywa się dla prasy (i dla rządu) zaufanie społeczeństwa. Przełom lat 56/57 był tego nienajgorszym dowodem.

Czy rozwój takiej informacji i bardziej samodzielnej publicystyki politycznej groziłby aktualnemu ustrojowi? Jesteśmy przekonani, że nie. Jednak stanowisko Partii w tej dziedzinie pozostaje wyznaczone przez słynne przemówienie Gomułki do redaktorów prasy partyjnej w kilka dni po zamknięciu „Po Prostu” (5 października 1957) (6).

Po Prostu, Przemiany, Ziemia i Morze a nawet *Kwartalnik Fraszonawczy* przestały wychodzić. Nowa *Kultura*, *Sztandar Młodych* i wiele innych gazet zmieniły kierownictwo.

Kokolwiek by się nie mówiło na ten temat, trzeba stwierdzić, że istnieje w Polsce opinia publiczna, że czasami dochodzi ona do głosu, że partia i rząd w ten czy inny sposób się z nią liczą. Stąd właśnie wynika ta ogromna „troska” o prasę, o dziennikarzy, o pokazanie się „na poziomie” (zresztą nie u całego kierownictwa partii). Jeśli praca Jaszuńskiego rozejdzie się szerzej, będzie ona miała na pewno jeden plus: da do myślenia dziennikarzom i nie-dziennikarzom; z argumentacji Jaszuńskiego może potrafią oni wyciągnąć właściwe wnioski.

(x y z)

(5) Również w poprzednich artykułach na ten temat nie ma ani słowa o udzielaniu paszportów „bez dyskusji”... (x y z).

(6) Pełny tekst tego przemówienia wydrukowany został w 11 tomie „Dokumentów”, wydanych w „Bibliotece Kultury” pt. „6 lat temu...”.

Sąsiedzi

Przegląd niemiecki

MORALNOŚCI PRZECIW POLITYKOM

Tygodnik „Die Zeit”, w numerach z 7, 14 i 21 września rb., opublikował dyskusję dwóch autorów: profesor Golo Mann i Karl Theodor Reichsfreiherr von und zu Guttenberg — poseł Chadeji do Bundestagu i, według krążących w pewnych kołach pogłosek, ewentualny kandydat na ministra spraw zagranicznych — wypowiadali się na temat czy Niemcy mają jakąś przyszłość (*Hat Deutschland eine Zukunft?*). Ta polemika wybitnego naukowca z głośnym politykiem stanowi nowy etap w narastającym konflikcie niemieckich moralistów z politykami, w którym po jednej stronie występują takie osobistości jak Jaspers, Barth, kardynał Doepfner, autorzy „Memorandum Ośmiu”, Golo Mann i coraz liczniejszy zastęp uczonych, a po drugiej — politycy nie najcięższego kalibru i bezosobowość sfer urzędowych. Z jednej strony myśli skrupulatnie przeanalizowane i sprecyzowane, z drugiej — dość bezradne bogoojczyńskie pustosłowie, nie wykraczające poza ramy taktyki politycznej i nie gardzące partyjną kazuistyką.



W przedmowie do swej „Historii Niemiec XIX i XX wieku” (wydanej w 1958 roku) profesor Golo Mann pisze: „Historia winna uczyć nas nie tylko czym jesteśmy; winna też wskazywać nam czym j u ż n i e j e s t e ś m y (podkr. Manna) i dlaczego nie możemy nadal pozwalać sobie na pewne działania polityczne, stosowane przez naszych przodków”. Tę myśl rozwija profesor Mann i w omawianej dyskusji.

Po omówieniu warunków i znaczenia dzisiejszej suwerenności, profesor wyjaśnia wzajemną bezsilność nawet najpotężniejszych, których widzi tylko w USA i w Związku Sowieckim, ewentualnie, w przyszłości, także w Chinach. Trwający konflikt USA — Rosja porównuje do partii szachów rozgrywanej bez królów i hetmanów. „Obecnie siłą można co najwyżej utrzymać to, co się posiadało, ale przemocą nie można już zmienić tego, co się w ciągu 17 lat wykrystalizowało”.

Omawiając siły Niemiec profesor mówi, że w roku 1946 były one równe zero. Dziś jednak sam tylko potencjał przemysłowy, trzeci w świecie, stanowi wprawdzie ograniczoną, ale poważną siłę, a rozbudowa armii, opartej na sojuszu z Zachodem, siłę tę znacznie podnosi, powodując jednocześnie obawy „u sąsiadów i wrogów na Wschodzie”. Dlatego właśnie powstała konieczność prowadzenia polityki zagranicznej nie wyłącznie w zachodnim kierunku, w którym od 1949 roku dokonano wielu twórczych i konstruktywnych dzieł, lecz także i we wschodnim — z wyraźnymi, rzetelnymi i osiągalnymi celami.

Dopóki Niemcy były bezsilne, można było te cele przemilczać, można było nawet samym sobie ich nie uświadamiać. Ale dzisiaj Polacy nie mogą ufać deklaracjom, że nie uznajemy granicy na Odrze i Nysie, że żądamy rewizji wschodniej granicy, ale że nie chcemy dokonać tego siłą. Polacy znają tę tezę z czasów Republiki Weimarskiej. Wówczas także głoszone, że „nie uznajemy i nie pogodzimy się z korytarzem polskim, chcemy wcześniej czy później rewizji, ale bez użycia gwałtu”. Była to przecież teza Stresemanna i Polacy dobrze pamiętają co w latach trzydziestych i czterdziestych z tego wynikło.

Siła dzisiejszych Niemiec pozwala przeprowadzać niemieckie cele i we wschodnim kierunku, ale nie wolno stawiać sobie celów osiągalnych wyłącznie przemocą, w stylu XIX wieku.

„Ze prastara walka o przewagę między Słowianami a Germanami po 700 latach zakończyła się tam, gdzie ją rozpoczęto, jest naszym nieszczęściem, ale jednocześnie jest to wynik naszych własnych czynów, przy czym jak często w historii się zdarza, bezprawie miesza się tu ze sprawiedliwością dziejową”.

„W tym miejscu dotykam losu nadchodzącej przyszłości niemieckiej i pilnego zadania, które przez jakiś jeszcze czas może być omijane, lecz na dłuższą metę nie może być ominięte, to znaczy uznania nowego porządku terytorialnego w Europie Wschodniej, uznania nie w rokowaniach pokojowych, lecz przez dobrowolną deklarację, zanim w ogóle rokowania będą mogły się rozpocząć”.

„Gdy Polacy zaczną wreszcie nam ufać — od czego są dziś dalecy i z ich punktu widzenia mają po temu podstawy — wtedy zobaczymy ilu z tych, którzy utracili swe domostwa na niemieckim wschodzie, jeśli sami zechcą, będzie mogło powrócić do swych stron. przyjmując pewne warunki. Osobiście nie mam tu wielkich nadziei, ale jednocześnie nie wierzę, aby niczego nie można było tu osiągnąć. Działając jednak dalej tak, jak w ciągu ostatnich dwunastu lat, w najlepszym wypadku osiągniemy na wschodzie to samo, co osiągnęliśmy w ciągu tych dwunastu lat — to znaczy całkowite nic”.

W zakończeniu formułuje on kilka zasad, których urzeczywistnienia oczekuje od niemieckiej polityki zagranicznej, a mianowicie:

1. „Kontynuowanie wielkich europejskich i zachodnioeuropejsko-amerykańskich poczynań, które już okazały się sukcesami i które zbyt poważnie były rozpoczęte, żeby można było ich zaniechać.

2. „Uzupełnienie polityki zachodniej odpowiednią polityką wschodnią, która mogłaby więcej dokonać niż stosowanie od dziesięcioleci stałego powtarzania NIE, mianowicie:

— Odejście od doktryny Hallsteina;

— uznanie komunizmu za potęgę wroga duchowo i gospodarczo, która jest w stanie ciągłych przemian, i — dokładne obserwowanie tych przemian;

— uznanie tej potęgi za zjawisko, z którym w jakiś sposób musimy żyć, jeżeli nie chcemy razem z nim zginąć.

3. „Nawiązanie bliskich stosunków z państwami satelickimi, a zwłaszcza, jeśli to jest możliwe z narodami satelickimi, a spośród nich przede wszystkim z Polakami. Próba zdobycia zaufania Polaków. Próba wzięcia reżymu Ulbrichta w pewnej mierze w obcęgę z obu stron”.

Jakżeż odmiennie ten sam temat ujmuje poseł zu Guttenberg.

Na wzór profesora Manna, precyzuje on też trzy tezy:

1. „Sytuacja naszego podzielonego kraju w zasadzie nie zmieniła się od 1945 roku. Sowiecki imperializm mocno dzierży część naszego kraju i jest zdecydowany sięgnąć także i po pozostałą część”.

2. „Aby wolnym Niemcom zapewnić warunki utrzymania tej wolności, konieczne jest, obok militarnej równowagi sił, zachowanie równowagi politycznych żądań. To znaczy: jeżeli jedna strona — tj. Wschód — stawia żądania wykraczające poza jej stan posiadania (a któż zaprzeczy, że tak nie jest w sprawie Berlina) zaś druga strona zadowala się tym, co w tej chwili posiada, to ta druga strona, w końcu przegra. Jeżeli jedna strona myśli tylko o obronie, a druga stosuje polityczną ofensywę, to zawsze zwycięży strona ofensywna. Ażeby więc w tej sytuacji utrzymać *status quo*, należy ofensywnemu żądaniu Wschodu przeciwstawić nasze zgodne z prawem ofensywne żądania”.

3. „Ażeby zapewnić lepszą przyszłość naszemu krajowi mamy tylko jedną drogę — wspólną z Zachodem trzeba osiągnąć przewagę w zimnej wojnie.

A jeżeli ktoś z niezadowolonych zapyta mnie czy jestem zwolennikiem *Roll-back!* będę musiał zaprzeczyć. Jestem zdania, że w zimnej wojnie wolny świat winien osiągnąć przewagę, to znaczy, że jeżeli motorem zimnej wojny jest sowiecka wiara w ostateczne zwycięstwo komunizmu, wówczas należy zachwiać ten kanon polityki sowieckiej i tym samym zahamować motor agresywności.

„Jeżeli mam więc odpowiedzieć czy Niemcy jako całość, jako wolny naród, mają przed sobą przyszłość, oświadczam: Przyszłość Niemiec zależy od istnienia wolności w całym wolnym świecie”.

W dyskusji po powyższych referatach obaj prelegenci uzupełniali swe wypowiedzi. Zajmijmy się tylko bezpośrednio dotyczącymi stosunków niemiecko-polskich.

Prof Mann:

„Nie zalecałem uznania Niemieckiej Republiki Demokratycznej; też jestem zdania, że nie pora po temu. Zalecałem natomiast uznanie Państwa Polskiego i innych państw satelickich, a w związku z tym, wyraziłem pogląd, że uznanie granicy na Odrze i Nysie nie da się odwlekać zbyt długo. Wyraziłem nadzieję, że przez to nastąpi pewne odprężenie i w sowieckiej zonie, że nastąpi tam pewna poprawa warunków życiowych. Dopiero gdyby nastąpiła tam taka poprawa można by myśleć o uznaniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej...”

„Użyte było tu słowo *apeasement* i wspomniany był Adolf Hitler. Z tego powodu chciałbym ostrzec przed konsekwentnym utożsamianiem naro-

dowego socjalizmu z komunizmem. Oczywiście — oba systemy są totalitarne i obaj wodzowie byli fanatykami i złymi ludźmi. Ale sądzę, że nie doceniamy naszego przeciwnika komunistycznego, że nie doceniamy jego potęgi i jego niebezpieczeństwa, jeżeli Hitlera i hitleryzm stawiamy na równi z komunizmem. Hitleryzm, tu, w Niemczech, był ostatecznie tylko ciemnym epizodem. Był to system nie mogący się rozszerzyć na cały świat, choćby tylko z powodu jego rasistowskich teorii. Komunizm natomiast — obawiam się — jest trwałym zjawiskiem. Jest przeciwnikiem, z którym musimy znaleźć modus vivendi”.

„...Cała moja próba koncepcji zmierza do utrzymania na Zachodzie wszystkiego, co dotychczas zostało zbudowane ale i dokonania odpowiednich uzupełnień we wschodnim kierunku”.

Posel zu Gettenberg:

„...Profesor Mann mówi nam, że gdyby polityka zachodnio-niemiecka rozumiała wreszcie jak nierealnie wyobraża sobie zagadnienie granicy wschodniej, mogłoby to może przyczynić się do ewolucji poglądów. Pomiędzy czy chodzi tu o prawo do wolności, o ludzkie prawo. Ale zapytuję co skorzystamy jeżeli spełnimy życzenie przeciwnej strony. Czy wtedy przyczynimy się choćby w małym stopniu do wymanewrowania Polaków z kleszczy w jakich się znajdują? Wprost przeciwnie! Polacy nie przypiszą tego pojednawczego i wspaniałomyślnego gestu ani Zachodowi, ani Niemieckiej Republice Związkowej. Polacy wówczas powiedzą: Aha, tu się nareszcie ujawniła moc i przewaga Związku Sowieckiego!

Prof. Mann:

„...Chcemy zdobyć przewagę nie przez wyższość fanatycznie pojętej ideologii, lecz przez nasz naturalny rozwój i przez siły twórcze naszych grup społecznych”.

„Prawo wysiedleńców do ojczyzny (*Heimatrecht*) jest ciężkim i drażliwym problemem. Mam pełne zrozumienie dla tęsknoty wysiedleńców i dla wszystkiego o co chodzi im na zjazdach dorocznich. Starsi z nich nie zapomną stron rodzinnych, i na pewno nie biorę im za złe, że nie chcą wyrzec się prawa do powrotu. Bądźmy jednak i tu uczciwi i dokładni. Prawo Niemców do tych terenów nie jest sprawą prostą, gdyż my, naród niemiecki, musielibyśmy takie same prawo przyznać Polakom i innym narodom, gdybyśmy nawet uzyskali tam zwierzchnictwo. Tegośmy w przeszłości nie dokonali. Tu więc spotkało się bezprawie z bezprawiem, bezprawie odpowiednia na dawniejsze bezprawia”.

„Chodzi więc o to — jeżeli w tym kierunku w ogóle coś można osiągnąć — by prawo pojednać z prawem tam, gdzie tylko jest to możliwe. Ale tu konieczne jest przede wszystkim zaufanie między Polakami i prawdziwymi Niemcami — a więc zachodnimi, wolnymi Niemcami. Tego zaufania dziś nie ma. Dopiero gdy ono powstanie, można by znaleźć częściowe rozwiązanie problemu, które może zdołać zapewnić minimum praw do stron rodzinnych.

Jak tego należy dokonać — nie wiem. To potrafiłby uczynić tylko prawdziwy mistrz sztuki politycznej, tego nie może zrobić czysty teoretyk. Tego oczywiście nie dokona także i niemiecki ambasador w Warszawie”.

...Dyplomata niemiecki w Polsce w obecnych warunkach „winię” zajmować się wyłącznie nawiązywaniem kontaktów między Polakami i Niemcami, oraz rozbudowywać wzajemne zaufanie i sympatie między obu narodami”.

Posel zu Guttenberg:

„Przyznaję panu profesorowi rację, że według wszelkiego prawdopodobieństwa z roku na rok, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, będzie coraz mniej Niemców, którzy, gdy wolność na tych terenach zawita, gotowi byłiby wracać. Dla nich jednak winniśmy działać, jeżeli chcemy prowadzić politykę, której dewizą jest wolność i prawo”.

Niemiecka polityka wschodnia musi polegać na stworzeniu zaufania do nas na wschodzie, to prawda. Ale czy nie powinniśmy jednocześnie ustalić, i to z własnego doświadczenia, że w kraju rządzonego przez komunistów trzeba robić różnicę między rządem który tam rządzi, panuje i uciska, a narodem, który tego rządu wcale sobie nie życzy? Jeżeli chcemy wzbudzać zaufanie, musimy mieć z narodem dobre stosunki. Ale nie wyobrażam sobie, aby na poprawę stosunków na przykład węgiersko-niemieckich mogło pojednawczo wpływać, gdy nasz ambasador będzie ścisnął dłoń Kadara — kata wolności węgierskiej.

Profesor Mann słusznie powiedział, że powinniśmy wzmocnić handel z Polską. Jestem tegoż zdania i jestem bardzo rad, że w porównaniu z innymi państwami satelickimi, obroty handlowe z Polską dosięgły miliarda marek rocznie. Nie jest naszą winą, że nie daje się zwiększyć tych obrotów. Wina leży po polskiej stronie.

Jeżeli uznamy granicę, pan Gomulka powtórzy to, co niedawno publicznie oświadczył, że „Nawet jeżeli Niemcy Zachodnie uznają granicę Odry i Nysy, nie będziemy temu podstępowi ufać”. Tak pan Gomulka powiedział, i tego zmienić nie mogę. Pytam się przeto czy musimy odstąpić od dotychczasowego sposobu działania, skoro rząd warszawski nie dopuszcza do porozumienia, którego pragniemy”.

Koniec dyskusji.

Do wypowiedzi profesora Manna zbędne są komentarze. Można tylko wyrazić nadzieję, że poglądy moralistów niemieckich, wymienionych i niewymienionych na początku dzisiejszego „przeglądu”, będą znajdować w Niemczech coraz liczniejszych rzeczników. Takie właśnie środowisko niemieckie może liczyć na zdobycie zaufania Polaków. Nie dlatego, że chcą uznawać granicę na Odrze, lecz najzwyczajniej dlatego, że będąc niemieckimi patriotami, są jednocześnie Europejczykami w najlepszym tego słowa znaczeniu i że w Polakach i innych wschodnich sąsiadach chcą widzieć też Europejczyków.

Do wypowiedzi posła von und zu Guttenberga też zbędne są komentarze. Czytelnicy „Kultury” stanowią pewnego rodzaju elitę, która sama potrafi wysnuwać wnioski i nie trzeba jej palcem wskazywać niekonsekwencji, na jakie pozwala sobie pan poseł, gdy jednym tchem stwierdza najpierw konieczność rozróżniania między rządem komunistycznym w Warszawie i narodem polskim, a potem liczy się tylko z wypowiedzią szefa komunistów warszawskich i przemilcza ewentualne reakcje narodu. Tę uwagę kieruję do dość licznych naszych przyjaciół-czytelników niemieckich.

Dla polskich czytelników przytaczam tłumaczenie listu skierowanego

do redakcji „Die Zeit”. Najwymowniejszą w tym liście jest skromność podpisu: „Willi Meeger, Oberprimaner, Köln”. Oberprimaner, to znaczy uczeń dziewiątej klasy gimnazjalnej, czyli młody człowiek, który w lutym będzie składał egzamin maturalny. Willi Meeger pisze:

„Baron von Guttenberg w rozważaniach przyszłości Niemiec wyszedł wydale mi się, z fałszywych założeń. Słusznie ocenia, że znajomość niemieckiej współczesności winna oznaczać znajomość jej pierwiastków, źródeł i przyczyn. Ale że te pierwiastki, źródła i przyczyny umieszcza po 1945 roku, uważam to za grubą błąd w ocenie faktów, błąd mający udowodnić fikcyjną niemiecką niewinność w naszej obecnej sytuacji. Od takiego błędu do fałszywego wniosku, że podział Niemiec jest skutkiem zimnej wojny, nie jest daleko”.

Tak więc myśli moralistów znajdują oddźwięk u maturzysty. Są natomiast niedostępne dla wielu, dla których winny stanowić chleb powszedni. Dlatego zapewne poseł do Bundestagu i przewodniczący koła zagadnień zagranicznych (*Aussenpolitischer Arbeitskreis*) Chadeccji, Ernst Majonica, forsuje projekt akredytowania w Warszawie „Misji Handlowej”, zastrzegając jednocześnie, żeby owa misja nie mogła posiadać znaczenia dyplomatycznego. Czyli nie rozumie, albo nie chce rozumieć, że taki projekt nie dogodzi ani obecnemu reżymowi w Polsce, ani jego przeciwnikom i, że za cenę ewentualnego zwiększenia obrotów handlowych nie kupi zaufania.

S. W. KOZŁOWSKI

Gomułka u Ulbrichta

W przededniu szóstej rocznicy października Gomułka złożył wizytę Ulbrichtowi, najzacieklejszemu wrogowi ówczesnych przemian w Polsce. Być może, że ustalając datę odwiedzin polskiej delegacji partyjno-rządowej NRD, zapomniano o tym szczególe — świadczyłoby to, jak nikłą wagę przywiązuje się obecnie do wspomnień o owych dniach największego napięcia, radości i oczekiwań. Jeżeli datę tę ustalono z rozmysłem — to jeszcze gorzej. Ale w każdym razie ten zbieg okoliczności ma w sobie coś niepokojącego. Bo oto bohater polskiego października, który — słusznie czy niesłusznie — był dla rewizjonistów wschodnoniemieckich natchnieniem i wzorem w ich dążeniach do zrzucenia jarzma ulbrichtowskiego, przybywa do jednego z nielicznych rezerwatów stalinizmu i tym samym daje jak gdyby błogosławieństwo polityce znienawidzonej przez społeczeństwo Niemiec Wschodnich.

Gomułka mógłby argumentować, że przed sześciu laty Ulbricht stał po drugiej stronie barykady i spiskował z Natolinem. Prasa wschodnoniemiecka atakowała wtedy otwarcie wszystkie przemiany ustrojowe i gospodarcze prowadzone w Polsce jesienią 1956 roku. Na zamkniętych konwe-

tyklach Politbiura i sekretariatu SED przemyślano wówczas jak można by zaszkodzić eksperymentowi polskich komunistów. Wiadomo jest również, że na procesie Haricha i jego współtowarzyszy sprawa zapożyczenia polskich wzorów odegrała podstawową rolę w akcie oskarżenia i w przewodzie sądowym. Obecnie, ten sam Ulbricht zabiega o względy Warszawy, a jego ambasador tak długo antyszambrował po biurach MSZ i KC PZPR aż wreszcie uzyskał upragnioną zgodę na ostatnią wizytę. A więc zdawałoby się sukces. Wszystko to jest prawdą. Role obydwóch przywódców partyjnych zmieniły się diametralnie. Wczorajszy więzień rządów stalinowskich stał się najbliższym zaufanym Chruszczowa, zaś wczorajszy prymus Ulbricht otrzymuje raz po raz bardzo kiepskie stopnie. A mimo to październikowa wizyta polskiej delegacji jest porażką.

Nie należy zapominać, że Ulbricht jako polityk nie zna sentymentów. W tym tkwi klucz do zrozumienia zagadki jego nieprzerwanej władzy w Niemczech Wschodnich. Wszyscy jego konkurenci w rządzącej partii SED — poczynając od przedstawiciela grupy hiszpańskiej, Franza Dahlema, poprzez nieżyjącego Wilhelma Zaisera, czy Rudolfa Herrnstadta aż po Karla Schirdewana i Ernsta Wollwebera, aby wymienić tylko główniejszych — przewyższali go zarówno inteligencją jak i nie raz popularnością w dołach partii. Mimo to Ulbricht „wykończył” ich wszystkich po kolei, mimo że jak wiadomo nie grzeszy nadmiarem intelektu i jest raczej prototypem ograniczonego aparatczyka, który mimo ukończonych prawie 70 lat nie opanował nawet ojczystego języka i wciąż posługuje się narzeczem saksońskim w najgorszym jego wydaniu, operując zasobem słów na poziomie „Bazic German”. To wszystko nie przeszkadza, że posiada on mistrzowski kunszt władania biurokracją partyjną, wygrywania klik jednej przeciwko drugiej oraz instynkt, który ostrzega go przy najmniejszych nawet oznakach, że coś zagraża jego nadrzędnemu stanowisku. Cechy te Ulbricht posiadał już w okresie emigracji, kiedy likwidował czołowe kadry niemieckiej partii komunistycznej w Rosji, a rozwinął je niepomierne po powrocie do Niemiec w roku 1945.

Dla szefa SED przyjazd Gomułki stał się ważnym atutem w walce z opozycją, rekrutującą się zarówno z dawnych komunistów, jak i z przedstawicieli młodego pokolenia. Żywy Gomułka potrzebny był dla zniszczenia mitu Gomułki. Nie należy zapominać, że w Niemczech Wschodnich, aż do tej październikowej wizyty, zachowała się wielka legenda o Władysławie Gomułce — prekursorze innego, lepszego komunizmu, o który walczyli tacy ludzie jak przebywający w więzieniu Wolfgang Harich, jak z usunięty z uniwersytetu lipskiego sędziwy filozof Ernst Bloch, jak znany pisarz Alfred Kantorowicz, nie licząc setek i tysięcy emigrantów politycznych z niemieckiej lewicy, którzy w ciągu ostatnich lat optowali na rzecz kapitalistycznych Niemiec Zachodnich, mimo że wcale nie uważali ich za ideał demokracji politycznej i społeczno gospodarczej. Autor tych uwag spotykał się często z relacjami uchodźców, którzy zlorzeczając Ulbrichtowi przeciwstawiali mu jako ideał Gomułkę. Fakt, że Polska Ludowa w nowym układzie sił wewnątrz bloku sowieckiego stała się nagle czynnikiem atrakcyjnym, powinien być dostatecznym powodem dla Gomułki, aby się nie afiszował przyjaźnią Ulbrichta.

Oczywiście, można by się zapytać czy Gomułka mógł uniknąć tego

flirtu z Ulbrichtem. Gomułka na pewno odpowiedziałby, że nie, ale opierając się na dostępnych nam obserwacjach możemy odpowiedzieć, że tak. Gomułka mógł powiedzieć, że chce odczekać aż w Niemczech Wschodnich powstaną normalne stosunki polityczne, odpowiadające pojęciom o destalinizacji typu polskiego. Mógł oświadczyć, że z uwagi na nastroje w Polsce, nie jest w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za kolaborację z reżymem, który tkwi wciąż w starych kanonach dogmatyzmu. Był ponadto w posiadaniu tak mocnych atutów, jak sukcesy w pewnych dziedzinach życia gospodarczego w Polsce, jak pozytywne wyniki wyborów sekretarzy partyjnych poprzez delegatów, drogą tajnego głosowania, lub rozwoju w dziedzinie kultury i sztuki. Mógł ponadto wymóc na reżymie wschodnioniemieckim koncesje, na przykład w dziedzinie kulturalnej, przełamując bojkot polskiej sztuki, literatury i nauki. Nawet tego jednak nie zrobił. Wschodnioniemieccy intelektualści, oczekujący jakiejś pomocy w nierównej walce z aparatem, zostali opuszczeni. (Gomułka dawno już ogłosił niepisaną doktrynę „splendid isolation” w stosunku do sąsiednich państw bloku wschodniego).

Wszystko stało się inaczej. Stary gracz, Walter Ulbricht, załuffował Gomułkę i wygrał. Wódz polskiego października skapitulował przed dezideratami dyktatora SED. W konsekwencji zmarnował rzadką okazję wpływania na kształtowanie się stosunków w Niemczech Wschodnich. Ponadto, manifestując swą solidarność z Ulbrichtem utracił pozycję, jaką zajmował w umysłach wielu tysięcy Niemców. Tym samym przysnął sen o możliwości bezkrwawych przemian w oparciu o polskie czy nawet kadarowskie wzory.

Taki jest pierwszy rezultat wizyty Gomułki. Jest jednak jeszcze i drugi: mur berliński. Mur ten stał się już symbolem moralnej porażki komunizmu wschodnioniemieckiego. Dzień w dzień przyjeżdżają do zachodniego Berlina dziesiątki ludzi z najodleglejszych krajów naszego globu i stają osłupiali przed tą ścianą z betonu i drutu kolczastego. Co prawda czasem ma się wrażenie, że na zbławizowanych czy może zahartowanych hitlerowskimi i sowieckimi metodami Europejczykach mur ten nie wywołuje psychicznego wstrząsu. Ale inaczej jest z przybyszami z Azji i Afryki, którzy niedawno dopiero uzyskali upragnioną wolność. Po takim widoku nikt nie zdoła ich przekonać, że system, który przyrzeka ludziom raj socjalistyczny, musi odgradzać się od kapitalistycznego piekła dwumetrowym murem, zasiekami i wojskiem, aby szczęśliwi proletariusze nie uciekali z raju do piekła. Biorąc to pod uwagę Ulbricht stał się najsukcesowniejszym po Stalinie promocją idei socjalizmu i komunizmu.

I dlatego nie należy się dziwić, że od jesieni ubiegłego roku Ulbricht na gwałt szuka współników. Dotychczas nadaremnie: Chruszczow wymiguje się jak może od zaproszeń Ulbrichta i woli podróżować po Uzbekistanach, Bułgariach czy Rumuniach niż pokazać się w orbicie muru. Mikołaj, będąc na wiosnę na Targach Lipskich, przemknął się incognito przez wschodni Berlin, odmawiając nawet konferencji prasowej. Nawet Kadar czy Nowotny, Gheorghiu Dej czy Ziwnow nie zgodzili się na przyjazd do Berlina Wschodniego. Zdecydował się na to jedynie symbol „polskiej rewolucji październikowej” — Władysław Gomułka. Ten krok nie ma nic wspólnego ani z ideologią, ani z polską racją stanu: jest ich zaprzeczeniem.

BERLIŃCZYK

Na czerwonej Riwierze

„Wczasy dla robotników”

Parę kilometrów piasku wzdłuż Morza Czarnego na północ od Warny, — oto gdzie się znajduje Riwiera świata komunistycznego. Co roku przyjeżdżają tu tysiące Rosjan, Polaków, Czechów i Niemców, by spędzić wakacje przy niezawodnej pogodzie. A trzeba przyznać, że klimat w tym uroczym zakątku Bułgarii, znanym światu jako miejscowość klimatyczna zaledwie od pięciu lat, może śmiało konkurować z klimatem Riwiery francuskiej lub włoskiej. W dzień panuje tu co prawda upał, często łagodzony lekkim wietrzykiem z pobliskich gór, ale za to pod wieczór, gdy tylko słońce się chowa, przyjemny chłodek daje prawdziwe wytchnienie znużonym plażą wczasowiczom. Stoki gór, schodzących miejscami prawie do samego morza, są często zadrzewione i pokryte roślinnością o bujnej soczystej zieleni. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć tego dziwnego zjawiska, bo jak lato długie nie ma tu deszczów i ziemia jest tak sucha, że pęka pod stopami.

Wśród tej to zieleni rozsiane są liczne hotele Żółtych Piasków, zadziwiając nowoprzybyłego harmonią swych linii architektonicznych, pomysłowością rozmieszczenia i rozwiązań. Nie ma tu fałszywych marmurów, ni pretensjonalnych kolumn, brzydkich rzeźb, charakterystycznych dla moskiewskich hoteli, wybudowanych w neoklasycznym stylu stalinowskim. Budowle mają proste, nowoczesne, funkcjonalne linie. Od hoteli prowadzą w dół ku morzu schody, gdzieniegdzie przerywane tarasami. Wszędzie pełno kwiatów, gazonów, klombów starannie utrzymanych.

Błękitne wody Morza Czarnego zmieniają kolor tylko po zachodzie słońca. Rzadko się zdarza, by były wzburzone, rzadko również dają wrażenie przykrego chłodu. Nic zatem dziwnego, że dla mieszkańców Moskwy, Warszawy, Pragi lub Berlina, gdzie w ostatnich latach lato bywa raczej chłodne i deszczowe, Riwierą nad Morzem Czarnym jest upragnionym rajem. Każdego dnia pociągami i samolotami przybywają tu tysiące ludzi. Oficjalna lista wymienia 40 hoteli, będących w stanie przyjąć około 9 tysięcy osób naraz i położonych w dwóch miejscowościach na podmiejskiej linii Warny, w Druźbie, która jest starszą miejscowością i w Żółtych Piaskach, niedawno zbudowanych. Obydwie te miejscowości zostały zaprojektowane przez włoskich architektów,

i wybudowane przez Bułgarów przy wybitnej pomocy materialnej Związku Sowieckiego, Polski i Czechosłowacji.

Kim są ci obywatele bloku komunistycznego, którzy tysiącami zalegają plażę Bułgarskiej Riwiery? Chruszczow w czasie swej ostatniej wizyty w Bułgarii nazwał Warnę i jej okolice Riwierą dla robotników. Nie trzeba jednak długiego tutaj pobytu, by się przekonać, że prawie sto procent wczasowiczów stanowią nie robotnicy i nawet nie przeciętni urzędnicy, ale elita tych krajów, elita nie koniecznie intelektualna, ale w każdym razie najlepiej zarabiająca. Przyczyną tego jest przede wszystkim fakt, że cena pobytu w Bułgarii jest bardzo wysoka. Sowiecki obywatel musi zapłacić przeszło 200 rubli (220 dolarów) za 20-dniowe wakacje. Wynosi to tyle ile trzy jego przeciętne pensje miesięczne. Nic zatem dziwnego, że jedynie dobrze płatni inżynierowie, profesorowie lub wyżsi urzędnicy mogą sobie na taki luksus pozwolić. Dla Polaków 2-tygodniowy pobyt w Bułgarii, zorganizowany przez Orbis, kosztuje 5500 złotych plus różne koszty, które tę sumę podnoszą do 7000, co również w przybliżeniu wynosi tyle ile trzy dobre pensje miesięczne.

Nie oznacza to bynajmniej, że każdy Rosjanin, Polak czy Niemiec, który tę sumę zapłaci dostąpi szczęścia, jakim jest spędzenie wakacji w Bułgarii. „Na każde wolne miejsce jest co najmniej dziesięciu kandydatów” — tłumaczyła mi pewna młoda lekarka z Kaukazu. Już na pół roku przed sezonem niektóre, wybrane, zakłady pracy otrzymują przydział kilku miejsc. Wtedy dopiero rozpoczyna się właściwa selekcja, której towarzyszą zazwyczaj zakulisowe intrygi, wpływy klik oraz zazdrości tych, którym się nie udało.

Niemcy, Rosjanie i Czesi przyjeżdżają w zasadzie jedynie w grupach, organizowanych przez odpowiednik polskiego „Orbisu” na ich terenach. Chodzą też przeważnie „stadami” na śniadanie, obiad i kolację do wyznaczonej restauracji, gdzie posiłki są dla nich przygotowywane według jednego menu. To samo dotyczy Polaków, którzy przyjeżdżają za pośrednictwem „Orbisu”. W odróżnieniu jednak od wymienionych wyżej narodowości bardzo dużo Polaków przyjeżdża indywidualnie. W ubiegłych latach przyjazdy indywidualne były o wiele bardziej masowe, ale Bułgarzy, nie byli tym zachwyceni i wprowadzili w tym roku ograniczenia, żądając wizy wjazdowej, która dotychczas nie obowiązywała. Wizę tę otrzymuje się nie na paszporcie zagranicznym, lecz na wkładce do dowodu osobistego, który w Polsce wydają organy Milicji. Aby otrzymać wizę trzeba mieć zaproszenie od bliskiej rodziny w Bułgarii. Nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie skąd Polacy nagle wzięli tylu krewnych w Bułgarii, ale

faktem jest, że wciąż jeszcze wielu przyjeżdża indywidualnie ku wielkiemu niezadowoleniu Bułgarów, którzy mają znacznie mniejsze dochody z tego typu gości. Pewna moja znajoma z Warszawy zrobiła prosty rachunek, z którego wynikało, że pobyt w Złotych Piaskach, który zorganizowała sobie na własną rękę, kosztował ją o połowę mniej niż za pośrednictwem „Orbisu”. Mieszkała przy tym w hotelu wcale nie gorszym niż „Orbisowskie”, miała swobodę wyboru restauracji i dań, gdyż płaciła gotówką i przyjechała samolotem, a nie pociągiem, którym podróż trwa prawie trzy dni. Dodała do tego, że gdyby zabrała z Polski dwie kapy na łóżka i kilka kompletów bielizny na sprzedaż, miałyby cały pobyt za darmo.

Trzeba znać geografję gospodarczą...

W ogóle jeśli idzie o znajomość wszelkich detali geografii gospodarczej i to nie tylko krajów komunistycznych, to Polacy istotnie w tym celują. Przebywająca w tym samym co my hotelu, pani Maria z Warszawy (oczywiście na zasadzie indywidualnej) opowiadała mi, że przeciętnie robi około pięciu wycieczek zagranicznych rocznie i nigdy do tego nie dokłada. Wie na przykład, że do Pragi należy wozic polskie szynki, rzecz która mnie zdumiała, bo przecież praskie szynki miały swoje imię na całym świecie. Okazuje się, że to należy do przeszłości; obecnie Czesi nie mają mięsa ani masła i za polskie szynki płacą dobre ceny. Wie ponadto, że z Pragi do Wiednia wozi się konserwy z krabami, że do Paryża kawior, wódkę i łososa, że we Włoszech można nieźle sprzedać sowiecką „Zorke” a do Moskwy wciąż jeszcze wozi się swetry i mnóstwo innych szczegółów garderoby. Jednym słowem niesposób zliczyć i niesposób spamiętać tej skomplikowanej geografii przedmiotów, której znajomość może się okazać tak cenna. Też samej pani Marii, która jest niepracującą żoną średniego ale wpływowego urzędnika jednego z zarządów przemysłu w Warszawie, ktoś z Ambasady Polskiej w Sofii przysłał zaproszenie dla niej wraz z rodziną (cztery osoby), ktoś z „Orbisu” załatwił pokój w hotelu i jeszcze ktoś inny pomógł w kupnie bułgarskich pieniędzy w Banku Polskim.

To „urządzanie się” stało się cechą niemal powszechną, a zmuszają do tego ludzi po prostu warunki. Znajomi moi, para lekarzy, pracowników naukowych kliniki uniwersyteckiej, których nigdy w życiu nie posądzałabym o jakieś „handlowe talenty”, opowiadali mi, że kupili w Bułgarii futro, które zamierzają sprzedać w Polsce, by spłacić dług, który zaciągnęli na tę kosztowną

wyprawę. Mimo że obydwójce mają wysokie pensje i mimo dodatkowej pracy przy tłumaczeniu podręcznika lekarskiego z angielskiego, do której zaangażowali się w związku z planami tej podróży, nie starczyło na pokrycie wszystkich kosztów.

Indywidualny handel wymienny jest czymś tak powszechnym w tej miejscowości, że nikogo nie dziwi nagabywanie na ulicy z zapytaniem czy ma jakąś koszulę męską do sprzedania. Pytanie zresztą takie, a zdarzyło mi się ono kilkakrotnie, zaczyna się od: „Wy Polak czy Czech?” — Jak się okazuje, Polacy i Czesi uważani są w Bułgarii za tych najbogatszych, którzy mają wszystko.

Turyści z Zachodu

Oprócz wczasowiczów z krajów komunistycznych są tu również przybysze z Zachodu: Francuzi, Belgowie, Austriacy i przede wszystkim Niemcy Zachodni. Bułgaria poczyniła ostatnio olbrzymi wysiłek propagandowy, by ściągnąć turystów z Zachodu i tym samym dewizy kapitalistyczne, których bardzo potrzebuje.

Co sprowadza ludzi z Zachodu do tego odległego i mało znanego kraju? Bez wątpienia atmosfera tajemniczości, którą owiane są kraje za żelazną kurtyną. Ponadto dla turysty zachodniego Bułgaria jest najtańszym z komunistycznych krajów. Podczas gdy wizyta w Rosji kosztuje niezmiennie 37,5 dolara dziennie plus koszty podróży (dotyczy to wycieczek indywidualnych, grupowe bowiem są tańsze), to najwyższa cena w bułgarskim hotelu, wraz z utrzymaniem wynosi jedynie 5,5 dolara dziennie od osoby. Opłaciwszy tę sumę wczasowicz uzyskuje prawo do pokoju hotelowego oraz otrzymuje na rękę po 5,4 lewa dziennie, które to pieniądze w zasadzie wystarczą na stołowanie się w dowolnie wybranej restauracji, jeżeli nie ma się zbyt dużych wymagań. Jeśli jednak ktoś chce często jadać kawior (tylko czerwony, bo czarnego tu nie ma) i pić wino do posiłków, musi dodatkowo wymienić dolary w relacji niezbyt korzystnej.

Rzecz jasna, liczba tych tak gorąco przez Bułgarów pożądanych turystów z Zachodu nie jest, przynajmniej na razie, zbyt liczna i znajduje się znacznie poniżej ich przewidywań i życzeń. Czy mają oni szansę na wydatne zwiększenie turystyki z Zachodu? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Trzeba przyznać, że Bułgarzy zrobili olbrzymi wysiłek, by ruszyć z miejsca przemysł turystyczny, który w tym kraju nigdy prawie nie istniał. Dla tak biednego i zacofanego kraju wybudowanie w ciągu paru zaledwie lat dwóch miejscowości klimatycznych, wyglądających z daleka jak uzdrowiska dla bogaczy, jest niełada osiągnięciem. Ale wybu-

dowanie nowych hoteli, restauracji, dobrych dróg, obszernych parkingów, jakkolwiek bardzo ważne, nie wystarcza jednak, by w pełni rozwinąć turystykę. Co najbardziej dokucza turystom, to przede wszystkim zła, niefachowa i źle zorganizowana obsługa. Może to być dla niejednego zabawną ciekawostką, gdy odkryje, że kelnerka, która mu rano podaje śniadanie w barze hotelowym, jest z zawodu nauczycielką w szkole powszechnej w Sofii i zgłosiła się do tej pracy na apel komsomołu. Wieczorowe kursy angielskiego, na które uczęszczała są niewątpliwie bardzo pomocne w jej letnim zawodzie, ale wszystko to w niczym nie zmienia faktu, że podaje ona do śniadania najpierw kawę, a dopiero po piętnastu minutach jajka. To samo dotyczy barmana, który „w cywilu” jest samodzielnym stolarzem w Warnie i chcąc być dobrze widziany u władz podejmuje się na letnie miesiące obsługi turystów zagranicznych. Bar ten, który mógłby być źródłem znacznych dochodów, gdyby był dobrze prowadzony, nie tylko jest źle obsłużony ale nigdy nie jest otwierany w godzinach zgodnych z ogłoszeniem widniejącym na drzwiach i ciągle widać grupki ludzi z rozczerwienieniem odchodzących od zamkniętych drzwi. Rzadko gdzie spotyka się fachowego kelnera i mało który umie sobie zorganizować pracę. Jedzenie podawane jest, w gigantycznej wielkości (nie wiadomo dlaczego) restauracjach Czerwonej Riwiery, na tarasach pod gołym niebem, przy dźwiękach wesołej muzyki, zachęcającej do tańca na obszernych parkietach, nie ma również wiele wspólnego z gastronomią znakomitej bułgarskiej kuchni, którą znamy z zagranicznych restauracji. Lichy gatunek i mała różnorodność mięsa, brak wielu produktów, często brakujące przy śniadaniu mleko — wszystko to jest niewątpliwie skutkiem ciężkiego okresu, jaki przeżywa obecnie Bułgaria. I jakkolwiek różnica między zaopatrzeniem tych miejscowości, a pobliskiej Warny jest wprost uderzająca (na korzyść, oczywiście tych pierwszych), to niewielkim jest to pocieszeniem dla wczasowicza, który chce dobrze zjeść i być dobrze obsłużony.

Mimo tych braków i mimo amatorów-kelnerów trudno nie przyznać, że zarówno jedzenie jak i obsługa są jednak znacznie lepsze niż w Moskwie. A co najważniejsze to niesłychanie grzeczny i serdeczny stosunek obsługi do klienta, tak mile uderzający w zestawieniu z obojętnością sowieckich kelnerów.

Przyjaźń polsko-niemiecka

Drugim językiem, po bułgarskim, jest, o dziwo, niemiecki. Niemal wszyscy kelnerzy, niezależnie od sporej grupy kelnerów-

Niemców, których przysłano tu do pracy w ciągu lata z Niemiec Wschodnich oraz obsługa hotelowa, mówią i rozumieją po niemiecku. Faktem jest, że Niemcy są głównymi klientami Czerwonej Riwiery, język ich słyszy się wszędzie, wszędzie ich pełno. Oburza to najbardziej Polaków, którzy bynajmniej nie ukrywają swojej niechęci do „zaprzyjaźnionego” narodu. Byłam kilkakrotnie świadkiem takich wybuchów oburzenia. Pewien młody filmowiec z Warszawy z wściekłością mówił o nich: „Jacy są bezczelni, jak się wszędzie panoszą! Dopiero niedawno przysłali nam transport „Wartburgów” (samochody wschodnio-niemieckie, które Polska importuje), na których były napisy: „Polnische Schweine”, a do motorów nasypany był piasek. Oczywiście cały transport wrócił do Niemiec i potem gorąco się tłumaczyli i przepaszali. A przecież sami robią propagandę przeciwko nam. Samochody z tymi napisami przyszły w krótkim czasie potem, jak w jednej z gazet wschodnio-niemieckich ukazał się artykuł, że my im za „Wartburgi” dajemy zgniłe kartofle. Ale potrzebne im te kartofle, może nie? Gdzie mają swoje, co z nimi zrobili? Kto winien, że doprowadzili do ruiny swoją gospodarkę rolną?”.

Gradacja przywilejów

Poza publicznością normalnych hoteli Czerwonej Riwiery istnieje jeszcze publiczność o wyższym stopniu uprzywilejowania. Są to goście hoteli zamkniętych, specjalnie przeznaczonych dla tej kategorii ludzi. Jeden duży hotel w sąsiadującej ze Złotymi Piaskami Drużbie przeznaczony jest dla pracowników Prezydium Rady Ministrów w Polsce, inny dla pracowników parlamentu bułgarskiego. Na drodze z Drużby do Złotych Piasków znajduje się „Dom Dziennikarza”, w którym odpoczywają dziennikarze ze wszystkich krajów za żelazną kurtyną. W domach tych opłaty za pobyt częściowo tylko obciążają gości. Sporą część opłaca za nich instytucja zatrudniająca, bądź, jak to ma miejsce w wypadku dziennikarzy, Stowarzyszenie Dziennikarzy danego kraju. Domy te są państwem dla siebie, mają własne prywatne plaże, własne restauracje, bary, place do gier itp. Obok Domu Dziennikarza ciągnie się na obszarze długości prawie kilometra kompleks budynków, otoczonych wspaniałym starym parkiem, ze śliczną zamkniętą plażą i tarasami wychodzącymi na morze. Zobaczyć to wszystko można jedynie z przeciwnych pagórków, od strony bowiem drogi zasłania widok wysoki płot i drzewa przy nim rosnące. Na bramie wjazdowej znajduje się napis w pięciu językach: „Osobom obcym wstęp wzbroniony”. Tu, jak się

okazuje, mieszkają uprzywilejowani najwyższego stopnia, mianowicie najwyżsi dygnitarze z wszystkich krajów komunistycznych. Tu przyjeżdża Gomułka, a w czasie naszego pobytu, byli tam Witaszewski i Zawadzki. Polacy, którzy nie bez humoru potrafili natychmiast na wszystko znaleźć właściwe określenie, ochrztili tę posiadłość mianem „Carogród”.

Jest również kilka bułgarskich domów wypoczynkowych, należących do poszczególnych większych instytucji, jak „Dom Kolejarza” należący do Zarządu Kolei Państwowych i inne temu podobne, ale niewielu i w nich przebywa robotników. Zresztą robotnicy, jak mi to tłumaczył pewien znajomy Polak, niechętnie korzystają z wczasów, nawet gdy są one bardzo nisko płatne. Wolą spędzić urlop u krewnych na wsi, pomóc im nieco w polu i przywieźć potem parę worków kartofli, maki czy kapusty, aniżeli przebywać wśród obcej sobie inteligencji, wśród której nieszczęśliwie się czują. Z wczasów korzysta jedynie młode pokolenie robotników, które tych zahamowań nie posiada.

W soboty popołudniu inny typ gości zjawia się na plażach Złotych Piasków. Są to robotnicy i wieśniacy z rodzinami, przywożeni ciężarówkami z pobliskich fabryk i kołchozów. Wydają się oni zdziwieni widokiem tysięcy opalonych na brąz turystów, którzy wystawiają uparcie swe na wpół nagie ciała na działanie słońca. Nie próbują mieszać się z tym międzynarodowym tłumem. Kampują grupami i przyglądają się tym dziwnym scenom z pewnej odległości. Nie wąż się kąpać, kostiumy kąpielowe zdają się być bowiem zupełnie nieznane bułgarskiej wsi i robotnikom, którzy całkiem niedawno z niej wyszli. Ale gdy butelka domowego wyroku śliwownicy kilkakrotnie obiegnie z rąk do rąk, kobiety nabierają odwagi i wchodzą do wody podnosząc do góry sięgające kostek spódnice. Niektóre zrzucają je zupełnie i wchodzą do morza po prostu w bieliznie, pamiętającej chyba czasy panowania tureckiego.

Zakonspirowane rozrywki

Tym, co najbardziej uderza przybyśza z Zachodu, jest zła i niedbała organizacja. Już na lotnisku w Sofii, gdy wysiedliśmy z samolotu KLM, by przesiąść na samolot bułgarskich linii lotniczych okazało się, że trzeba osobiście dozorować transportu bagaży. Jedną z naszych walizek reklamowaliśmy uparcie tak długo, dopóki nie zabrano jej z lotniska, gdzie stała samotnie, porzucona przez bagażowych. To samo powtórzyło się w Warnie. Pewien dziennikarz belgijski, który nie był na tyle przezorny,

by pilnować załadowania bagaży, spędził cały swój urlop w tym samym co my hotelu pozbawiony walizki, a więc wszystkich osobistych rzeczy i musiał u znajomych pożyczać sobie koszule na zmianę. Na lotnisku w Warnie nikt nas nie oczekiwał i dopiero po dłuższych reklamacjach znalazł się jakiś urzędnik Balkanturistu, który na własną rękę załadował nas do autokaru. Gdy przybyliśmy do hotelu, byliśmy świadkami jak administracja hotelu uzgadniała telefonicznie z biurem Balkanturistu w Warnie numery naszych pokoi i trwało dość długo zanim nam wręczono klucze od nich.

W hotelu niesposób dowiedzieć się numeru pokoju podając nazwisko danej osoby. Ewidencja alfabetyczna nie istnieje. Nadchodząca poczta leży na kupie w recepcji hotelowej i każdy wyławia z niej listy adresowane do siebie.

Co dzień spoglądaliśmy smutnym okiem na topniejące przed hotelem bryły lodu, przywiezione z fabryki w Warnie, myśląc o tym, że i dziś podobnie jak co dzień, podadzą nam do stołu topniejące, niesmaczne masło.

W Złoty Piaskach znajduje się kino i to nawet bardzo ładnie wybudowane, odkryte, na świeżym powietrzu, z dużym ekranem. W kinie tym zmieniano program codziennie — wszystko by dogodzić wczasowiczom. Ale próżno by ktoś chciał się dowiedzieć, jaki jest program filmów. Nigdzie żadnych ogłoszeń, w żadnym miejscu najskromniejszej wywieszki, żadna recepcja hotelowa nie była w stanie udzielić na ten temat informacji. Podobnie zakonspirowane były inne rozrywki, jak na przykład elegancki dancing z nocnym programem, o którego istnieniu dowiedzieliśmy się przypadkiem i tak samo wszelkie występy gościnne.

Przykłady niedbalstwa i złej organizacji można by mnożyć bez końca. Jest w niej więcej dziecięcej niezaradności jak złej woli. Widok uginającego się pod ciężarem przeładowanej tacy kelnera, po którego twarzy spływają gęsto strugi potu, wzbudza litość. Zniecierpliwienie tym, że obsługując jednocześnie kilka stołów, podaje przeważnie nie to co zamówiono, zamienia się w pożałowanie.

Ale cóż! Dobre chęci nie mogą zastąpić konkretnych rezultatów i zapewne długo jeszcze przyjdzie Bułgarom czekać na publiczność z Zachodu i na masowy przypływ upragnionych dewiz.

Polacy na „Czerwonej Riwierze”

Prawdą powiedziawszy, jednym z głównych motywów, które kierowały nami w wyborze Złoty Piasków jako miejsca spędzenia wakacji, była nadzieja na spotkanie rodaków. Nie omyliliśmy się w naszych rachubach i kilka wieczorów spędzonych w miłej, swojskiej a nade wszystko wesołej kompanii wynagrodziło nam z naddatkiem trudy dalekiej podróży. Kompaniami naszymi byli młodzi filmowcy, dziennikarze, niekiedy lekarze, innym razem wyżsi urzędnicy państwowi, wśród których sporo było pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ci ostatni, jakkolwiek mile i serdecznie z nami rozmawiali, zachowywali jednak pewną rezerwę, jak gdyby w obawie, że jakieś czujne oko śledzi ich zadawanie się z cudzoziemcami. Nie czuło się tej rezerwy ani tych obaw w rozmowie z innymi Polakami. Byli szczerzy, nie wahali się mówić tego co myślą, nawet jeżeli nie było to w całkowitej zgodzie z linią państwową. Ta swoboda wypowiedzenia się jest wśród narodów za żelazną kurtyną cechą charakterystyczną tylko dla Polaków i różni ich w sposób zasadniczy od wszystkich innych narodów. Rosjaninowi, Czechowi czy Niemcowi również się zdarzy, że powie coś, co mu leży na sercu, ale powie to albo w charakterze poufnego zwierzenia, albo też gdy na skutek nadmiernej ilości wypitego alkoholu, rozwiąże mu się język. Polak mówi o tym co się dzieje w jego kraju lub w polityce zagranicznej, niezależnie od tego czy mu się to podoba, czy nie, z całą swobodą i otwartością i wcale nie koniecznie w formie żalów czy narzekania, przeciwnie, najczęściej z humorem. Wiadomo powszechnie, że Warszawa jest stolicą najlepszych dowcipów, które zresztą skrzętnie zbiera i podaje „Kultura”. Pozwolę sobie dorzucić do tej skarbnicy kilka ostatnio usłyszanych właśnie przy takich okazjach. Są one wszystkie z jednej serii pod nazwą: Radio Erywań odpowiada na pytania słuchaczy. Rzecz jasna, Radio Erywań jest stacją urojoną. A więc:

Pytanie: Czy w komunizmie będą pieniądze?
Odpowiedź: Teoretycy twierdzą, że w komunizmie pieniędzy nie będzie, rewizjoniści powiadają, że będą, ale prawda, jak zwykle, znajduje się pośrodku: *dla jednych będą a dla drugich nie*.
P.: Czy w komunizmie generałowie również będą nosić baranie czapki, jak to się dzieje obecnie?
O.: Nie, albowiem pogłowie generałów wzrasta szybciej aniżeli pogłowie baranów.
P.: Czy istnieje wyjście z sytuacji bez wyjścia?
O.: Radio Erywań uprzedza słuchaczy, że na pytania z zakresu gospodarki rolnej odpowiedzi nie udziela.
P.: Radio Moskwa co dzień nam mówi, że kapitalizm znajduje się nad przepaścią. Jednocześnie zapewnia nas wciąż, że w

krótkim już czasie dogonimy i prześcignimy kapitalistyczne kraje. Czy nie znajdujemy się w niebezpieczeństwie?

O.: Z pytaniem tym należy się zwrócić do radia Moskwa.

Dowcipy wyrastające w Warszawie jak grzyby po deszczu, rzucają światło na nastroje panujące wśród Polaków. Polacy mają obecnie swoistą filozofię życiową: Ponieważ żyjemy w tych warunkach i nie możemy, przynajmniej na razie, żyć w innych, trzeba to nasze życie uczynić możliwie najprzyjemniejszym i najłatwiejszym do zniesienia. Pomaga w tym najbardziej humor. Poważnych rozmów politycznych, takich jakie się namiętnie prowadziło w okresie Października, nie ma prawie zupełnie. Sprawy ideologiczne traktuje się nie na serio, o polityce mówi się jedynie w dowcipach. Ważne jest tylko to, czy cenzura przepuści najbliższy film lub książkę napisaną i to żeby się jakoś „urządzić” w ramach istniejących możliwości.

Kobiety polskie, tak jak wszystkie na świecie dbają bardzo o swój wygląd zewnętrzny. Trzeba przyznać, że Polki robią to skutecznie, dzięki czemu wyróżniają się w tłumie Rosjan, Niemców i Czechów. Nie mają co prawda eleganckich, kosztownych toalet, ale ubierają się z wdziękiem i dobrym smakiem, potrafią zawsze znaleźć jakiś szczegół garderoby, który czyni ich wygląd mniej banalnym i pospolitym niż to robi Rosjanka lub Czeszka. Jakaś zręcznie zawiązana chusteczka na głowie, jakaś bluzka o niezwykle kolorze, modnie uczesana główka, na plaży jakieś zgrabne bikini wykończona angielską koronką — tego rodzaju detale pozwalają bezbłędnie odróżnić Polki od nieszykownych i ubranych bez wdzięku sąsiadek.

Franciszka TORUŃCZYK

Sprawy i troski

Książka polska w St. Zjednoczonych

Od końca XIX w., a szczególnie po ostatniej wojnie książek słowiańskich i innych wschodnio-europejskich przybywa do bibliotek amerykańskich dziesiątkami tysięcy. W jednym roku 1955/56 albo 1956/57 czterdzieści sześć bibliotek amerykańskich, naukowych i uniwersyteckich, dodało do swych kolekcji wschodnio-europejskich 167,008 książek, 23,592 czasopism, w sumie 117,648 pozycji, i 1,797 gazet (1). Dziś przeciętnie 200 tysięcy tomów książek ze Wschodniej Europy przybywa rocznie do bibliotek Stanów Zjednoczonych, a liczba ta stale będzie się zwiększać.

Nasuwa się pytanie, czy można określić ilość i miejsce książek polskich w tych bibliotekach. Pytanie takie już przez swoje sformułowanie przejawia szczególną sytuację, w jakiej będziemy się obracać. Byłoby ono bez znaczenia w stosunku do książek francuskich, niemieckich czy włoskich. Wszystkie ważniejsze dzieła zachodnio-europejskie można znaleźć w bibliotekach Stanów Zjednoczonych. Nikt nie zabiega o ich zliczenie. Bieżące wydawnictwa łatwo napływają z wielkich firm handlu książką, w oparciu o doraźne lub stałe zamówienia poszczególnych bibliotek, dobre pomoce bibliograficzne, które ułatwiają selekcję i zwiększają zakupy, o troskliwe katalogi wydawnicze i usługi księgarzy, zainteresowanych w zysku. Jest to pożyteczna społecznie walka o swoją część w tych 90.000.000 dolarów, jakie biblioteki amerykańskie wydały na książki np. w jednym roku 1956 (2) i wydają stale.

Z drugiej strony zapobiegliwość bibliotekarzy o zaopatrzenie bibliotek w literaturę, której może potrzebować czytelnik ame-

(1) Melville J. Ruggles and Vaclav Mostecky, *Russian and East European Publications in the Libraries of the United States*. Columbia University Press, New York, 1960, s. 170.

(2) „Library Book Budget, 56 Exceeded \$ 90.000.000”. *Publishers Weekly*, 173:73-74, Jan. 20, 1958.

rykański, rodzi najróżnorodniejsze plany zbiorowego i masowego zdobywania książek. Od r. 1948 np. bieżące wydawnictwa napływają z krajów zachodnich automatycznie, w oparciu o dobrze zorganizowany system selekcji i akwizycji, zwany: „Farmington Plan” (3). Uczestniczące w nim biblioteki, a jest ich 60, zobowiązują się do zakupu najcenniejszych wydawnictw w dziale swej specjalizacji, z góry dla siebie wybranym. Za ten dział są odpowiedzialne; w innych zachowują swobodę wiedząc, że znajdują się one w bibliotekach Stanów, bo inni je muszą zakupić.

Wprawdzie „Plan Farmingtonski” rozszerzył się na Amerykę Południową, Azję, Afrykę i ma objąć także kraje Europy Wschodniej, ale działa najskuteczniej w stosunku do wydawnictw zachodnio-europejskich. Wydawnictwa te wchodzą na półki bibliotek amerykańskich niemal równocześnie z ich ukazywaniem się w handlu w Europie.

Książki polskie, w grupie innych słowiańskich i wschodnio-europejskich, nie zdobyły jeszcze tego miejsca. Jeszcze należą do materiału specjalnego; jeszcze je można i trzeba czasem zliczyć. Miejsce to jeszcze przewyższa kolekcje azjatyckie czy afrykańskie. Ale czy na długo? Studium nad Bliskim i Dalekim Wschodem, które zaczęły się rozwijać w Stanach Zjednoczonych z rozmachem zapowiadającym trwalsze rezultaty, towarzyszy także pęd do tworzenia kolekcji chińskich, japońskich i wszelkich innych Dalekiego i Bliskiego Wschodu oraz Afryki.

Polskie książki w bibliotekach Stanów Zjednoczonych odpowiadają więc zainteresowaniom krajem ich wydania, określają zakres wiedzy o tym kraju, możliwej do zdobycia na miejscu, przynajmniej przez specjalistów. Ich liczba i miejsce zależy także w dużej mierze od ruchliwości polonistów na katedrach i w bibliotekach amerykańskich, od wydawnictw bibliograficznych i przewodników po literaturze, od poparcia udzielanego księgarzom, od sprawności i zakresu działania aparatu handlu książką w Polsce. Warto więc odpowiedzieć na pytanie jakie jest to miejsce książki polskiej w bibliotekach Stanów Zjednoczonych.

Na to zagadnienie można patrzeć z kilku punktów widzenia. Jeden z nich wiąże się z możliwością istnienia w Stanach jakiejś specjalnej „biblioteki polskiej”, jak ta w Paryżu, która liczy 124 lat, albo młodsza, powojenna w Londynie, z którą zrosło się już nazwisko Marii Danilewiczowej. Takiej „biblioteki polskiej” w Ameryce Północnej (ani w Południowej) nie ma.

Ale istnieją tu skromniejsze specjalne kolekcje polskie, tworzone przez instytucje polsko-amerykańskie i utrzymywane w ramach ich szerszej działalności. Biblioteki takie posiadają: Polski

(3) Po polsku możliwe jest jedynie tłumaczenie przymiotnikowe tej nazwy, jako „Plan Farmingtonski”, a nie „Farmingtona”, jak czasem się spotyka. Nazwa ta pochodzi od miejscowości Farmington w stanie Connecticut, gdzie odbyła się pierwsza na ten temat konferencja w r. 1942. Por. Edwin E. Williams, *Farmington Plan Handbook revised to 1961 and abridged*, Association of Research Libraries, Cambridge, 1961.

Instytut Naukowy, Fundacja Kościuszkowska i Instytut dla Badań Najnowszej Historii Polski w Nowym Jorku, Polskie Muzeum w Chicago, Polskie Seminarium Duchowne św. Cyryla i Metodego w Orchard Lake, Michigan, oraz Kolegium Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs, w Pensylwanii. Drobne zbiory książek polskich gromadzą różne inne organizacje polsko-amerykańskie.

Zaczął się to bardzo wcześnie bo jeszcze w XIX wieku, kiedy Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w Ameryce i inne stowarzyszenia polonijne tworzyły „biblioteki polskie” przy swoich ogniskach, czasem nawet ruchome, aby mogły dotrzeć do Polaków dalej osiadłych od mocniejszych skupisk narodowych (4). Ilość książek polskich w Stanach i możliwości pracy naukowej zwiększają także biblioteki prywatne. Największą prywatną bibliotekę polską w Ameryce zgromadził ks. Józef Wachowski w Cleveland (zmarły w r. 1946).

Książki polskie w bibliotekach Stanów Zjednoczonych można także badać z punktu widzenia ich liczby i miejsca w każdej dziedzinie wiedzy, twórczości ludzkiej i życia kulturalnego. We wszystkich funkcjach bibliotek każdego typu zajmują one jakieś miejsce w społeczeństwie amerykańskim i odgrywają pewną rolę.

Wreszcie można badać miejsce książek polskich w bibliotekach amerykańskich w ramach kolekcji wschodnio-europejskich. I takie jest główne podejście tego artykułu. Zarówno w studiach slawistycznych jak i w tworzeniu kolekcji słowiańskich amerykański punkt widzenia cechują zainteresowania większym obszarem geograficznym czy kulturalnym. „Area specialist”, nawet powierzchowny, przewyższa w swej atrakcyjności zawodowej każdego ze znajomością, choćby najgruntowniejszą, jednego języka i jednego małego kraju. Ucnia amerykańscy, amerykańskie instytucje naukowe i biblioteki interesują się więc książkami polskimi jako częścią kolekcji słowiańskich, albo jako materiałem, który dotyczy obszaru Wschodniej Europy. Konkretnie poszukiwanie książki w języku polskim lub dotyczącej spraw Polski jest rzadsze i węższe.

„Książka polska” wymaga oczywiście precyzyjniejszej definicji niż ta, która się narzuca sama przez się. W statystykach ZSSR broszury 5-cio stronicowe uważa się za książki; w Stanach Zjednoczonych do 48 stronic — to są pamflety czy broszury, wyłączone z grupy książek (5). Ten punkt widzenia wydaje się bardziej uzasadniony. W obliczeniach niniejszego artykułu broszur nie uważa się za książki.

Ale nie tylko książki są ważne jako materiał biblioteczny. Ogromne znaczenie, zwłaszcza w naukach ścisłych, posiadają także czasopisma. Bez gazet trudno poznać fakty i opinię krajów ich wydania. Coraz więcej miejsca w bibliotekach zajmuje także

(4) Mieczysław Szawleski, *Wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów, 1924, s. 151.

(5) Według zalecenia UNESCO.

materiał stosunkowo nowy, wzrokowo-słuchowy, jak nagrane płyty i taśmy, filmy, przezrocza, mikrofilmy, mikrokarty i mikrodruki. Zawsze też dla pracy naukowej zasadnicze znaczenie zachowuje materiał archiwalny. W tym artykule interesują nas przede wszystkim książki; ale uwzględnia on także czasopisma, gazety i archiwalia.

I jeszcze jedno, dla większej precyzji obrazu; co jest książką polską? Czy praca o rządzie Stanów Zjednoczonych, wydana w języku polskim, jest bardziej „polska” niż rozprawa o Mickiewiczu w języku angielskim? Książki w językach zachodnio-europejskich na tematy polskie stanowią ogromną pozycję w bibliotekach amerykańskich. Ale liczby, które tu podaję, obejmują z reguły książki tylko w języku polskim, czy w językach wschodnio-europejskich, bez względu na ich treść. Śledząc je, trzeba więc pamiętać, że uzupełniają je niezliczone wydawnictwa o Polsce i sprawach polskich, które się ukazały w językach zachodnio-europejskich i znalazły się na półkach bibliotek amerykańskich. Są one często głównym źródłem informacji o Polsce, ze względu na stosunkowo małą znajomość języka polskiego wśród Amerykanów. We wczesnych statystykach biblioteki uniwersytetu Harvard takie książki stanowią większą część „kolekcji słowiańskiej”.



Kolekcje słowiańskie zaczęto gromadzić w bibliotekach Stanów Zjednoczonych już przy końcu XIX w. Ale wzrost ich do roku 1914 był bardzo niski, a do ostatniej wojny, choć znacznie intensywniejszy — stale jeszcze niezadawalający. Biblioteka uniwersytetu w Yale, jedna z najbardziej wtedy rozwiniętych i najbogatszych w materiał słowiańskich dzięki zabiegom swego twórcy Joela Sumnera Smith'a, liczyła w chwili jego śmierci (1903 r.) 6,000 tomów (6), (głównie dotyczących Rosji). Harvard w r. 1895 nabył 2,071 słowiańskich książek w różnych językach także zachodnio-europejskich — i to była wówczas zasadnicza część całej kolekcji. W r. 1911 Harvard posiadał już 8,150 tomów (7), a w r. 1915 — 9,485 tomów, też przeważnie poświęconych Rosji, ale również z uwagą na książki polskie. We wszystkich sprawozdaniach Biblioteki Uniwersytetu w Harvard tamtego okresu powtarza się zwrot: „The books relating to Poland deserve special mention”, na szczególnie podkreślenie zasługują książki, które się odnoszą do Polski” (8).

(6) Jacob Ornstein, *Slavic and East European Studies; Their Development and Status in the Western Hemisphere*. External Research Paper Washington, 1957, s. 3.

(7) Charles Morley, „Major Russian Collections in American Libraries”. *The Slavonic and East European Review*, v. 29, N° 72:256: 266, albo 8,326 na 1.7.1911, jak podaje Petter, 2. wyd., s. 9.

(8) Alfred Clughorn Potter, *The Library of Harvard University; Descriptive and Historical Notes*, 3-rd ed., Harvard University Press, Cambridge 1915, s. 88 — i inne jego wydania.

W lepszej sytuacji znalazła się Biblioteka Kongresowa, która w r. 1907 nabyła za połowę ceny kolekcję syberyjskiego handlarza wódek, Gennadiego Wasilewicza Judina (9). W przewidywaniu rewolucji chciał on uchronić 80.000 cennych tomów rosyjskich wydawnictw przed zniszczeniem, a późniejsze wypadki przyznały rację jego rozumowaniu.

Słowiańskie kolekcje bibliotek publicznych też były początkowo mizerne. Szawleski pisze we wspomnianej wyżej pracy, w r. 1924: „Są więc w bibliotekach publicznych działy polskie, na ogół słabo wyposażone z powodu małego zainteresowania i nieśmiałości przybyszów polskich” (10).

Lata późniejsze doprowadzają do znacznej poprawy. Harvard już w r. 1934 liczy 30.000 tomów materiału słowiańskiego (włączając w to pamflety (11)). W r. 1950/51 osiągnął już liczbę 65.000 tomów. Berkeley w Kalifornii liczy w latach 1950/51 — 20.000 tomów, w tym dobrze dobrany materiał polski, czeski i serbo-chorwacki. Już w początkach lat dwudziestych Nowojorska Biblioteka Publiczna uzyskuje kolekcję Kennana i rośnie w oparciu o normalny proces stałej akwizycji. Jej zbiór książek słowiańskich staje się „teraz jednym z największych w świecie” (12). Od r. 1934 znacznie rośnie dział słowiański, a zwłaszcza polski, w bibliotece uniwersytetu Wisconsin, w Madison. Zachodzi tu szczególnie wypadek pomocy Polonii w organizacji katedry polskiego i w rozbudowie polskiej kolekcji. Polonia powoduje przyznanie na ten cel odpowiedniej sumy w budżecie stanowym. Katedrę polonistyki, stworzoną w r. 1936, objął na rok najpierw prof. Witold Doroszewski, a następnie prof. Józef Birkenmajer. Po nim przychodzi Edmund Zawacki, który zorganizował department slawistyczny i został jego kierownikiem.

Ostatnia wojna rozpoczyna okres szczególnego zainteresowania Rosją Sowiecką i Europą Wschodnią. Wzmaga je samo życie: względy polityczne, gospodarcze, wojskowe, postępu technicznego, czynią ich znajomość koniecznością. Książki rosyjskie, a z wielu względów także inne wschodnio-europejskie, stały się „materiałem strategicznym”, pozycją konieczną w bibliotece. Stąd ich napływ do Stanów zwiększa się stale.

W latach 1957-60 przeprowadzono solidną próbę zliczenia materiału wschodnio-europejskiego, jaki się znalazł do r. 1958 w bibliotekach amerykańskich. Rezultaty tej próby w postaci książki: „Rosyjskie i wschodnio-europejskie publikacje w bibliotekach Stanów Zjednoczonych” (13), są oparte o ankietę, która objęła 545 najważniejszych bibliotek amerykańskich, wykazujących kolekcje słowiańskie. Podstawą liczb, ustalonych w ankiecie, jest często nie ścisły rachunek, lecz przybliżona ocena. Wi-

(9) G. V. Yudin Collection.

(10) S. 151.

(11) 4. wyd. z r. 1934 wspomnianej książki A.C. Pottera, s. 126-7.

(12) J. Ornstein, *Slavic...* s. 4.

(13) Op. cit.

told Sworakowski, kurator kolekcji słowiańskiej Instytutu Hoovera w Stanford, krytycznie się odniósł do niektórych wniosków wspomnianej publikacji (14). Nie mniej jednak nic innego z ogłoszonych studiów na ten temat nie jest bliższe prawdy. Najmniej kwestionowanym osiągnięciem Ruggles'a i Mostecky'ego jest obraz wzajemnej proporcji poszczególnych grup językowych w materiale wschodnio-europejskim i jego rozkład między bibliotekami tego kraju. I to właśnie zwiększa wartość tych podstawowych danych.

Wspomniana praca określa liczbę książek z Europy Wschodniej, włącznie z Rosją carską i sowiecką, które się znalazły do r. 1958 w bibliotekach Stanów Zjednoczonych, na 1.600.000. Ilość czasopism wschodnio-europejskich obliczają wspomniani autorowie na 70.000, ilość gazet — na 4.650 (15). W oparciu o ostrożną ocenę zmieniających się danych można przyjąć, że obecnie biblioteki Stanów Zjednoczonych posiadają przeszło 2.400.000 książek słowiańskich i innych wschodnio-europejskich.

Podane liczby obejmują także polski materiał biblioteczny. Autorowie przyjmują, że książek polskich było w okresie zestawiania zebranego przez nich materiału, więc do roku 1958 — 200.190. Czasopism znalazło się wtedy w bibliotekach Stanów Zjednoczonych 8.297, dzienników — 453 (16).

Dane o kolekcjach polskich należy uzupełnić nie tylko liczbami, określającymi bieżącą akwizycję, ale także zasobem specjalnych kolekcji polskich, które nie zostały uwzględnione w pracy Ruggles'a i Mostecky'ego.

Najbogatszą taką specjalną kolekcję polską posiada Polskie Muzeum w Chicago (17). Liczy ono 25.000 książek w języku polskim, prócz 2-3 tysięcy publikacji w językach zachodnio-europejskich, oraz materiału archiwalnego (dotyczącego m.in. Ignacego J. Paderewskiego). Gromadzona od r. 1918, a szczególnie od założenia Muzeum w r. 1935, biblioteka ta należy do bogatszych kolekcji polskich w USA.

Na drugim miejscu co do liczby posiadanych książek polskich stoi Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku z 3.723 tomami w języku polskim i 1.377 tomami w innych językach, głównie zachodnio-europejskich. Biblioteka zapoczątkowana została w r. 1959. Kieruje nią Nestor bibliotekarzy polskich w Stanach, dr Alfred Berstein. Przejęła ona księgozbiór zmarłego

(14) Recenzja ogłoszona w *Slavic Review*, 20, N° 3: 546-48, paźdz., 1961 r.

(15) Ruggles, s. 171.

(16) Ruggles i Mostecky, s. 171.

(17) Zebranie bliższych na ten temat danych umożliwili mi: dr Alfred Berstein, dyrektor Biblioteki Polskiego Instytutu Naukowego, oraz dr Bernard Ziffer, odpowiedzialny za Bibliotekę Naukowo-Badawczą Instytutu; p. Walter Kondy, dyrektor Biblioteki Kolegium Związkowego; p. Leonard V. Kosiński, Asystent Dyrektora Fundacji Kościuszkowskiej; oraz p. Jerzy C. Walfer, dyrektor Polskiego Muzeum Ameryki. Odpowiedzieli oni łaskawie na moją krótką ankietę i za to im serdecznie dziękuję.

prof. Jana Kucharzewskiego i Polskiego Stowarzyszenia Prawników w U.S.A. „Biblioteka Instytutu obejmuje również oddzielnie umieszczoną i oddzielnie administrowaną Bibliotekę Naukowo-Badawczą (Research Section) gromadzącą książki i broszury jak również dzienniki i czasopisma z 6-ciu krajów wschodnio-europejskich, a mianowicie z Bułgarii, Czechosłowacji, Polski, Rumunii, Węgier i Jugosławii” (18). Biblioteka posiada około 1.100 tomów książek polskich, 3 polskie dzienniki i 50 czasopism ze wszystkich wspomnianych wyżej krajów. Kieruje nią dr Bernard Ziffer. Razem więc Biblioteka Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce liczy 4.823 tomy książek polskich i inny cenny materiał biblioteczny.

Na trzecim miejscu co do liczby posiadanych książek polskich należy umieścić Bibliotekę Polskiego Kolegium Związkowego z 4.000 książek polskich, prócz 632 książek w językach zachodnio-europejskich, poświęconych sprawom polskim. Gromadzono je od r. 1912. Niestety, część wczesnej kolekcji spłonęła w pożarze Kolegium, 20 stycznia 1931 r. (także prawdopodobnie rękopisy listów Kościuszki do Waszyngtona). Biblioteką kieruje p. Walter Kondy, który spędził pewien czas na studiach w Polsce.

Biblioteka Fundacji Kościuszkowskiej zgromadziła dotychczas 3.000 polskich książek, prócz 140 książek o Polsce w językach zachodnio-europejskich (z tego 100 w języku francuskim). Zapoczątkowana została w r. 1946.

Instytut Józefa Piłsudskiego dla Badania Najnowszej Historii jest najmocniejszy w dziale manuskryptów i innych archiwaliów. Posiada także zbiór map, fotografii i filmów. Już do r. 1952 Instytut zgromadził 30.000 dokumentów, 3.000 książek i broszur, około 35.000 numerów czasopism polskich, reprezentujących 1.000 tytułów. W ostatnim dziesięcioleciu jego działalności liczby te musiały się zwiększyć. Ale nie udało mi się ustalić ile książek posiada Instytut w bieżącym okresie. W r. 1959-60 roczna akwizycja osiągnęła liczbę 800 książek. Gromadzi też pamflety i prasę codzienną. Jest kontynuacją Instytutu, założonego w Warszawie w r. 1923. Na ziemi amerykańskiej rozpoczął on swoje działanie w r. 1943.

W wymienionych bibliotekach polskich (19) znajduje się więc obecnie przeszło 37.623 tomów książek polskich, plus więcej niż 2.231 broszur, przeważnie polskich, ponad 715 tytułów czasopism i gazet polskich, oraz 600 tomów tłumaczeń z języka polskiego na angielski. Oprócz tych najbogatszych kolekcji szereg drobniejszych można by znaleźć w wielu innych skupiskach i organizacjach polsko-amerykańskich. Kolekcje te podnoszą liczbę książek polskich w bibliotekach Stanów Zjednoczonych o kilka tysięcy.

(18) Z odpowiedzi dr. B. Ziffera.

(19) Biblioteka Polskiego Seminarium w Orchard Lake jest objęta badaniami Ruggles'a i Mosteckiego.

Razem więc, uwzględniając powyższe księgozbiory jak też rezultaty akwizycji w latach 1958-62, można określić w przybliżeniu, że w bibliotekach Stanów Zjednoczonych znajduje się obecnie około 300.000 książek polskich, około 10.000 polskich czasopism i około 500 dzienników. Oczywiście duży procent tych samych tytułów można znaleźć we wszystkich lub w części 88 bibliotek, o których wiadomo, że posiadają znaczniejsze polskie kolekcje.

Miejsce polskich książek w bibliotekach Stanów Zjednoczonych wyraźniej się rysuje przez porównanie np. z książkami rosyjskimi. Według Ruggles'a i Mostecky'ego, w tym czasie, kiedy polskich książek było w bibliotekach amerykańskich 200.190 tomów, rosyjskich (tylko w języku rosyjskim) biblioteki te liczyły 928.760. Wszystkich z obszaru ZSSR było 1.037.920. Czasopism z ZSSR jest 41.756, w stosunku do 8.297 polskich, gazet 3.027 wobec 453 polskich.

W zestawieniu z wszystkimi innymi księgozbiorymi z Europy Wschodniej kolekcje rosyjskie w bibliotekach amerykańskich obejmowały więc 58% książek, 54% wszystkich czasopism i blisko 56% gazet. Polskie kolekcje, stojące na drugim miejscu, po rosyjskich, liczyły 12,5% książek, 11,9% czasopism, 9,8% gazet (20).

Stosunek ten w wymiarze ogólnoamerykańskim nie zmienia się na korzyść materiału polskiego, choć w poszczególnych bibliotekach uniwersyteckich, jak na Columbii czy w Indianie, procent książek rosyjskich jest niższy niż w innych, np. na uniwersytecie Illinois, które rozbudowują przede wszystkim kolekcje rosyjskie.

Charakterystyczne, że książek z Europy Wschodniej jest najwięcej w bibliotekach kolegiatnych i uniwersyteckich. 43% przypada na te biblioteki. Biblioteki państwowe, jak Biblioteka Kongresowa, Biblioteka Departamentu Rolnictwa, Medyczna, gromadzą 27% ogólnej liczby książek, które nas interesują. 17% — znajduje się w bibliotekach publicznych, a 13% w bibliotekach specjalnych różnych instytutów przemysłowo-naukowych. Można przyjąć, że książki polskie rozkładają się pomiędzy różne typy bibliotek w takiej samej proporcji. Trudno natomiast ustalić ilość książek polskich w bibliotekach szkół średnich. Liczba ich jest zapewne znikoma. Nauka języka polskiego w tego typu szkołach jeszcze się nie upowszechniła i nie wiadomo, czy się upowszechni.

Wśród indywidualnych bibliotek najwięcej materiału polskiego można znaleźć w Bibliotece Kongresowej. Ruggles i Mostecky pomieszczają ją w grupie, która liczy od 25.000 do 50.000 tytułów, nie tomów. Do drugiej grupy, ze zbiorami (od 10.000 do 25.000 tytułów), zaliczają oni Biblioteki uniwersytetów w Harvard i Columbii, oraz Publiczną Bibliotekę w Nowym Yorku. Kolekcja tej ostatniej jest wyjątkowo troskliwie dobrana dzięki kompetentnej pracy naszego rodaka dr. Alfreda Berlesteina i zmarłego już kuratora kolekcji słowiańskiej dr. Avrahma Yarmoliń-

(20) Ruggles i Mostecky, s. 171.

skiego. Prof. Waław Lednicki uważa ją za wyjątek wśród księgozbiorów amerykańskich, które „przez długie lata bardzo dział polskich zaniedbywały” (21). Do tej samej grupy należy zaliczyć jeszcze Bibliotekę Polskiego Muzeum w Chicago.

Publiczne biblioteki w Cleveland, Chicago i Detroit posiadają do 10.000 polskich tytułów każda. Stosunkowo dobre kolekcje polskie można znaleźć dalej w bibliotece uniwersytetu Wisconsin, w Madison, Indiany w Bloomingtonie i Kalifornii w Berkeley.

W dziale czasopism najmocniejsze są: Biblioteka Harwardzka i Kongresowa. Najwięcej gazet posiada Hoover Institution w Stanford, w Kalifornii. Między innymi w niej się przechowują pisma Polski Podziemnej z okresu okupacji hitlerowskiej, ofiarowane prezydentowi Rooseveltowi przez gen. Władysława Sikorskiego.

Polski materiał archiwalny nie posiada w bibliotekach amerykańskich jakiegoś centralnego zorganizowanego ośrodka, specjalizującego się w swoim zakresie. Rolę taką dla rosyjskich materiałów archiwalnych spełnia np. Archiwum Rosyjskie w ramach biblioteki uniwersytetu Columbia. Polskie archiwalia są rozrzucone pomiędzy kilku instytucjami. Sporo ich można znaleźć w Polskim Muzeum w Chicago. W Instytucie Hoovera w Stanford przechowuje się archiwum Polskiej Rady Narodowej z lat 1940-45, część materiałów gen. Andersa i kolekcja Wisłockiego. Wiele dokumentów i cennych pamiątek zgromadził Instytut J. Piłsudskiego w Nowym Jorku. Ważny materiał posiada b. premier Stanisław Mikołajczyk. Brak spisu, choćby najogólniejszego, polskich archiwaliów w Stanach Zjednoczonych utrudnia korzystanie z nich w pracy naukowej.

Na rozwój kolekcji polskich w bibliotekach Stanów Zjednoczonych niewątpliwie wpłynął fakt dużej liczby Amerykanów polskiego pochodzenia. Tym tłumaczą autorzy amerykańscy (22) zjawisko, że polski materiał biblioteczny idzie co do swej liczby po materiale rosyjskim, a przed wszystkimi językami wschodnioeuropejskimi. Ale znaczenie tego czynnika w budowie poszczególnych kolekcji jest jednak bardzo ograniczone. Zapotrzebowanie na książkę polską w publicznych bibliotekach takiego nawet miasta „polskiego” jak Chicago — i w bibliotekach uniwersyteckich jest niskie i nie odpowiada liczbom, o których zwykliśmy pamiętać w ogólnych rozmowach.

Większą rolę w upowszechnianiu zainteresowań książką polską spełniają departamenty slawistyczne, instytuty rosyjskie i środkowo-wschodnioeuropejskie, oraz poszczególni uczeni oddający się w jakiegokolwiek dziedzinie studiów, dotyczącym spraw tej części Europy (23).

(21) „Studia slawistyczne w U.S.A.”, *Kultura*, nr 7/69-8/70: 30 lipiec-sierpień, 1953.

(22) Ruggles, Mostecky, Ornstein.

(23) Rozwój i stan slawistyki w USA omawiał m.in. prof. Waław Lednicki w artykule: „Slavic Studies in America”, *The American Slavic*

Niestety, zainteresowanie polonistyką lub studiami nad zagadnieniami dotyczącymi spraw polskich w innych dziedzinach wiedzy ludzkiej jest ograniczone, nie upowszechnia się, nie obejmuje większej ilości młodzieży. Na 1-go stycznia 1956 r. statystyki notowały, że w całych Stanach Zjednoczonych polskiego uczyło się 377 studentów wszystkich kolegów i uniwersytetów, 3.227 uczniów wszelkiego rodzaju prywatnych szkół średnich, 819 uczniów w publicznych szkołach średnich i 189.567 uczniów parafialnych szkół powszechnych (24). W r. 1954 rosyjskiego uczono w 183 kolegiach i uniwersytetach, polskiego — w 25-ci.

Aby dobrze zrozumieć tę liczbę 377 studentów, studiujących polski język w szkołach wyższych, trzeba pamiętać o dwu okolicznościach dodatkowych. Duża część tych studentów brała polski jako drugi język słowiański, wymagany na slawistyce do dyplomu. Głównie ich zainteresowanie skupia się przeważnie na rosyjskim, albo na jednym z pozostałych języków słowiańskich. Studia te często ograniczają się do poznawania podstawowych elementów gramatyki i minimalnej ilości słów. Sama liczba tych studentów jest niesłychanie niska nie tylko w porównaniu z milionami Amerykanów polskiego pochodzenia, ale także w porównaniu z liczbą studentów innych obcych języków. W tych samych szkołach, w tym samym czasie rosyjskiego uczyło się 4.000 (cztery tysiące) studentów, niemieckiego — 70.000, francuskiego i hiszpańskiego po 100.000. Stan ten siłą rzeczy odbija się na liczebności odpowiednich kolekcji, nawet jako wynik zwyczajnych zainteresowań czytelniczych, odpowiadających znajomości obcych języków.

Ale rozmiar atrakcyjności poszczególnych języków w studiach uniwersyteckich odpowiada także, w pewnym stopniu, ogólnym zainteresowaniom naukowym. I tak studia nad dawną Rosją i nad ZSSR rozwijają się tu ze względów zrozumiałych z większym dynamizmem i z większą troską i wysiłkiem niż studia nad pozostałymi krajami Europy Wschodniej. Widoczne to jest z porównania stanu pracy naukowej nad obydwoma grupami krajów. Osiągnięcia i braki studiów nad Rosją i ZSSR w USA umuje krytycznie praca zbiorowa: *American Research on Russia* (25).

and East European Review, 13, No 1:100-116, Febr., 1954. Por. także A.P. Coleman, „Slavonic Studies in the United States, 1918-1938”, *The Slavonic Review*, 17 No 50:372-388, Jan., 1939, „The Teaching of Area and Language courses in the field of Slavic and East European Studies; A. Directory of U.S. Collegiate Institutions”, *The AS a EER*, 4, No 1:185-208, Aug., 1945 i tego samego autora: „American Area and Language Courses in Slavic and East European Studies, 1946-1947”, *The AS a EER*, 14/15:162-192, Nov., 1946.

(24) Jacob Ornstein, „The Development and Status of Slavic and East European Studies in America Since World War II”, *The AS a EER*, 16, 3:369-388, Oct., 1957. Autor podaje te dane na s. 376, za Zygmuntem Śluszką.

(25) Harold Fisher, ed. *American Research on Russia*, Indiana University Press Bloomington, 1959. Por. także zbiorowy artykuł: „An Appraisal

Osiągnięcia te już imponują; plany na przyszłość zapowiadają stały rozrost zainteresowań Rosją. Przekrojowi studiów nad pozostałymi krajami Europy Wschodniej poświęcona była konferencja: „The American Concern with East-Central Europe”, zorganizowana w Nowym Jorku, w listopadzie, 1957 r., pod auspicjami uniwersytetu Columbia. Jednym z jej rezultatów było ogłoszenie bibliografii prac, wyrażających to zainteresowanie. Bibliografię opracował prof. Robert F. Byrnes. Artykuł wstępny wprowadza czytelnika w przedmiot i zakres konferencji (26).

Z porównania tych dwu podsumowań wynika różnica w stopniu, zakresie i intensywności zainteresowań obydwoma grupami krajów. Odpowiada ona w pewnym sensie procentom w ilości poszczególnych kolekcji bibliotecznych.

Ilość książek polskich w bibliotekach Stanów Zjednoczonych jest także odbiciem w pewnej mierze ilości wyprodukowanych książek i ich jakości przedmiotowej, a nawet fizycznej. Np. trzy czynniki wyraźnie obniżają zainteresowanie książką polską: brak w nich indeksów, z nielicznymi wyjątkami, częsty jeszcze brak streszczenia w jednym z języków zachodnich, i często mizerna szata zewnętrzna (okładka papierowa, zły papier). Produkcja książek w świecie w każdej dziedzinie jest coraz większa. Możliwości panowania nad literaturą przedmiotu są coraz bardziej ograniczone. Używanie indeksów i streszczeń stało się zwykłą drogą podejścia do każdej pracy naukowej czy publicystycznej. Stąd książka polska ma szanse aby ją poznano i wykorzystano na Zachodzie jedynie jeśli posiada dokładny indeks przedmiotowy (nie tylko osób i nazw geograficznych, do których ograniczają się przeważnie autorowie i wydawcy polscy) i streszczenie w jakimś języku zachodnim. W Stanach Zjednoczonych książki naukowe w każdej dziedzinie, a także publicystyczne są zawsze zaopatrzone w indeks przedmiotowy. To wytwarza nawet przyzwyczajenia i skłonność do uważania każdej książki bez indeksu albo za nie dokończoną, albo za niepoważną.

Na zainteresowanie książką i wielkość zakupów wpływają także bardzo zasadniczo przewodniki bibliograficzne i listy tytułów zalecanych przez specjalistów dla poszczególnego typu bibliotek. Np. co do materiału rosyjskiego niesłychanie poważną i pozytywną rolę odegrały: Morley'a „Przewodnik do studiów rosyjskie historii” (27) i Sergiusza Jakobsona „Pięćset rosyjskich prac dla bibliotek i kolegów” (28).

of Russian Studies in the United States”, *The AR a EER*, 18 No 3:417-441, October 1959.

(26) Robert F. Byrnes, *Bibliography of American Publications on East-Central Europe, 1945-1957*, Bloomington, Ind., 1958.

(27) Charles Morley, *Guide to Research in Russian History*, Syracuse University Press, Syracuse, N.Y., 1951.

(28) Sergius Jakobson, *Five Hundred Russian Works For College Libraries*, Russian Reprint Program, American Council of Learned Societies, 1948.

Ta ostatnia bibliografia została uzupełniona przez P. Horecky'ego do 1.820 tytułów i wyjdzie jeszcze w tym roku, w nowym wydaniu. Skieruje ona natychmiast uwagę amerykańskich bibliotek na publikacje, których jeszcze nie posiadają. Praca bibliotekarzy amerykańskich jest w dużej mierze zmechanizowana i podlega powszechnym zasadom „wydajności”. Dlatego akwizycja chętnie zwraca się po materiał, ujęty w uchwytny obraz „potrzebnych tytułów”. Brak list najważniejszego materiału polskiego we wszystkich dziedzinach wiedzy, które by odpowiadały wymienionym tytułom dla wydawnictw rosyjskich, wpływa dodatkowo na zmniejszenie zakupów książek polskich (29).

Wielkie znaczenie we wzroście kolekcji wschodnio-europejskich posiada oczywiście także organizacja rynku księgarskiego w poszczególnych krajach, wchodzących w zakres naszego zainteresowania, oraz praca samych księgarzy. Pierwsza część tego zagadnienia pozostawia bardzo dużo do życzenia. Wydawałoby się, że Polska mogłaby być nie tylko eksporterem książki polskiej, ale także pośrednikiem w nabywaniu książki rosyjskiej. Tymczasem te ostatnie można dostać w większej ilości w Finlandii, we Francji, w Niemczech, w Czechosłowacji — prawie nigdy w Polsce. Książki polskie o zbiorach rosyjskich w bibliotekach polskich, bibliografie materiałów rosyjskich w dziedzinach najbardziej żywotnych dla interesu narodowego polskiego i dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej byłyby poszukiwane i rozchwytywane (30). Niestety, nie ma ich. Na kwietniowej konferencji francusko-amerykańskiej, zorganizowanej w tym roku w Paryżu w związku z tworzeniem tam Centrum Rosyjskiej Dokumentacji, Polski w ogóle nie wymieniono ani jako kraju z poważniejszymi zbiorami rosyjskimi, ani jako źródła informacji bibliograficznych o Rosji.

Publikacje polskie, zwłaszcza przedwojenne, są także trudne do dostania. Ani „Ars Polona”, mająca monopol na eksport książek, ani „Ruch” z tymi samymi uprawnieniami w stosunku do wydawnictw periodycznych i gazet nie podejmuje się poszukiwania książek, których biblioteki potrzebują, a których nie ma wśród tytułów oferowanych w konkretnych katalogach. Oby-

(29) Bardzo dobrą bibliografię wydawnictw w języku angielskim, które dotyczą także Europy Wschodniej, opracował Robert F. Byrnes: *The Non-Western Areas in Undergraduate Education in Indiana*, Indiana University Publications, 1959.

(30) Dla przykładu o szerszym znaczeniu zacytuję tu słowa prof. G. Grossmana, omawiającego amerykańskie badania nad życiem gospodarczym, systemem i naukami ekonomicznymi ZSSR we wspomnianym już tomie: *American Research en Russia*, s. 35: „Inne właśnie nowo powstałe możliwości (poznania ZSSR) wymienia się mniej często. Obejmują one: wgląd do sowieckiego systemu ekonomicznego przez doświadczone polskie oczy — teraz, gdy Polacy są bardziej przystępni i mniej ograniczeni; wgląd, który pozwala zauważyć sowieckie problemy ekonomiczne, przejawiające się w polskich i jugosłowiańskich próbach reform instytucjonalnych”.

dwie instytucje odznaczają się przy całej swej poprawności buchalteryjnej zupełnym brakiem zmysłu handlowego. Ujawnia się to w dwu kierunkach. Po pierwsze, nic ich nie obchodzi popyt na książki. Administrują zapasami, które się znalazły w ich magazynach. Wyświadczaają łaskę klientowi; kroku nie robią poza próg swoich magazynów. Tymczasem nawet wydawnictwa bieżące przecież znikają z rynku i z magazynów szybko i są później nie do dostania. Po drugie, do starych wydawnictw stosują te monopoliczne instytucje fantastycznie dowolną politykę cen. Przy kursie 24 zł. za \$ 1 ceny te mają często cechy prohibicyjne, albo handlowo naiwne.

Zawsze też przy otrzymywaniu polskich książek budzi się ta sama refleksja: w Polsce jest nadmiar rąk do pracy w stosunku do rozporządzalnego kapitału. Intrologatorstwo zużywa mało kapitałów, a więcej ludzkiej pracy. Dałoby się zresztą zorganizować rzemieślniczo, chałupniczo — i jak tylko chcieć, bez zagrożenia chyba socjalistycznych reform. Czegoż tam brak, że tak trudno o oprawę książek? Koszty oprawy w Stanach Zjednoczonych wynoszą od \$ 1.50 do \$ 5.00 za tom. Przy kalkulacji zakupu zawsze się je bierze pod uwagę. O tę cenę książki polskie są droższe niż książki z krajów, które je produkują w twardej oprawie lub zorganizowały u siebie oprawę starych wydawnictw w papierowych okładkach.

Książki rosyjskie są oprawiane. Nie najlepiej, ale są. Czeskie i słowackie już też prawie się nie ukazują w okładce papierowej. Stare wydawnictwa również przychodzą oprawione. Tylko polskie prezentują się ubogo.

Do zagadnień rynku handlu książką należą jeszcze dwie inne kwestie. Chodzi o niedopuszczanie księgarzy do Polski i utrudnianie im zakupu książek w imię niezrozumiałych „interesów wyższych”. W latach pięćdziesiątych chciał się dostać do Polski, wśród innych, szanowany tu powszechnie na uniwersytetach księgarz, Izrael Perlstein, nasz rodak, który dobrze mówi po polsku i szczerze się interesuje książką polską nie koniecznie jako przedmiotem zarobku. Jest to zresztą wprost literacki typ księgarza, kochającego dobrą i ładną książkę, i znającego się na książkach. Mimo uciążliwych zabiegów nie dostał się do Polski; nie uzyskał prawa wjazdu. Pojechał więc do Pragi. W rezultacie biblioteki amerykańskie uzyskały sporo doskonałych wydawnictw czeskich i słowackich, a z polskich tylko te, które Perlstein mógł nabyć w antykwariach Czechosłowacji.

Drugą kwestią jest zainteresowanie reżymowych placówek handlowych i attaché kulturalnych w różnych krajach raczej propagandą systemu „demokracji ludowej” niż troską o dostarczenie do bibliotek dobrej książki. Pracy ich, której należałoby się spodziewać, nikt inny nie wykona. Leży ona odłogiem.

Zagadnienia książki polskiej w bibliotekach Stanów Zjednoczonych nie można uważać za sprawę tylko handlową. Jest to zagadnienie w najszerszym pojęciu kulturalne. Udział w życiu intelektualnym świata jest możliwy głównie przez książkę. O ten udział trzeba walczyć. Tym więcej gdy chodzi o mniejsze narody. Ich potęga materialna nie odgrywa tu roli czynnika, pobudzającego zainteresowanie ich twórczością intelektualną.

Niesposób też sądzić, że ten element krążenia w świecie informacji, myśli i idei pozostaje poza linią dzisiejszych konfliktów cywilizacyjnych. Na pewno nie. Prof. Wacław Lednicki kiedyś pisał z goryczą: „Musimy też poprawiać i korygować historyczne perspektywy i wyjaśniać narodowi amerykańskiemu różnicowanie kulturalne, które istnieje za „żelazną kurtyną”, i które jest obecnie przedmiotem gigantycznego wysiłku w kierunku unifikacji. Ten sam fakt jest historyczną tragedią dotąd bez przykładu. Musimy ukazywać amerykańskiemu narodowi tę zdumiewającą złożoność kulturalną, która jest zakryta przed nimi kurtyną ich własnej ignorancji” (31).

Błędnie by rozumiał myśl prof. Lednickiego, kto by ją zbyt uogólniał. Ale wyraża ona słuszną perspektywę, której zwłaszcza małe narody nie mogą nigdy tracić z oczu, mimo wszystkich różnic (32).

Dobre zaopatrzenie bibliotek Stanów Zjednoczonych w książki polskie leży nie tylko w interesie tych bibliotek. Jest to także interes producentów tych książek w najszerszym pojęciu, jest to problem narodowy i zagadnienie ogólne kulturalne.

Większa współpraca polskich bibliotekarzy i księgarzy emigracyjnych mogłaby również wpłynąć na ilość i rodzaj polskiego materiału bibliotecznego w bibliotekach Stanów. Np. przygotowanie wyboru 1.000 najważniejszych tytułów polskich wydawnictw, koniecznych w każdej bibliotece uniwersyteckiej, byłoby niesłychanie korzystne i zupełnie możliwe. Listy takie nie ograniczają bibliotek w nabywaniu innego materiału. Pomagają natomiast w zaopatrzeniu biblioteki w pozycje konieczne.

Napływ najcenniejszych wydawnictw bieżących wymaga również głębszej i skuteczniejszej troski zbiorowej. Biblioteki polsko-

(31) cyt. wyżej art., s. 113.

(32) Zagadnienie książek polskich w bibliotekach Stanów Zjednoczonych łączy się z kilkoma dodatkowymi tematami, wartymi odrębnego opracowania. Do nich należałby np. przegląd prac tych polskich uczonych, którzy wzbogacając twórczość intelektualną Stanów, pisząc po angielsku. Z pewnego punktu widzenia temat ten obejmuje praca: Joseph A. Wytrwał, *American's Polish Heritage*, Detroit, 1961, ale go oczywiście nie wyczerpuje. Pewne znaczenie miałyby bliższe przyjrzenie się tłumaczeniom z języka polskiego na angielski, zwłaszcza w porównaniu z tym, co się w tej dziedzinie robi w innych krajach, jak Francja, ZSSR, Niemcy i inne kraje sąsiadujące z Polską. Pożyteczne byłoby zebranie informacji o różnych projektach, które zmierzają do lepszego udostępnienia książek o Polsce czytelnikowi amerykańskiemu, np. Polski Instytut Naukowy rozpoczął prace nad skatalogowaniem Poloników w amerykańskich bibliotekach (J. Wytrwał, s. 281).

amerykańskie są ograniczone przede wszystkim szczupłością budżetów. Funduszy tych albo nie można w ogóle jeszcze przewidzieć, jak w wypadku Polskiego Instytutu Naukowego, albo wcale się ich nie przewiduje na rok 1962-63, jak w Fundacji Kościuszkowskiej. Inne budżety są żenująco znikome. Biblioteka Polskiego Kolegium uzyskała na zakup polskich książek w r. 1962-63 \$ 300. Biblioteka Polskiego Muzeum Ameryki wyda w przyszłym roku \$ 500 na polskie książki (33).

Biblioteki amerykańskie zwiększają swoje budżety. Według prywatnie zebranych danych (34) 8 bibliotek uniwersyteckich: Berkeley, Columbia, Harvard, Indiana, Kansas, Michigan, North Carolina i Wisconsin, oraz Publiczna Biblioteka w Nowym Jorku, wydały w r. 1961-62 na książki wschodnio-europejskie \$ 331.000 (bez kosztów administracyjnych i oprawy). Na książki polskie według ich procentu, jaki się ustalił do r. 1958, poszłoby więc z tego około \$ 40.000. Sumę tę należy zwiększyć o akwizycję 75 pozostałych bibliotek, które wykazywały polskie kolekcje w tamtych latach. Obecnie takich bibliotek już jest zapewne więcej.

Przyjęliśmy, że rocznie biblioteki USA zakupują obecnie około 200.000 książek, dotyczących Europy Wschodniej. Licząc przeciętnie po \$ 4.00 za książkę (wydawnictwa wyczerpane są stosunkowo drogie) doszlibyśmy do sumy \$ 800.000, przeznaczonych rocznie na te książki. Stanowi ona mniej niż 1% tego, co biblioteki amerykańskie wydały na wszystkie książki w r. 1956 i wydają dzisiaj. Jest to część zbyt znikoma, aby mogła się utrzymać wobec wrastającego zainteresowania Europą Wschodnią. Będzie się ona zwiększać. Przyjmując ją za punkt wyjścia widzimy, że na książki polskie przypada i będzie przypadać około \$ 100.000 (12.5%) rocznie.

W interesie Polski jak i innych krajów Europy Wschodniej leży niewątpliwie najlepsze zaopatrzenie bibliotek USA w książki pochodzące z tamtych krajów, lub ich dotyczące.

Wacław SOROKA

Jak jest z tą świecą?

Bardzo lubię Adama Nasielskiego i cenię jego trochę robiony cynizm, który lepszy jest niż gromkie, typowo emigracyjne udawanie, że wszystko jest w porządku — ale pozwolę sobie na wy-

(33) Z odpowiedzi na moją ankietę.

(34) Dane te zebrał p. Alexis Rannit, kurator słowiańskiej kolekcji w Yale.

rażenie innej nieco opinii niż on to uczynił w „Sprawach i Tro-skach” w numerze 7/177-8/178 („Z perspektywy australijskiej”).

Jest jasne, iż każda prasa emigracyjna z istoty rzeczy może niestety być porównana do świecy spalającej się z dwóch końców równocześnie: wymierać będą i jej dziennikarze i jej czytelnicy. Trzeba o tym pamiętać, ale też trzeba próbować przeciwdziałać temu.

Ale czy aż tak groźnie jest w polskiej Australii? I czy Adam Nasielski, kiedyś produktywny pisarz i dziennikarz, lecz obecnie trochę postawiony przez okoliczności i samego siebie na uboczu tych spraw, choć zawsze błyskotliwy półcynik i od czasu do czasu bezpłatny dostawca tekstów dla naszych i znowu z istoty rzeczy skromnych pism, ma ze swego pustkowia pod Górą Kościuszki dobrą perspektywę na pracę społeczną, w której zresztą nigdy czynnie nie brał udziału? Myślę, że dobrej perspektywy Nasielski nie miał i w wielu swych naświetleniach sporo przesadził, aczkolwiek wdzięczni jesteśmy mu za poruszenie tej sprawy w sposób zmuszający do przemyśleń i sprostowań. Mam nadzieję, że o to mu chodziło.

Przede wszystkim jest nas o wiele więcej niż poniżej 70 tysięcy. Widzę to z objazdu polskich skupisk na całym olbrzymim kontynencie australijskim, który to objazd przeprowadzam już od 10 miesięcy z ramienia sydneyjskich „Wiadomości Polskich” i paryskiej „Kultury” (reportaże i zbieranie materiałów do książki o Polakach w Australii na zamówienie „Kultury”). Prawdą jest, jak pisze Nasielski, iż na kwoty polskie zjechali tu i inni, jak Ukraińcy, Białorusini i Litwini, obywatele polscy, którzy przyjechawszy tu wrócili w większości wypadków do życia swych społeczności. Ale również prawdą jest, o czym Nasielski nie pisał, że zjechali tu i w dalszym ciągu zjeżdżają Polacy posiadający inne obywatelstwa (brytyjskie, francuskie, belgijskie, a nawet niemieckie, przy czym procent tych pierwszych jest duży). Prawdą jest też — i takich spotykałem sporo — że przybyło tu w okresie, gdy w Niemczech nie puszczano na emigrację Polaków (bo i taki był okres w mądrej polityce Aliantów) wielu Polaków, którzy, aby wyjechać, podali się w zмовie z urzędnikami IRO za Ukraińców i Litwinów, a tu oczywiście wrócili do swej narodowości, czego nota bene statystyki australijskie, i tak dość dziwnie prowadzone, nie uwzględniały. (W nawiasie dodam, że ginący „szczerp” Polaków z Litwy czeka ciągle na swą monografię: masy polskie z Litwy Kowieńskiej wywiezione do Rosji tam zaginęły, gdyż jako obywatele litewscy nie byli objęci „amnestią” po układzie Sikorski-Stalin). Do ogólnej cyfry Polaków w Australii dochodzi jeszcze przyrost naturalny dzieci polskich urodzonych tu i przez miejscowe władze traktowanych oczywiście jako Australijczyków, a przyrost ten mógłby przerazić W.A. Zbyszewskiego, gdyż rodziny mające po pięcioro dzieci nie są niczym nadzwyczajnym, szczególnie wśród ludzi tzw. „prostych”. Jeśli doliczymy do tego ponad 8 tysięcy nowoprzybyłych po Paździer-

niku z Polski, (a jest to jedyna cyfra prawie ścisła, choć i Polacy uciekający z Polski, a przebywający przez pewien czas w Austrii zaliczeni zostali jako Austriacy) to dojdziemy do cyfry 110-120 tysięcy, a nie poniżej 70.000. Z tym szacunkiem zgadzają się nawet ostrożni w rachunkach społecznicy.

Z Polski po Październiku przybywają tu ludzie przeważnie młodzi, lub nawet bardzo młodzi, jako że w „akcji łączenia rodzin” przyjeżdżały tu albo narzeczone w granicy wieku 25-33, albo żony przedwojenne z dziećmi urodzonymi tuż przed wojną, czy też w parę miesięcy po wyjeździe ojców na wojnę. Akcja ta trwa w dalszym ciągu i nic nie wskazuje na to, by miała ustać, co jest równoznaczne z dalszym dopływem, zaś dalszy dopływ odsuwa zmurę wymieralności, która tak trapi Nasielskiego, a który znowu nie podkreślił, że dotychczasowa śmiertelność wśród nas jest najzupełniej minimalna, gdyż zjechali tu po wojnie albo ludzie młodzi, albo najwyżej w sile wieku i grabarze na nas jeszcze niewiele zarobili.

Trzeba więc stwierdzić, że emigracja polska w Australii — jej stan posiadania określony przez stopień związków z polskością i kulturą polską, bez względu na przynależność paszportową — jest grupą i silniejszą liczebnie i o wiele młodszą w latach niż to pisał Nasielski. W tym świetle cała sytuacja wygląda przeto inaczej.

Ponieważ nie jesteśmy żadną analogią do francuskich Kandydyczków jedynej emigracji, która niezupełnie się z wiekami rozplynęła, to baza czytelnicza na pewno za kilkadziesiąt lat wymrze, o ile dopływ ustanie. O dokładniejsze przypuszczenia na razie trudno, jako że wiąże się to z wieloma czynnikami, jak system i samo nażenie naszej pracy społecznej, atrakcyjność kultury kraju osiedlenia oraz umiejętność złapania młodzieży, na co należy położyć wszędzie większy nacisk. Jeśli w grupie lat 20-45 co czwarty, piąty Polak w Australii, lub Polka, są przybyłymi niedawno z kraju, to sytuacja nie jest wcale zła, a może nawet korzystniejsza niż gdzie indziej. Dużo nowoprzybyłych, szczególnie młodzieży, weszło już w naszą pracę społeczną, ku ogólnemu pożytkowi.

Na szczęście po pierwszym okresie obopólnej euforii, a potem po wzajemnych pretensjach i rozczarowaniach, wywołanych wygórowanymi oczekiwaniami i innymi rzeczywistościami formującymi obie strony przez ostatnie 20 lat (o czym kiedyś pisałem w „Kulturze”) nastąpił okres zgodnej współpracy i wejścia ich w nasze życie społeczne, a nawet stania się ich w tym życiu czynnikiem pierwszorzędnej wagi na polu utrzymywania naszej polskości i zaznajomienia nas z prawdziwą atmosferą obecnej Polski. Bowiem i na nasz temat w kraju i na temat kraju u nas krążyło wiele urzędowych i prywatnych opinii kłamliwych, albo trwało mnóstwo nieporozumień, które dopiero naprostować mogło dłuższe i nie od święta przebywanie razem i wzajemne poznanie się.

Tak jak nikt nie był w stanie przewidzieć przed 10 laty, że nastąpi Październik i przyjazd tych 8 tysięcy, tak samo nikt nie może na pewno stwierdzić, czy jakieś obluźnienie w polityce emigracyjnej PRL nie nastąpi na skutek wzrastającego przeludnienia i pomimo wszystko zbyt powolnego wzrostu dobrobytu, czyli stałych, bo z systemem związanych trudności gospodarczych.

Gdy weźmie się pod uwagę te wszystkie przesłanki, o których w dużym skrócie piszę, to — wydaje się — że wcale nie grozi nam szybkie spalanie tej świecy od strony czytelniczej. Dowodem może być choć by to, że w wyniku — bezpośrednio i pośrednio — objazdu „Wiadomości Polskie” powiększyły swój nakład z niecałych 4000 na pełne 5000, choć są tu jeszcze dwa inne czasopisma. Które pismo z innego terenu może się takim objazdem i takim rezultatem poszczycić? Tym bardziej, że nie chodzi tu o objazd Anglii, lecz kontynentu 31 razy większego od Anglii (z Północną Irlandią). Już dotychczas zrobiłem ponad 20.000 mil, a cały objazd zamknie się cyfrą około 25.000.

Należy również myśleć o nowym czytelniku spośród naszych dzieci. Często powtarzające się nasze kampanie o zdobycie młodzieży stałymi dodatkami „Dziatwa Polska”, „Młody Las”, „Czuwaj” i dwustronicowy cotygodniowy „Stadion” (bo sport również jest w tej sprawie ważniejszy niż wielu sądzi i sukcesy tutejszych klubów sportowych „Polonia” rozbudziły w niezwykły sposób dumę narodową wśród młodzieży, która już od nas odchodziła) świadczą o próbach i wysiłkach zdobycia czytelnika wśród młodego pokolenia. Trudno w tej chwili ocenić, czy akcja taka na tle bardzo typowej dla emigracji apatii, zakończy się sukcesem, czy też nie da żadnych wyników; jedno wszakże jest pewne, że przyniesie lepsze skutki niż z góry machnięcie ręką na młodego czytelnika. Próbować trzeba.

Pomimo docierania tu prasy krajowej, do której nowoprzybyli przez tyle lat się przyzwyczaili, że z początku nie mogą bez niej się obejść, spory procent nowoprzybyłych staje się i będzie dalej tym nowym czytelnikiem naszej prasy, już choćby dlatego, że czytelnictwo w Polsce stało się niemal nałogiem. Wiąże się z tym oczywiście i sprawa poziomu naszej prasy na peryferiach emigracyjnych, prasy chałupniczej i niesubsydiowanej, a więc siłą rzeczy o niższym poziomie, choć nie zawsze. Trzeba też walczyć o poprawianie naszego poziomu, bo nic tak nie boli jak później przeświadczenie, że pomimo trudności nie wyzyskało się wszystkich możliwości. „Wiadomości Polskie” na przykład od trzech miesięcy przeszły z 8 stron sporego formatu na 12, co nie odbywa się bez poświęceń ze strony współpracowników, drukarzy i wydawnictwa.

Jeśli chodzi o wymieranie dziennikarzy, to ze względu na niski poziom każdej prasy emigracyjnej (z wyjątkiem wydawnictw typu „Kultury”, czy „Wiadomości”, a także „Tygodnia Polskiego”) nie będzie tu ludzi nie do zastąpienia. Trudniej tylko będzie znaleźć takich ludzi jak Grydzewski i — toutes

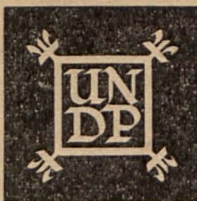
porportions gardées — nasz Karwicki, maniak tej niewdzięcznej pracy. Ale następcy się znajdują, bo będą musieli się znaleźć. W naszym zresztą wypadku mieliśmy już propozycje od dwóch dobrych dziennikarzy krajowych, że tu chętnie by przyjechali. Nie pozwalają na to tylko słabe możliwości finansowe pisma w ekspansji, pomimo braku subsydiów. Lecz możliwości wyjścia z ewentualnego impasu są, o czym Nasielski, przed wojną stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej w Stanach Zjednoczonych, powinien pamiętać. Jeszcze jedną ciekawostkę warto podać: na ogół tak jest, że organizacje pomagają pismom społecznym. Tu jest na odwrót i jest to chyba unikat: pismo płaci dzierżawę organizacji społecznej (Związkowi Polskiemu w Nowej Południowej Walii) choć na wydawanie pisma nie trzeba tu żadnej licencji, lub poparcia organizacji.

Reasumując: zanim za nieokreśloną na razie ilość lat ta świeca zacznie gasnąć, może jeszcze rozbłysnąć na wiele lat nowym i mocniejszym blaskiem. I o tym trzeba teraz myśleć, gdyż siłą rzeczy kurczenie potem będzie mniejsze. Należy również myśleć o zapewnieniu sobie przyszłych czytelników wśród młodzieży, która coraz głośniejsze domaga się swego udziału w pracach starszych, jakże często zgorszona kłótniami tych starszych, lub ich niedostosowywaniem się do zmieniających się warunków i mentalności. Starszym zbyt często wydaje się, że po ich odejściu wszystko musi się zawalić. (W nawiasie znowu trzeba dodać, że pisząc o kłótniach mamy na myśli sprawy osobiste i prestiżowe; na szczęście w polskiej Australii nie ma kłótni politycznych. Nie ma tu ani jednej organizacji prorożymowej, bo nie ma na nią chętnych, a urzędnicy konsulatu w Sydney bardziej bawią się w podstawianie sobie wzajem nóg, byle tu tylko dłużej zostać na placówce, niż w robotę i infiltrowanie się w organizacje. Widocznie zdają sobie sprawę, że sukcesów mieć nie będą, aczkolwiek próby są, bo znowu Australia jest chyba jedynym terenem emigracyjnym, gdzie reżym nie ma swych organizacji, ani sympatyków. Nie ma też u nas kłótni typu londyńskiego, gdyż przesuwanie się leśnych dziadków na kanapie londyńskiej nikogo tu nigdy nie fascynowało).

Gdyby wszakże sytuacja zmieniła się na gorsze z powodów trudnych na razie do przewidzenia, to powolne i planowane przejście na prasę dwujęzyczną (dotychczas tu nie istniejącą) też może być wyjściem, jakie należy mieć na uwadze.

W sumie wdzięczny jestem Nasielskiemu za poruszenie tego tematu, tyle, że niektóre i dość duże nieścisłości prostuję. Dyskusja nad tym może tylko się przydać na każdym terenie.

Andrzej CHCIUK



UNIVERSITY OF NOTRE DAME PRESS

Death in the Forest

The story of the Katyn Forest Massacre

BY J.K. ZAWODNY

Beznamiętna, doskonale opracowana analiza haniebnego likwidacji 15 tysięcy polskich jeńców wojennych w czasie II-ej wojny światowej oraz ujawnienie tajemniczych powodów dlaczego — mimo że upłynęło już 20 lat — nie wyciągnięto z tego faktu oficjalnych wniosków.

Sprawa ta była źródłem międzynarodowych intryg i badań i ciągle jest żywa wobec dodatkowych wypadków śmierci, zniszczonych karier wojskowych i politycznych, oraz w związku z całkowicie niewytłumaczalnym przemilczaniem faktów przez wszystkie strony: brytyjską i amerykańską oraz rosyjską i niemiecką.

Death in the Forest jest pierwszą obiektywną odpowiedzią dlaczego i przez kogo ci ludzie zostali zamordowani.

264 str. 26 Październik 1962 £ 6.50

UNIVERSITY OF NOTRE DAME PRESS
Notre Dame, Indiana, U.S.A.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Najnowsza historia Polski

Notatki z czasów wojny

Autor tych zapisków nie jest i nie był politykiem, ani nie odgrywał żadnej roli politycznej przed wojną, w czasie wojny lub po wojnie. Jest tylko pisarzem i publicystą, którego los zetknął w czasie wojny z czołowymi osobistościami polskimi w Londynie: z generałem Sikorskim z racji pracy w BBC, a potem w Radio Polskim w Londynie, z Prezydentem Raczkiewiczem u którego przez trzy lata niemal pełnił obowiązki attaché prasowego, z gen. Sosnkowskim, u którego przez niespełna rok pracował w kwaterze głównej Wodza Naczelnego w Londynie oraz innymi członkami rządu polskiego na wygnaniu. Autor tych słów prowadził dwa dzienniki: jeden po angielsku, ogłoszony drukiem w r. 1947 przez jeden z londyńskich domów wydawniczych pod pseudonimem; drugi — o wiele skromniejszy rozmiarami — po polsku, gdzie notował fakty i obserwacje z polskiego terenu. Dziennik angielski został poważnie skrócony ze względu na to, że był zbyt obszerny; z polskich zapisków wybieram tylko te, które mają, jak sądzę, i dzisiaj jakieś znaczenie. Nie przykładam do tych notatek większej wagi: jestem pewien, że dziesiątki osób, które bliżej stały wydarzeń 1939-45 mogłoby ogłosić o wiele ciekawsze wspomnienia. Ponieważ jednak dotychczas nie cierpimy na nadmiar notatek i zapisków z tego okresu, uważałem, że ten zwięzły raport outsidera może mieć pewną wartość.

Z. G.

Londyn, w grudniu 1960.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

27 marca 1939 r.

Jest to pierwszy zapis w notatkach, dla których podświadomie ukułem już termin „kartek z doby wojny”. Dlaczego? Dlatego chyba, że od r. 1936, od zjazdu partyjnego, *Reichsparteitagu* w Norymberdze, trapi mnie obsesja, że wojna jest nieunikniona, albowiem Hitler postanowił zrobić wojnę i że istotnym celem tej wojny będzie uderzenie na Rosję — a w międzyczasie poddanie sobie Polski i innych krajów Europy środkowo-wschodniej jako przedpoła ataku. Równocześnie Trzecia Rzesza zrobi wszystko ażeby spacyfikować i obezwładnić Francję i Anglię.

Do tego przekonania skłoniła mnie mowa Hitlera w Norymberdze o „niewyzyskanych bogactwach Ukrainy”, znajomość teorii Rosenberga i rozmowy z ludźmi z jego biura w Berlinie, dwa przeszło lata pobytu w Berlinie od lipca 1935 i częste przedtem wizyty w Niemczech w latach 1934/35. Może najbardziej rozjaśniła mi wizję rozmowa z pijanym S.A. Mannem w jesieni r. 1936 w norymberskiej gospodzie po *Reichsparteitagu* i 14-godzinny przemarsz formacji hitlerowskich. Ów S.A. Mann, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem rozczulił się niemal do łez i zaczął tłumaczyć, że dla Polski nie ma innego wyboru jak iść z Hitlerem na Moskwę, albo zostać zniszczoną. Było dla mnie rzeczą jasną, że ten niezbyt światły S.A. Mann słuchał takich wywodów na jakimś kursie czy tajnych wykładach i że liczne kieliszki *schnapsu*, plus zmęczenie przemarszem, rozwiązały mu język. Zaraportowałem tę rozmowę obecnemu w Norymberdze ambasadorowi Lipskiemu, ale zbył ją jako alarmistyczne nowinki. Z uśmiechem ostrzegł, że nie należy ufać zbyt wiele pijanym S.A. Mannom. Niestety, ufam bardziej tym oznakom i głosom aniżeli gładkim frazesom dyplomatów.

Uroczystość na Maifeldzie w Berlinie we wrześniu 1937 i ogłoszenie „paktu stali”, osi Rzym-Berlin, pchnęły mnie definitywnie do Londynu: ale już na wiosnę r. 1937 byłem w Krakowie i prosiłem redaktora Mariana Dąbrowskiego, kierownika „IKC”, o przeniesienie mnie do Londynu. Wydawało mi się, że w Berlinie nie ma już co siedzieć: że decyzja tam zapadła — teraz od Anglii zależy co z tym fantem zrobić? Czy przyjmie wyzwanie Hitlera czy skapitułuje? Ona jedna w Europie może wprowadzić coś jakby koalicję anty-hitlerowską. Choć kto wie, czy po Monachium nie jest i na to za późno?

Bezpośrednią pobudką do tej notatki i zaczęcia tego zeszytu było wezwanie ambasadora Raczyńskiego, który parokrotnie w ciągu tych niespełna dwu lat mojego pobytu w Londynie okazywał zrozumienie dla pracy dziennikarskiej. Nieraz ujmował mnie trzeźwością sądu i chęcią wysłuchania opinii innych. Raczyński zwrócił mi uwagę na fakt, że krążą uporczywe pogłoski o jakichś zakulisowych konszachtach Berlin-Moskwa, których przedmiotem jest Polska: plan rozbioru Polski? Amba-

sador Raczyński sugerował, abym wysondował co o tym wie zespół londyńskich korespondentów zagranicznych.

Zacząłem sondować i niewiele znalazłem: trudno było o to pytać kolegów z prasy niemieckiej albowiem ci zachowują się wobec korespondentów prasy polskiej — z wyjątkiem Litauera — raczej niechętnie (kilku z nich, jak np. Karl von Abshagen, na pewno wiele wie: chodzą słuchy, że misja jego w Londynie nie ogranicza się do raportów prasowych). Pomogli najbardziej — jak często w takich wypadkach — Szwajcarzy. Owszem, pogłoski takie kursują; korespondent dyplomatyczny „Daily Mail”, Broadbent, też coś o tym przebąkuje. Dałem ostrożną depezę do „IKC” o tych pogłoskach i ich celu — była to depeza, z której byłem wcale dumny (choć inicjatywa była nie moja). Pismo moje dało tę depezę na b. odległej stronie, *petitem* i pod tytułem: „Gruszki na wierzbie”.

6 maja 1939 r.

Zamęt z racji pobytu Becka i zawarcia sojuszu. Oczywiście, jest to przełomowe wydarzenie: napisałem do „Wiadomości Literackich” artykuł „History is made in the Afternoon”, przedstawiając popołudniowe posiedzenie Izby Gmin, gdzie ogłoszono gwarancję dla Polski. Podpisałem ten artykuł *Politicus* (jak kilka poprzednich z Londynu — powodem jest zakaz redakcji „IKC” pisania do innych pism na tematy polityczne).

Przypomina mi się Beck, wyskakujący z wagonu na Victoria Station ubrany — jak Anglik w pojęciu Warszawy: *beige’owy płaszcz z camel hair’u*, mocne brązowe buciki sportowe jak z Duke Street off Jermyn Street w Londynie, kapelusz z *Old England* chyba w Warszawie. A oto na peronie autentyczny Anglik, Lord Halifax: melonik zniszczony wieloletnim używaniem, czarny płaszcz, którego kolor wpadał w fiolet na skutek znoszenia, przetarty haniebnie koło guzików, spodnie w paski wystrzępione u spodu i czarne buciki o startych obcasach, błagających o podzełowanie. Kontrast był niemal groteskowy.

Litauer w salonie *suite’y* Becka w Claridge’s wygłasza czołobitne przemówienie — ten sam Litauer, który w r. 1929 zaraz po swoim przybyciu do Londynu na stanowisko korespondenta PAT’a (przebywałem wtedy przez kilka miesięcy w Londynie jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej) ogłosił wywiad z Bernardem Shaw, gdzie w usta jego włożył zdanie, że „Piłsudski jest największym mężem epoki”. Shaw zdementował potem ten wywiad oświadczając, że odwiedził go jakiś niemądry jegomość, który coś bąkał po angielsku (Litauer znał wtedy słabo język angielski) a potem napisał coś, czego on nigdy nie powiedział. Zdawało się, że Litauer polegnie, ale przetrwał i w r. 1938 na łamach „Queries”, czasopisma o krótkim żywocie, napisał artykuł, w którym tłumaczył, że Żydzi

polscy powinni emigrować do Palestyny. Była to idea lansowana wówczas przez MSZ, ale doprawdy było dziwne, że Litauer popierał ją właśnie w Anglii.

Litauer, *une selle pour tous les chevaux* — jak mawiał Władysław Mickiewicz, syn poety — ten urzędowy pochlebca, ma mocną pozycję w Londynie. Jest *persona grata* w Foreign Office, gdzie zachwalają go różne znakomitości tego resortu, ma wpływy w prasie londyńskiej i przyjmuje redaktorów wielkich dzienników w *Ecu de France*. Jego prezesura w Foreign Press Association w Londynie daje mu doskonały punkt, nie tylko obserwacyjny. Wiele wskazywałoby na to, że jest on na usługach wywiadu brytyjskiego (został kiedyś wycofany z poselstwa w Moskwie pod zarzutem pracy dla wywiadu polskiego). Jest rzeczą ciekawą, że stanowisko angielskie wobec ludzi wywiadu jest odmienne od kontynentalnego: dla nas wywiadowca to „łaps”, to ciemna figura — w Anglii to albo bohater narodowy (Lawrence) albo człowiek przygody. Iluż pisarzy angielskich było i jest na żołdzie *Intelligence Service* i nie tylko ich to nie hańbi, ale dodaje nawet splendoru.

W czasie londyńskiej wizyty Becka rozmawiałem z ludźmi jego otoczenia: Łubieńskim, Bodeńskim. Uderzyło mnie, że wierzą oni w geniusz swojego ministra, który wydaje mi się na oko arrogantem o oficerskich czy kawalerskich manierach. Mam uprzedzenie do Becka od czasu kiedy w dobie wizyty Barthou w Polsce zamknął prasie drogę do rozmowy z nim, a w czasie jego wizyty na Wawelu zamknął dosłownie (nakazując zamknąć nas w katedrze). Ta pogarda dla prasy przejawiała się w czasie jego wizyty, w r. 1934 w Berlinie, o której mówiono mi jeszcze w r. 1935 kiedy zjawiłem się sam w stolicy Trzeciej Rzeszy. Dziennikarze zagraniczni byli wściekli, że na przyjęciu w ambasadzie polskiej Beck rozmawiał w salonie z Göringiem, Lipskim oraz z dyplomatami obcymi a zignorował prasę, która tłoczyła się w drugim pokoju i gdzie jeden z przedstawicieli tejże ambasady — jak mi mówił korespondent berliński *Manchester Guardian* — tłumaczył, że Czechosłowacja jest operetkowym państwem i że należałoby dokonać jej rozbioru.

Otoczenie Becka wierzy święcie, że sojusz z Anglią to niebывала rzecz dla Polski, że zahamuje poczynania Hitlera, że Hitler się zreflektuje, że Anglia jest potęgą, itd. Trudno mi było potwierdzić te tezy i mój brak entuzjazmu najwidoczniej ubódl rozmówców. Powiedziałem co myślę o potędze Niemiec, o istotnym planie Hitlera, wypowiedziałem swoje uwagi o słabości militarnej Anglii.

3 maja słuchaliśmy przez BBC przemówienia Becka w Sejmie. To jasne, że będziemy walczyć. Ale kto nam przyjdzie z pomocą?

Niesposób się oprzeć wrażeniu, że koalicja anty-hitlerowska montowana jest przez Anglię za późno (Churchill uważa,

że Monachium przetrąciło kręgosłup takiej koalicji), połowicznie a jednocześnie zbyt pośpiesznie. Anglia liczy, że Berlin się przestraszy: ale czy tak będzie? Czy Anglia nie łudzi się, że jej groźby i gwarancje mają dzisiaj takie znaczenie i wagę jak w r. 1914 albo wcześniej? Anglia chciałaby, ażeby Rosja weszła do sojuszu — ale jak? Rosja postawi zbyt wygórowane warunki: prawo przemarszu wojsk przez państwa bałtyckie i przez Polskę. Od nas zależy wiele — ale czy możemy zgodzić się na przemarsz wojsk sowieckich? Jest to straszliwy węzeł i nie widać kto go może rozwiązać.

Gwarancja angielska jest *novum*, osobliwym i niemal niepokojącym, w polityce angielskiej, ale czy Anglia gotowa jest wykonać sojusz? Czy ma odpowiednie siły? Wiemy przecież dzisiaj, że w dobie alarmów monachijskich w Hyde Parku montowano stare karabiny maszynowe jako obronę przeciwlotniczą, że Lindbergh odegrał rolę w kapitulacji monachijskiej swoją rozmową z Chamberlainem, któremu miał powiedzieć, że ocenia „park lotniczy” Niemiec na 14 do 20 tysięcy maszyn. Francja jest słaba a widok Daladiera i Bonnet na konferencjach prasowych w Londynie był przygnębiający: Francja chce wymigać się od akcji groźbami, ale panicznie boi się wojny.

Polacy uważają, że złapali Pana Boga za nogi, zawierając sojusz z Anglią. Ale czy tak jest? Co będzie z Rosją? Anglia będzie paktować z Moskwą — ale czy nie ubiegnie Anglii Berlin? Pogłoski, o których wiosną mówił Raczyński, rosną na sile.

11 lipca 1939 r.

W pamięci tych tygodni, które niosą nas nieuchronnie ku wojnie utkwiła wizyta Ignacego Matuszewskiego. Było to na *lunch'u* u Raczyńskich — Matuszewski odciągnął mnie w pewnej chwili na bok i spytał, patrząc przenikliwymi oczyma krótkowidza: „czy pan sądzi, że Anglia uderzy na Niemcy spiesząc nam z pomocą na wypadek niemieckiej agresji... czy będzie czekać aż zostanie sama zaatakowana?”. Zdumiony byłem jasnym postawieniem sprawy przez Matuszewskiego: ten człowiek na pewno widzi sytuację. Z kilku poprzednich z nim kontaktów w Warszawie, i to bardzo urywkowych, wyniosłem wrażenie, że jest to jeden z najbystrzejszych ludzi w Polsce.

Natomiast żalosne wrażenie odniosłem z odczytu Jana Jundziłła-Balińskiego, który zjawił się tutaj, aby mówić o polskiej polityce zagranicznej. Baliński przemawiał na zebraniu *Anglo-Polish Society* w Langham Hotel (w dwa dni potem miał mówić w Chatham House). Przybyło sporo osób z uwagi na temat (Polska jest tutaj wcale popularna od czasu sojuszu). Prof. William Rose pilotował gościa z Warszawy, który nie przygotował swojego odczytu i „dukał” skandalicznie. Odczyt jego był stekiem nieudolnych banałów wypowiedzianych fatalną angielszczyzną.

Prof. Rose, chcąc salwować Jundziłła-Balińskiego orzekł, że należy jak najszybciej przejść do dyskusji, w której prelegent będzie *let's hope... more happy*. Niestety, było jeszcze gorzej (o ile to w ogóle możliwe). Na pytania — bardzo znamienne — jaki jest stosunek Polski do Rosji (Anglicy ciągle jeszcze liczą na *deal* z Moskwą bez którego układ z Polską wydaje się im niekompletny), Baliński odparł: *we don't believe in Russia*. Rose pośpieszył wyjaśnić, że Baliński chciał powiedzieć, że *we don't trust Russia*. W dalszych jakaniach Balińskiego znaleźliśmy rewelację, że Rosja jest militarnie słaba i że nie warto zawierać z nią sojuszu i że rząd sowiecki nie odważy się nawet rozdać broni żołnierzom albowiem obawiałby się o własny los. Skóra na mnie cierpła, słuchając tych osobliwości. Mój Boże, jakąż zarozumiałością pokarałeś mój biedny kraj! Jak słabo orientujemy się w potęgze Niemiec i Rosji! I jak uporczywie myślimy, że jeżeli Hitler uderzy, to uderzy w nas — a nie *poprzez* nas, dalej. I jacyż to ludzie mówią zagranicą o nas: dlaczego musimy wybierać zawsze przeciętniaków albo zgoła głupców, albo mętnych spryciarzy, albo — jak w tym wypadku — ludzi tak żałośnie źle poinformowanych i nieprzygotowanych do roli informatorów o swoim kraju?

27 sierpnia 1939 r.

Byłem przez 5 dni w Berlinie. W ambasadzie Lipski zachowuje spokój i jakby chciał mieć wizję pokoju: mówi mi, że rektor von Arnim, prezes Tow. Polsko-Niemieckiego, które zawiesiło swoją działalność od dłuższego już czasu, chce teraz zwiększyć ilość stypendystów niemieckich uczących się polskiego. Zaleca nie przesadzać w alarmach. Na *lunch'u* w ambasadzie obecny był berliński korespondent PAT'a, Stanisław Dembiński, który właśnie przyjechał samochodem z Polski. Polska, mówi z historycznym patosem, jest jednym obozem wojennym. A co Niemcy? pytam. Nikt nie chce dać szczerzej odpowiedzi.

Attaché lotniczy, którego odwiedzam, zwierza mi się, że robotnicy niemieccy nie chcą wojny (ma na to dowody w malarzu, który maluje płot w jego ogrodzie: powiedział naszemu attaché, że jeśli syna wzięli do wojska, to woli go zabić, aniżeli posłać na front). Ale attaché prasowy, Wnorowski, którego zdrowy sąd nauczył się cenić za mojego pobytu w Berlinie, wyciąga mnie na spacer do Tiergartenu i pyta się z troską, na kiedy mam zamówiony samolot do Londynu: wojna jest kwestią dni. Idę zaraz po tej rozmowie do biura „Mitropy” na Unter den Linden, ażeby sprawdzić rezerwację biletu. W *Café Schoen* widzę zgarbioną sylwetkę Jana Erdmana z prasy czerwonej. Przysiadam się do niego: powiada mi, że wraca z objazdu Prus wschodnich, widział tam „rozmówki polsko-niemieckie”, które wypadły z tor-nistra jakiegoś zalanego w karczmie żołnierza niemieckiego —

w tych rozmówkach znajdują się ciekawe zdania: „gdzie siano?”, „gdzie woda?” Oczywiście przygotowania do rychłej inwazji: Prusy wschodnie roją się od wojska. Przyjaciel Erdmana, korespondent sportowy „Voelkischer Beobachter” ostrzegł go po starej znajomości, aby związał manatki i wyjechał z Warszawy w świat: „uderzymy na was w końcu sierpnia, najdalej 1 września”. Słucham relacji Erdmana: oto autentyk, jak pijane wywody mojego S-A Manna z Norymbergi sprzed lat trzech.

U Raczyńskich kolacja: obecny Litauer i Czarnomski, korespondent „Kuriera Warszawskiego”. Akurat w wieczór kiedy ogłoszono wiadomość o wizycie Ribbentropa w Moskwie. Litauer przyszedł z tą nowiną od telefonu: Raczyński zbladł — „to rozbiór Polski”. Litauer był ostrożniejszy, ale widzi w tym ostatnie przygotowania przed atakiem. Przychyliłem się do obaw Raczyńskiego — teraz cały plan rysuje się wyraźnie. A co będzie z naszą gwarancją na wypadek uderzenia Rosji na nas? Jeden Czarnomski bagatelizuje sprawę: jest zaślepiony potęgą Anglii, jak niejeden co nie wyjeżdżał z tego kraju i nie zna Niemiec; informuje Vernon Bartletta z *News Chronicle*, że to wszystko to tylko bluff.

Dr Bodeński, przysłany do ambasady z Warszawy — ma on do pomocy Tadeusza Lutosławskiego, który jest jednym z nie-licznych autentycznych propagandzistów, znających wybornie angielski — zapewnia mnie uroczyście, że „teraz zacznę mówić nasz minister” (Beck). Tak jakby mówienie Becka mogło jeszcze coś zmienić w postępie katastrofy, która zwali się na nas lada dzień.

5 września 1939 r.

Straszne dni. Rano 1-go września w ambasadzie: Raczyński idzie do Halifaxa. Potem przy radio na Gower Street, gdzie z Czarnomskim mamy wspólne biuro — ja dla „IKC”, on dla agencji Kępcicza z Warszawy. Coraz gorsze wieści. Anglia się waha, Paryż się waha. Wreszcie 3 września Anglia wypowiada wojnę — widać jak niechętnie. I wciąga Francję: za włosy, jak powiedzieliśmy sobie z Wacławem Zbyszewskim, który jest ożywczy w swoim pesymizmie. On pierwszy zapytał się: „a co teraz robi Stalin?”. Istotnie, co robi? Na razie czeka — ale jak długo?

W Anglii maszyna wojenna rozkręca się powoli, zbyt powoli. Litauer zapewnia, że Hore-Belisha ma plan ataku. Jak, gdzie? Na linię Zygfryda?

22 września 1939 r.

17 września uderzyła Rosja. Byłem przy redagowaniu przez Raczyńskiego noty do Halifaxa. Ale to nic pomoże: było jasne,

że gwarancja angielska obowiązuje tylko na wypadek ataku Hitlera, że tylko jedna strona Polski jest kryta gwarancją. Anglia spodziewała się do ostatniej chwili dostać re-gwarancję sowiecką, Moskwa miała odegrać rolę *Lloyds underwriters*. Widać jak niekompletny, jednostronny był ten sojusz, robiony w pośpiechu. Anglia nie pomogła nam w walce z Hitlerem: rok 1914 nie powtórzył się — geografia była przeciwko nam, ale także nie było w Anglii istotnej woli wykonania tego egzotycznego sojuszu. Anglia nie miała czym uderzyć na Niemcy. Mogła to zrobić Francja: ale ta bała się jeszcze więcej niż Londyn.

I co dalej? Zaczyna się wojna, którą Ewer z „Daily Herald” określił na konferencji w Ministry of Information mianem *Bore War*, persyflaż słowny *Boer War*. Polska dogasa: byłem przy nadawaniu apelu Raczyńskiego przez mikrofon BBC do Prezydenta miasta Warszawy. Bezsilność pozostanie zawsze najbardziej poniżającym uczuciem.

Gorzej, że na froncie zachodnim nic się nie dzieje. Francja i Anglia nie ruszą się chyba. Będą czekały. Na co? Na cios?

15 grudnia 1939 r.

W tym przygnębiającym okresie kilka polskich wydarzeń: był tutaj August Zaleski, który wygłosił przemówienie na obiedzie w *Criterion Restaurant* na Piccadilly Circus; mówił też Jan Masaryk ze swadą, amerykańskim akcentem, z humorem, jasno. Zaleski mówił źle, nudno, powtarzał swoje *bon mot* o wojnie punickiej, stosując analogię do Niemiec. Trzeba by zatem wnioskować, że jest zwolennikiem tezy *caeterum censeo, Carthaginam delendam esse*. Zdumiało mnie to, że Zaleski, którego prof. Harold Laski, filar *London School of Economics*, uważał kiedyś za jednego ze swoich *most brilliant pupils*, tak kiepsko mówi po angielsku, tak niewiele ma do powiedzenia; poza tym robi wrażenie człowieka znudzonego sobą i światem.

Gen. Sikorski nie spisał się lepiej w *Savoy*’u na obiedzie wydanym przez Foreign Press Association. Litauer, ten od dytambu na cześć Becka sprzed kilku zaledwie miesięcy, teraz chwali Sikorskiego ile wlezie. Ale nie pokonał on Józefa Retingera, cygana, brata-latę, polityka na pograniczu wywiadu (to chyba Conrad zaprotegował go do wywiadu brytyjskiego w czasie pierwszej wojny?) Retinger był wtedy w Hiszpanii, potem snuł jakieś niejasne intrygi w Meksyku przeciwko Amerykanom: przed wojną odwiedzałem go parę razy na Rupert Street, w nędznym mieszkanku, gdzie mieszkał czas jakiś Julek Żuławski, poeta, brat malarza, Marka. Bieda była tam wielka; teraz Retinger został re-aktywowany pono w wywiadzie brytyjskim i jest *persona grata* przy Sikorskim.

Sikorski ufa mu jako znawcy Anglii. Zabawne jest to, że do niedawna Retinger nie miał prawa wstępu do ambasady w Lon-

dynie: dzisiaj się to skończyło i przyjechał on z Paryża z gładem Sikorskiego. Retinger to presje brytyjskie, a Litauer to pograniczne chyba wywiadu — pytanie tylko jakiego i ilu? Litauer przedstawia mnie Sikorskiemu, który chwali pod niebiosa naszą robotę w sekcji polskiej BBC. Widać, że umie zjednywać sobie ludzi pochlebstwami — a sam kocha pochlebstwa, których Litauer mu nie szczędzi. Przemówienie Sikorskiego stanowi duże rozczarowanie: mówi lichą francuszczyzną, a to co mówi jest bardzo banalne (przecież Sikorski uchodził w Polsce za czołowego frankofila i siadywał sporo i długo w Paryżu?).

Te dwa wystąpienia polskie w Londynie nie nasuwają wesołych refleksyj.

11 kwietnia 1940 r.

Byłem we Francji przez 10 dni: wrażenie katastrofalne. Niechęć do walki, uzbrojenie złe, armia z r. 1918. Przejechałem kraj aż po Pireneje — ten sam obraz apatii i prostracji, czekania na cios. Wróciłem do Paryża i tam mówiłem z kilku znajomymi z Polski: radziłem im, ażeby jak najszybciej wyjechali z Francji do Ameryki. W tych warunkach Niemcy gładko przejdą przez Francję.

W Londynie był minister Zaleski: na obiedzie u ambasadora Raczyńskiego rozmowa o zamiarach Niemiec. Zaleski uważa, że spółka niemiecko-sowiecka jest trwała. Ale przecież dla Niemców Polska to tylko przedpole. To nie jest wystarczający temat dla gigantycznych ambicji Hitlera.

7 sierpnia 1940 r.

Powtórzył się rozgrom Polski: Francja upadła. Powtórzył się odwrót naszego rządu i armii. Niemal dokładnie: Sikorskiego przywiózł samolotem z Bordeaux Retinger; wódz naczelny i tym razem nie był z armią, zgubił się. Sosnkowski został jak we wrześniu 1939. Ci co krytykowali tak zajadle Rydza, Mościckiego powtórzyli wcale wiernie wzór sprzed niespełna roku. Notuję spotkanie z gen. Sikorskim: w Dorchester Hotel w Londynie zaraz po jego przylocie z Francji. Retinger wezwał mnie telefonem. Sikorski w pyjanie, zdenerwowany, nerwowo chodzący po pokoju — na łóżku rozrzucone: słownik polsko-angielski i jakieś samouczki polsko-angielskie — od razu napadł na własny rząd, zwłaszcza na Zaleskiego. Niezbyt ładny to popis wobec *outsider*’a. Tym atakiem chce oczywiście pokryć fakt, że nie bardzo wie gdzie jest jego armia, skąd się będzie ewakuować. Słowem Zaleszczyki nr 2.

Dostaję od Sikorskiego karteluszek, na którym zanotował on rozkaz do armii: mam go odczytywać parokrotnie przed mi-

krofonem BBC. Jest to rozkaz dla brygady Kopańskiego na Bliskim Wschodzie i dla oddziałów we Francji. Jadę do BBC ze ściśniętym sercem: od tej zabazgranej karteczki zależy tyle. I znowu klęska dopadła nas — po raz wtóry. Coraz mniej mam zaufania do ludzi, którzy prowadzą nasze sprawy. Sikorski mógł być doskonałym premierem w Polsce — ma zmysł intrygi, podwórkowej raczej, jest niebywale próżny, jego wiedza faktów wydaje się mocno pobieżna, jest na pewno dynamiczny, rozsądza go energia — ale jak to będzie w Anglii? Boję się o tym myśleć. Obstawiony jest poza tym ludźmi typu Retingera i Litauera i to wróży jak najgorzej.

2 lutego 1941 r.

Notuję nowy kontakt z Sikorskim, który już dwukrotnie dał się mi poznać ze strony wybitnie ujemnej: z incydentu ze Zbyszewskim i z zajścia z Lutosławskim. 12 maja 1940 Wacław Zbyszewski nadał z własnej inicjatywy i za zgodą Anglików notatkę o rocznicy zgonu Piłsudskiego: rząd polski w Paryżu nie miał nic lepszego do roboty jak interweniować w tej sprawie w BBC. Zbyszewskiego posłano później w żołdacy. Lutosławskiego Sikorski nie znosił, albowiem uważał go za „człowieka sanacji” (nigdy nim nie był). Lutosławskiego zabrano z radia do wojska; cała ta historia zajęła premierowi sporo czasu i to w bardzo gorącym momencie wojny. Jakże drobiazgowy jest ten nowy mąż opatrnościowy, jak mały w swoich vendettach.

Przed kilku dniami telefon do White House, bloku, gdzie mieszkam od czasu bombardowań lotniczych. „Mówi Retinger”. Prosi, ażeby przyjechać zaraz do Sikorskiego do Arlington House obok Ritza — nie zdążył nawet dokończyć zdania, Sikorski wyrывa mu słuchawkę: „co tam za idioci pracują w waszym radio?”. „Panie generale”, odpowiadam i czuję jak wzbiera we mnie pasja na te oficerskie maniery, „mamy speakerów i tłumaczy, lepszych i gorszych, ale nie znam idiotów”. „Co też pan opowiada — właśnie jakaś idiotka sekretarka...”. „Panie generale, może lepiej załatwimy to kiedy do pana przyjadę... O co chodzi?”. „Chodzi o niezmiernie ważną rzecz, a ja nie mogę nadać ostrzeżenia przez radio... chodzi o los kraju... tam się szykują groźne rzeczy...”. „Zaraz będę u pana”. „Proszę łapać taksówkę i przyjeżdżać, to musi być zaraz nadane do kraju”.

Na szczęście łapię taxi pod blokiem, noc jest niespokojna, nalot aż trzeszczy. Za dobrą zapłatą taksjarsz wiezie mnie do Arlington House i obiecuje czekać: potem mamy jechać do *Maida Vale Studios*, gdzie pod szklanym dachem — to dawna ślizgawka! — przycupły sekcje zagraniczne BBC. Dzwonię do flatu Sikorskiego na parterze, otwiera Retinger, który już na mnie czyhał: ostrzega na progu: „generał jest wściekły”. Nie

nowina. Sikorski w rozpiętym mundurze spaceruje po pokoju, zalterowany. „Ta idiotka sekretarka... kto to jest?”. Okazuje się, że premier telefonował do sekcji polskiej BBC trafił na przerwę w audycjach, całe bractwo było na kolacji w kantine — był to mój dzień wolny od pracy — i przyjęła jego telefon nasza sekretarka, Hanka Duszyńska. „Czy jest tam któryś z idiotów? Tu mówi Sikorski” — zagał premier. „Panie generale, odpowiedziała Duszyńska z godnością, my nie mamy w sekcji idiotów. Tłumacze są na kolacji. Czym mogę panu generałowi służyć?”. To wprawiło Sikorskiego w furję. Kazał zgłosić się biednej dziewczynie do „raportu karnego”.

Jaki *message* chce dać Sikorski do kraju? Ostrzeżenie, że w „rocznicę powstania styczniowego, 29 stycznia Niemcy chcą sprowokować strajk kolejowy a potem go stłumić”. Chce ostrzec kolejarzy, ażeby nie ulegli prowokacji.

Jadę pod bombami do *Maida Vale*, nadaję *message* za zgodą cenzora, który siedzi w studio i rozpoznaje podpis Sikorskiego na kartce — zdążyłem akurat na audycję zdyszany z Arlington House. Wracam do naszego biura przez mroczne korytarze: zaciemnienie. Hanka Duszyńska płacze i opowiada mi o całej przeprawie. Pocieszam ją, że nic nie będzie, że jest tak ładna, iż serce generała zaraz zmięknie i że cały „raport karny” będzie farsą. Niech idzie jutro spokojnie do hotelu Rubens. Za chwilę telefon od Retingera: „Co pan najlepszego zrobił, panie Zbigniewie?”. „O co panu chodzi, panie Józefie?”. „O nadany przez pana *message*... data zła”. „Jako?”. „No bo przecież rocznica powstania styczniowego jest 22 stycznia a nie 29-go... to powstanie listopadowe... Pomyłka”. „Pan wybacz, nie moja wina... w takim pośpiechu trudno pamiętać o historii”.

Jeżeli to jest nasza służba informacyjna do kraju, jeżeli w takim bałaganie odprawia się urzędowanie i decyduje o ważnych rzeczach (a „kochany Recio” na pewno walnie ten bałagan wspomaga), to niczemu dziwić się nie można. Coraz zabawniej i coraz smutniej wygląda ten zespół polski.

23 sierpnia 1941 r.

Wiele stało się w tym czasie. Od wiosny doniesienia z Polski via neutralów, że gotuje się atak Hitlera na Moskwę. 15 czerwca dałem do „Sunday Times”, gdzie co tydzień zamieszczam kronikę o Polsce okupowanej, wiadomość o ruchach wojsk niemieckich i o tym, że Hitler może uderzyć na Rosję lada chwila. Wiadomość ta idzie — chociaż na ostatniej stronie pisma, bez żadnego *splash'u*. Przypuszczam, że Anglicy musieli dużo już wiedzieć na ten temat.

W kołach polskich wszakże nikt w to nie wierzył: pono Sikorski złożył z wiosną rb. memoriał w Foreign Office dowodzący, że ataku takiego nie będzie i że przyjaźń Hitlera ze Sta-

linem jest trwała. Gdy zaś Hitler uderzył, dokładnie w dzień ataku Napoleona na Rosję (zły omen?) Sikorski ogłosił skwapliwie wywiad w jednym z pism niedzielnych głoszący, że Hitler rozbije Rosję w kilka tygodni. Oczywiście, tak się nie stało. Zapowiada się długa, mordercza walka. Rosja jest wielka, głęboka.

Układ polsko-sowiecki jest złym układem, bo ludzi kraj i nas wszystkich, że *tout va très bien, madame la marquise*. Jest jasne, że Rosja uznaje linię Mołotow-Ribbentrop, że ziemie wschodnie są stracone i że poza wyciągnięciem Polaków z Rosji — co jest na pewno bardzo ważne — układ ten nie daje niczego. Nie daje nawet zobowiązania uszanowania naszej niepodległości i niezależności na przyszłość. A to jest moment ważniejszy od problemu granic.

Słyszę, że po naszej stronie układ ten przygotowywano „na kolanie” — dokładnie na kolanach Retingera i Litauera. Radca prawny MSZ Kułski mówił mi na ten temat gorzkie i niepokojące rzeczy. Retinger i Litauer są jednak agentami — na to nie ma rady. Nacisk ich na pewno nie był i nie jest nigdy wskazany. Żaleski podał się do dymisji. Eden, który nie potrafił postawić się Rosji — w Anglii panuje obawa „czerwonego Vichy”, dogadania się Stalina z zwycięskim Hitlerem, wyjścia Rosji z aliansu, jak się to stało w pierwszej wojnie: takie obawy ma na pewno Churchill, który pamięta dobrze wzór pierwszej wojny — kazał podpisać Sikorskiemu *on the dotted line*, zostawiając Sikorskiemu i Żaleskiemu kilka minut czasu do namysłu w sąsiednim pokoju. Traktują nas zatem jak szejków arabskich. Dlaczego ten pośpiech, ten, jak mówią nasi gospodarze, *unholy haste*?

Z chwilą zawarcia układu Londyn-Moskwa (też w niebywałym pośpiechu; Anglia zdradziła się jak czekała bardzo na wybuch wojny Hitler-Stalin; to dopiero daje szanse zwycięstwa nad Niemcami; jest to na pewno słuszna kalkulacja; jeżeli ktoś zetrze potęgę niemiecką, to tylko Rosja; bombardowania brytyjskie nie złamią na pewno Niemiec) nasz sojusz z Anglią się dewaluował. Teraz dopiero ujawniło się w pełni to co trapiło wielu od wiosny 1939 r. — czy sojusz anglo-polski jest samodzielny, czy tylko cząstkowy, czy potrzebuje re-gwarancji sowieckiej? Ale czy Polacy zdają sobie sprawę z tej dewaluacji sojuszu z W. Brytanią? Prof. Stroński, uroczy dowcipniś, „pijane dziecko we mgle”, aby użyć wyrażenia Boy’a, pytał mnie w taksówce, która nas wiozła do BBC, gdzie prof. Stroński wygłasza co tydzień swoje pogadanki (mocno nieraz niewybredne w swoich dowcipach o Niemcach a prawie zawsze nadmiernie optymistyczne: jakże się ten kraj okłamuje! Czy zawsze musimy okłamywać nasze społeczeństwo? Czy nie zasługuje ono na zaufanie i słowa prawdy?) pytał się mnie, dlaczego nie cieszę się z oświadczenia Edena w Izbie Gmin. „Przecież to wielki sukces. Przecież Anglia jest za nami... przecież nasz sojusz... Anglia

nie uznaje zmian terytorialnych...”. „Panie profesorze, czyż pan nie widzi, że dla Anglii sojusz z Rosją jest o tyle ważniejszy aniżeli sojusz z nami, że Anglia coraz bardziej umywa ręce od naszych spraw? Że oświadczenie Edena wyraźnie wskazuje, że Anglia wprawdzie nie uznaje zmian terytorialnych doby wojny, zmian w wyniku układu Ribbentrop-Mołotow, ale jednak stwierdza, że nie gwarantowała granic wschodnich Polski... w czym trzyma się prawdy”. Prof. Stroński tego nie widzi, jest pogodnym optymistą i konfiskuje, jak się tylko da nasze artykuły w „Wiadomościach Polskich”, gdzie staramy się przemycić myśl, że kresy wschodnie są przegrane — i że nie tylko to: że losy Polski wchodzą w erę dużej niepewności.

Prof. Stroński jest skrajnym przedstawicielem zgubnego optymizmu; Sikorskiego optymizm jest bardziej miarkowany. W obu wypadkach, w każdym wypadku optymizm jest groźny — jak słusznie ktoś powiedział Polacy powinni przyjmować zawsze raczej najgorszą możliwość i że zbyt często najgorsze jest właśnie naszym udziałem. Mamy na pewno pecha w historii i nie nie wskazuje na to, ażeby nasza *passa* się zmieniła.

Tylko zdrowy pesymizm może nas jeszcze uratować z matni, w którą wpakowała nas nie tylko sytuacja, nie tylko nasze fatalne położenie, ale także i nasza wola *self-deception*, samoułudzenia się. Przecież nie od dzisiaj powinno być wiadome tym co kierują naszymi losami, że sojusz z Anglią był od początku niedostateczny, że w jego tle poruszała się cały czas re-gwarancja sowiecka, że Anglia była i jest słaba w porównaniu z mocarstwem okresu pierwszej wojny, że nie zmieniła nagle swojego nastawienia wobec Europy wschodniej, która Anglię niewiele obchodziła i że z chwilą wejścia Rosji do wojny nasze papiery zlecą na łeb na szyję. Układ z Polską był w pewnej mierze chimera, a *whim* polityki angielskiej, która czekała cały czas na zaangażowanie się Rosji; sojusz z nami był *the second best* w braku układu z Moskwą. A my chcemy uparcie wierzyć do końca że Anglia bije się o nas, dla nas i przez nas. Tak być nie mogło. Kiedyż zbudzimy się z tego samo-odurzenia?

Kilkakrotnie wizyty generała Sikorskiego w Radio Polskim na Seymour Street w Londynie przekonują mnie, że ten próżny człowiek nie potrafi powiedzieć prawdy krajowi, albo przygotować kraj na tę prawdę, ostrzec go, że idą trudne czasy i że trzeba jednak oszczędzać sił i krwi.

Najlepsze wrażenie jako intelekt robi niewątpliwie generał Sosnkowski. Zachodzę do niego często na jego zaproszenie do pokoju, który przydzielono mu w ambasadzie. Sosnkowski ma tam swój „Sulejówkę” i chętnie rozmawia. Widzi on jasno wykres wojny: długi konflikt, przy czym porównuje on siły niemieckie do świecy topniejącej na blasze sowieckiej, podczas gdy siły sojusznicze do świecy, która wyrasta. Ale Sosnkowski, człowiek, który jest i przystępny dla cudzej opinii i nie rzuca

się na każde słowo powątpiewania, jest wspaniałym Hamletem. Choruje na chorobę woli. Jest pięknym zabytkiem.

Pociechę w tych przygnębiających czasach są „Wiadomości Polskie” Grydzewskiego. Tam Zygmunt Nowakowski, Ksawery Pruszyński i moja skromna osoba usiłujemy powiedzieć słowa prawdy. Pruszyński idzie najdalej: widzi Polskę przesuniętą na Zachód, granice wschodnie stracone w tej nowej przeprowadzce. Pozwoliłem sobie zaatakować konieczność takiego rozwiązania. Ale Pruszyński ma odwagę postawienia sprawy; kto uważnie czyta jego artykuły, ten widzi, że orientuje się on czym pachnie przyszłość.

Czyż w naszym kraju publicyści i pisarze mają być wyrazicielami politycznej trzeźwości na tle mętnego optymizmu i romantycznych bredni polityków?

11 czerwca 1943 r.

Od szeregu miesięcy przychodzę do Prezydenta Raczkiewicza, aby o 9-tej rano z uderzeniem godziny zdać mu sprawę z tego co pisze prasa brytyjska i dodać swoje komentarze o nastrojach angielskich. Zaproponował mi tę pracę Zygmunt Hładki, radca poselstwa w Pradze czeskiej przed wojną; nie wiem czy jest dzisiaj zadowolony z tego polecenia, albowiem sączę stale pesymizm w uszy Prezydenta Raczkiewicza.

Raczkiewicz jest człowiekiem pełnym ogłady, świetnych manier, dużego poczucia hierarchii urzędowej, był na pewno dobrym i ludzkim administratorem, wzorowym urzędnikiem. Jest nadmiernie łagodny, zbyt miękki i nie jest na pewno silną jednostką (ale może to wina i jego zdrowia, które jest wyraźnie nietęgę). Ileż zależy od zdrowia — nasz sąd i na pewno nasze decyzje). Raczkiewicz nie jest człowiekiem walki: dlatego ci, co liczą, że potrafi się on przeciwstawić Sikorskiemu są kłopotliwymi psychologami — Sikorski jest dynamiczny, zawsze wygra w starciu z Raczkiewiczem. Tym bardziej, że Zaleski, który jest szarą eminencją u Raczkiewicza jest człowiekiem nieruchawym, immobilistą — przez lenistwo — patologicznego wprost formatu.

Zaleski przysłuchuje się moim raportom, przeważnie milczy: siedzi apatyczny i senny, czasem chyba drzemie. Widać w nim człowieka głęboko rozczarowanego, wielkiego pana bez przydziału, który był kiedyś Farysem i miał na pewno szerokie horyzonty — pod wpływem środowiska i lenistwa osunął się w rodzaj ironicznej śpiączki, wyrażającej pogardę dla ludzi, z którymi trzeba mu się „użerać”. Widać, że August Zaleski jest serdecznie znudzony światem a pewnie i sobą, jest dalej człowiekiem bystrym, ale dawno już nie ostrzonym na odpowiednich „kamieniach”, zna arkana dyplomacji, ale myślowo jest jeszcze w dobie Brianda i Stresemanna. Ale — w innym sensie niż Sosnkowski, który cierpi na chorobę woli — Zaleski jest człowie-

kiem immobilizmu, siedzenia na kanapie czy fotelu i „mienia za złe”. Kończy się to na proteście i odejściu — ale gdzie? Co dalej? Dokąd dąży Zaleski i Raczkiewicz? Do nowego Szczypiorna?

Sikorski przy całym bagażu śmieszności, prowincjonalności i tupetu, jest dynamiczny, on chce „coś zrobić”, chce być wszędzie, chociażby to nawet miała być nieraz przysłowiowa żaba u kowala. Ten dynamizm może śmieszyć i budzić wzruszenie ramion, albowiem nie zawsze widać sens tego dynamizmu i jego kierunek — może on przybierać zbyt często formę *waste*, pokazywania się, teatru, *showmanship*. Ale i on — a także Mikołajczyk — to ludzie żywi. Raczkiewicz i Zaleski robią wrażenie ludzi zmęczonych i przegranych.

Czego chce Zaleski jako kontrę przeciwko polityce Sikorskiego? Czy posunąłby się wraz z Raczkiewiczem do gestu Szczypiorna, a potem nowego Magdeburga? Czy umiałby przelicytować Sikorskiego w awansach wobec Rosji? Chyba nie. Kilka razy w rozmowach u Raczkiewicza Zaleski wspominał o tym, że powinniśmy nareszcie zacząć szantażować Anglików i że gdyby miał głos, to wtedy starałby się ich szachować — że wierzymy im ślepo i że ta nasza naiwność będzie surowo ukarana. Zgoda, ale co z tego: *so what?* Jakie wnioski chcą wyciągnąć z tego dwaj panowie z Bryanston Court, gdzie znajduje się londyńska siedziba Raczkiewicza? Przecież nie postawią na kartę sowiecką jak to czyni Benesz? Nie potrafili przeforsować nawet jedynej rozsądnej decyzji: przeniesienia rządu do USA, skoro od chwili sojuszu anglo-sowieckiego było już jasne, że spadamy katastrofalnie w cenie u naszych gospodarzy — od czasu wejścia Ameryki do wojny można było przerzucić działalność rządu tam, albowiem tak jak w r. 1939 o losach wojny i pokoju decydowała Anglia a nie Francja, tak od schyłku 1941 o losach wojny i pokoju decyduje na Zachodzie nie Anglia ale Ameryka. Dlaczego zostaliśmy w kraju, gdzie presje na nas będą rosły i gdzie nie mamy jakiego-takiego zaplecza w postaci Polonii?

Smutno mi pisać to wszystko, albowiem Raczkiewicz jest postacią tak ujmującą, o tak doskonałych manierach, których brakuje i Sikorskiemu i wielu jego ministrom (choćby takiemu Stańczykowi, figurze osobliwie nieciekawej). Jaka szkoda, że Raczkiewicz jest słaby, że jest chory, że waha się i lęka. I nie ma oparcia. Bo Sosnkowski jest jeszcze większym specem od wahań i politycznej scholastyki.

23 lipca 1943 r.

Sikorski zginął w Gibraltarze wśród steku pogłosek: utracił go Moskwa, Berlin, Londyn, swoi. Nie wiem, czy kiedyś ujawni się w pełni zagadka katastrofy: ale ci co orientują się w właściwościach rozbiegu lotniczego w Gibraltarze sądzą, że była

to jednak katastrofa a nie sabotaż. Czyj sabotaż? Niemiecki? Może — ale czy sięgnąłby aż tak daleko? A poza tym czy Niemcom zależałoby dzisiaj na usunięciu Sikorskiego? Sowiecki — bardzo wątpliwe: czy dałoby to takie korzyści Rosji? Angielski? Chociaż ta teza zyskała sobie — rzecz znamienita — największy obieg wśród rodaków, wykluczam ją. Byłaby to metoda zbyt niezgrabna. Sikorski nie był de Gaulle'm, który stawia się Anglikom i załazi im za skórę. Londyn mógł po cichu liczyć na nałamanie Sikorskiego do swoich potrzeb. Nie sądzę, ażeby krępowano się tu zbytnio jego osobą gdy przyjdzie czas.

Powstaje pytanie, czy zgon Sikorskiego istotnie zmienia sytuację? Tak i nie. Dla niego dobrze się stało, że los oszczędził mu ostatniego aktu dramatu. Z Sikorskim „zmaglowanie” nas byłoby o wiele trudniejsze — z każdym innym będzie o wiele łatwiejsze. Sikorski zyskał sobie prestiż zagranicą, miał imię — nieraz i przeważnie o wiele lepsze aniżeli u swoich. I to właśnie jest bodaj wszystko: z Sikorskim musiano by się nieco krępować; bez niego chyba już nie.

Mikołajczyk jest u steru, chociaż ten ster jest coraz bardziej wątpliwy, a morze coraz to bardziej wzburzone. Kursują pogłoski, że Mikołajczyk narzucony został Prezydentowi, że poza nim stoi Retinger. Dlaczego? Chyba dlatego, że Anglia chce użyć Mikołajczyka jako ostatniego atutu? W czym? W rokowaniach chyba z Moskwą, albowiem Anglia robi wszystko, aby zmusić nas do takich rokowań. Fakt, że po drugiej stronie wyrosła już ekipa ludzi pod batutą sowiecką, nie peszy zbytnio Londynu, polskiego Londynu. Ale to przecież jest najważniejsze w tej rozgrywce. Rosja ma swój polski rząd w zapasie, ma swoje plany wobec Polski po wojnie. I to jest sedno sytuacji. O tym Londyn polski nie chce myśleć. Ale co będzie jak wojska sowieckie przełamując linie niemieckie dojdą do Polski? Zwycięstwo sowieckie jest dzisiaj prawie pewne. Hitler przegrał w Rosji militarnie, a przede wszystkim moralnie. Nie potrafił dźwignąć buntu przeciwko *régime*'owi swoją głupotą, swoim bestialstwem.

Mikołajczyk jest politykiem, który nauczył się wiele (nawet po angielsku: bierze lekcje tego języka i potrafi się rozmówić). Jest to uparty samouk, ma pewien kaliber, jest bardzo próżny i uważa się przedwcześnie za człowieka opatrnościowego. Ale z tym wszystkim jest w nim jakiś realizm, chłopski, przyziemny, trzeźwy, godzien szacunku. Oczywiście, jest także zgubiony na wielkim świecie, ale inaczej aniżeli Sikorski. Gorzej, że wokoło niego są ludzie nie najlepiej po temu wyposażeni: prof. Kot, znakomity uczony, który niepotrzebnie wziął się do polityki i bawi się w mizerne rozrachunki personalne. (Stroński mógłby dzisiaj wyklądać romanistykę w Anglii, gdyby nie parat się polityką, Kot historię kultury polskiej. Byłoby to o wiele pożyteczniejsze dla naszej sprawy, aniżeli ich harce polityczne). Prof. Kot ponoszony jest także czasem megalomanią, jak wtedy

kiedy głosił, że ma „bombę, przy pomocy której wysadzi Stalina” (to uwaga w dobie rewelacji katyńskich).

Sikorski poddany być winien kiedyś spokojnej analizie. Ten człowiek raz raz! swoją bezgraniczną próżnością (w sprawozdaniu ze swojej rozmowy ze Stalinem powiedział przede wszystkim, że Stalin czytał jego książkę) i amatorstwem wojskowym (pamiętam jak w BBC poprawiano usterki geograficzne w pogadankach Sikorskiego, kiedy wsiadał na wielkiego konia światowej strategii) — ujmował za chwilę swoją energią, wolą zrobienia czegoś, wolą pracy dla Polski. Ujmował swoim dynamizmem. Pamiętam jak na kilka miesięcy przed śmiercią był na Seymour Street i skarżył się, że nie ma chwili czasu, że musi nawet swoje przemówienia sam pisać. „Dlaczego pan generał nie da tego Ksaweremu Pruszyńskiemu... doskonale by to zrobił” wyrwało mi się niewczesnie (napisałem sam dwie lub trzy mowy dla prezydenta Raczkiewicza, przy czym akcent położyłem na sytuacji światowej; starałem się zaznaczyć, że Polska jest tylko wycinkiem tej panoramy). Sikorski się nie obraził (jako szef chciał robić sam wszystko i nikomu chyba poza Retingerem nie ufał: jakże to znamienita cecha polskich szefów, którzy niczego nie delegują, wszystko biorą pod siebie i przepracowują się detalami!). „Na pewno Pruszyński napisałby dobrze, ale nie to, co ja chcę” zaśmiał się. „Panu jednak to na pewno nie dam niczego do napisania”. „Dlaczego, panie generale?”. „Bo jest pan okropnym pesymistą, nie wierzy pan w zwycięstwo naszej sprawy...”.

Istotnie, zyskałem sobie miano najgorszego pesymisty, człowieka, którego należy unikać. Taki jest u nas los tych, co chcą wyjść poza banał, co odważają się spojrzeć w przyszłość, co widzą rzeczy jasno. Ale urzędowo obowiązuje u nas mówienie przez długi czas: „jeszcze nic nie wiadomo”, a potem kiedy katastrofa się już wali, bronienie się: „któż to mógł przewidzieć?”. Otóż w tym sęk, że zawsze jest pewna garstka ludzi, którzy przewidują, ale ich nie tylko się nie słucha — albowiem na to można wysunąć argument, że nie reprezentują żadnej opinii i żadnej większości — lecz uparcie tłum ich głosy. Trzeba ich przemilczać, trzeba ich zapoznawać, trzeba im odbierać także i możliwość wypowiedzenia się. Aby nie było dowodów na piśmie, że jednak byli tacy, co przewidywali — z ryzykiem dla swej „popularności”.

Czy miałem uraz do Sikorskiego, czy nie sądzę go zbyt surowo na tych kartach? Jeżeli tak, to może dlatego — a raczej na pewno dlatego — że zbyt często oglądałem go w roli tak mocno niepoehlebnej. Przypominam sobie teraz incydent z panią Piłsudską. Po wydaniu jej pamiątek, które miały dobrą prasę w Anglii, urządzono w Grosvenor House lunch dla niej w ramach lunchów literackich organizowanych przez Christine Foyle. „córke firmy” na Charing Cross Road, jednego z największych na świecie antykwaratów książek. Pani Piłsudska była gościem

honorowym: Retinger zaprotestował przeciwko zbyt niskiemu pono „posadzeniu” Sikorskiego. Nie skończyło się na tej niegrzecznej i gorszącej interwencji. Pani Piłsudska powiedziała kilka skromnych słów po polsku: miała to przetłumaczyć Maria Patkaniowska, jedna z nielicznych autentycznych osób, które znają język angielski na wylot (i dlatego pewnie nie zaprosiło się jej nigdy do współpracy: mogła ona oddać na pewno lepsze usługi naszej sprawie, aniżeli gromada fircyków, która udawała propagandzistów za grube pieniądze rządowe; ale trudno, lubujemy się w niefachowości i amatorstwie). Patkaniowska nie doszła jednak do głosu, albowiem Retinger przesłał przewodniczącemu karteczkę z notatką, że nie ma potrzeby ażeby Patkaniowska tłumaczyła przemówienie i że generał Sikorski chce mówić...

Było to poniżające doświadczenie. Inna gorsząca scena — w odmiennym stylu i na szczęście wśród swoich — wydarzyła się po powrocie Sikorskiego z USA w jego londyńskiej rezydencji, w toku konferencji prasowej. Sikorski opowiadał szeroko o swoich triumfach w Ameryce, o tym jak to Roosevelt nas popiera, jakie jest nasze znaczenie, itd. — ale zebrani słuchali go raczej chłodno. Po prostu zaczęła już grać niewiara oraz przekonanie, że nie tylko nie jest tak doskonale jak opowiadają nasze koła urzędowe, ale przeciwnie, jest coraz gorzej. Sikorski czując ten chłód przeszedł do problemów militarnych, tłumacząc jak to Niemcy będą przeprowadzali się z Kaukazu na Krym — przy czym wykład ten można było kupić sobie przed kilku dniami za parę pensów w „Timesie” czy „Daily Telegraphie”: nie były to żadne rewelacje ani *inside information*.

Zygmunt Nowakowski, który tylko czekał na zaczepienie Sikorskiego, zagadnął: „dlaczego nie mówi pan, panie generale, o naszych granicach... dlaczego opowiada pan o strategii niemieckiej w Rosji?”. Sikorski spłonął purpurą i zaczął podniesionym głosem dowodzić, że prasa polska nie wierzy jego zapewnieniom, że pewne pisma starają się siać pesymizm, że nasze granice są zagrożone, że Anglia i Ameryka... że Zachód nas nie opuści. Był w tym także osobisty atak na Nowakowskiego i na „Wiadomości Polskie”, które najwidoczniej dokuczyły Sikorskiemu swoim pesymizmem i wątpliwościami. Sikorski zaczął krzyczeć na Nowakowskiego, ale wtedy Nowakowski dzwignął się zza stołu i wziął oburącz krzesło, jakby nim chciał cisnąć w premiera. Groźny i aktorski, głosem dobrze wytrenowanym na „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego, Nowakowski huknął: „A ja się pana, panie generale nie boję! A ja pana, panie generale, przekrzyczę!”.

I oto Sikorski zmiękł, zmalął, uląkł się głosu i gestu Nowakowskiego. Zebranie rozprzęgło się w fatalnym niesmaku. Sikorski począł pospiesznie rozmawiać z kilku politykami, widać było, jak doskonale potrafi sterować wśród małych komeraży i intryg, partyjnych rozgrywek. Na pewno był on doskonały na

nasze warunki: ale zgubił się w wielkim świecie. Ten wielki świat uderzył mu do głowy (jak na inny sposób uderzył Beckowi). Jego poczucie realności słabło z każdym rokiem, w miarę jak wzmagaly się dozy pochlebstw obcych, którymi go raczono — w dużej mierze po to, ażeby osłodzić gorzką pigułkę przygotowywaną nie od dzisiaj. Sikorski nie miał jasnej oceny sił ani Niemiec ani Rosji — sądzę, że jako Galicjanin z krwi i kości nigdy nie orientował się w Rosji, a Niemcy znał z drugiej ręki, nie widział Niemiec hitlerowskich na własne oczy. Los oszczędził mu ostatniego aktu dramatu i presyj, na pewno brutalnych i niecierpliwych, jakie stosować się będzie wobec Mikołajczyka. Chodzi bowiem teraz o to, ażeby rząd londyński mniej lub więcej zatwierdził stan rzeczy stworzony czy przygotowywany przez Stalina. Nie zazdroszczę Mikołajczykowi.

Chciałbym spojrzeć na Sikorskiego z odrobiną *charity*, bez której każda ocena człowieka wypada zbyt surowo, jeżeli nie wprost nieludzko. Był człowiekiem tragicznym, albowiem nie orientował się w grze sił w jaką był wplątany. Nie zdawał sobie sprawy z tego tragizmu. Całe to dla niego szczęście.

17 maja 1944 r.

Trudno jest pisać, albowiem wszystko jest zbyt jasne: ale nasze władze uprawiają z zapalem złudzenia — do końca. Cóż za bzdury słyszy się na zebraniach i komitetach takich czy innych! „Polska od może do może”, jak mawiał świetny warszawski dowcipniś, dr Słonimski, ojciec poety. Od Szczecina do Wilna i Krzemieńca. Kłamiemy sobie, kłamiemy krajowi: I to jest najgorsze, albowiem pociąga ofiary, coraz większe ofiary w ludziach. Czym ta Polska po wojnie będzie gospodarowała? Czas byłoby ten proces upustu krwi zahamować. Ale nie — brniemy dalej, dalej w długi na rachunku krwi zapominając, że istnieje związek między krwią i pracą mózgu. Wykrwawiony organizm nie potrafi myśleć. Napisałem o tym artykuł do pisma „W Drodze”, które wychodzi w Jerozolimie; tytuł szkicu „Krew i Mózg”. Coraz trudniej mi pisać dla „Polski Walczącej”, cenzura kroci moje wywody, które nie tają pesymizmu co do wyniku wojny pod względem politycznym. Terlecki broni mnie jak może i nie zapomnę mu nigdy jego lojalności i obrony swobody myślenia swoich współpracowników.

W Londynie w pełni iluzje: na zebraniu prasowym u ministra Tadeusza Romera, przemilego człowieka, pracowitego i światłego urzędnika, człowieka dobrych manier, jedyny głos rozsądku reprezentował Antoni Słonimski. Gdy Romer zapewniał nas, że będzie walczył o każdą polską wieś na kresach, Słonimski swoim spokojnym, precyzyjnym głosem oświadczył: „panowie, nie łudźmy się: wojnę z Niemcami wygraliśmy, ale wojnę z Rosją przegraliśmy”.

Cóż można powiedzieć o kraju, w którym poeci reprezentują trzeźwość polityczną, a ministrowie spraw zagranicznych poetyzują??

7 sierpnia 1944 r.

Katastrofa Powstania Warszawskiego: czyż doprawdy trzeba nam jeszcze i tej kropli dla przelania miary? Orientowałem się, że do tej akcji dojdzie: od jakiegoś czasu zachodzę na godzinę — dwie do biura Sosnkowskiego, którego kwatera wodza naczelnego znajduje się w hotelu Rubens. Poprosił mnie o to ambasador Lipski i znany sprzed wojny z ambasady londyńskiej uroczy Jan Tomaszewski. Piszę codziennie mały raport o tym, co donosi prasa brytyjska i dodaję swoje komentarze o sytuacji — tchną one nieodmiennie pesymizmem. Pokazywano mi przed wyjazdem Sosnkowskiego do Włoch i na Bliski Wschód plany mobilizacji sił podziemnych w Polsce. Widać było, że rzucimy w pewnej chwili i tę kartę na stół. Do gen. Sosnkowskiego, nota bene, przez 4 miesiące mojej skromnej pracy dostać się nie mogłem: chociaż dawniej miał zawsze czas na rozmowy z *outsiderem* i pesymistą, teraz nie starczyło ani chwili (a może ostrzegano go, żeby lepiej nie rozmawiał z tak demoralizującą jak ja osobą?). Na pewno to co mógłbym powiedzieć Sosnkowskiemu nic a nic nie wpłynęłoby na przebieg wypadków, na pewno nic nie przedstawiam poza nieurzędową, najbardziej prywatną Kasadną — ale jednak, szkoda, że nie można założyć swojego protestu tam gdzie trzeba. Moje uwagi u Raczkiewicza niewiele też wskórały.

Zapał jest niebywały: na konferencji prasowej u generała Kukiela słyszymy, że trzeba będzie zaprząć do służby wojskowej nasze panie, kobiety na emigracji. Doskonały historyk, uroczy człowiek ulega jakiejś obsesji militarnej: po co mamy stawiać wszędzie i zawsze karku? Po co mamy wyciągać naszą młodzież ze szkół i ze studiów? I komu do szczęścia potrzebne są polskie ATS czy inne formacje kobiece? I po co łaknie tych ofiar przeznaczyć cywil w gruncie rzeczy, dr Kukiel?

W chwili kiedy nadeszła wieść o wybuchu Powstania byłem akurat u Prezydenta. Zapytał się mnie o zdanie: co o tym sądzę? Odpowiedziałem, że jestem tylko zwykłym obywatelem, że nie mam żadnych wpływów, że nie należę do żadnej partii, że reprezentuję tylko siebie. „Jako ten szary obywatel, który trochę zna sytuację w Anglii przez lata pobytu... pozwalam sobie stwierdzić, że powstanie jest pomyłką, że sojusznicy nam nie pomogą, a jeżeli pomogą, to niedostatecznie... oszczędzajmy krew, dosyć ofiar... trzeba odwołać powstanie w Warszawie”.

Ale Prezydent jest innego zdania. Ambasador Raczynski, który wpadł do Prezydenta pyta się mnie w przedpokoj, czy

nie mógłbym pomóc w rozgłoszeniu powstania w prasie angielskiej. Odpowiadam, że na pewno Anglicy zrobią co będą uważali za właściwe, że jest to wielka i dla nich *story*, ale że sam nie przyłożę ręki do rozgłoszenia czegoś, co powinno być odwołane.

Pytanie naczelne: kto dał rozkaz? Podobno Sosnkowski był *contra* — ale był nieobecny w Londynie. A zatem Mikołajczyk? Po co? Ażeby powiedzieć Stalinowi: „Panie Stalin, pan ma przedpole Warszawy, ale ja mam stolicę”. Jako atut w grze z Kremlm? Jeżeli tak, to jest to groźna mania wielkości. Niemcy nie mają już siły, ażeby nadwerężyć Rosjan, ale dosyć siły, ażeby rozbić Warszawę. Ludzie w Warszawie nie mogli się orientować w sytuacji: nie mogli pobierać decyzji, a jeżeli parli do walki — a ich wola zemsty jest zrozumiała — to jednak trzeba ich było od tego odwieść. Nic nie pomoże twierdzenie, że były koncentracje tak i owak, że Armii Krajowej nie dało się już dłużej trzymać na uwięzi. Ludzie w Warszawie byli w sytuacji tych, co siedząc w piwnicy mają po bucikach przechodzących osób poznać kto zacz. Nie można od nich wymagać zbyt wiele. Ale my tu w Londynie wiedzieliśmy nie od dzisiaj jak sprawy stoją. I że nam nie pomogą. I że nie ma odpowiednich sił, nawet lotniczych, na odsiecz. Więc po co? Czy nie dosyć hekatomb?

21 kwietnia 1945 r.

To raczej już tylko epitafium tych notatek nadziei, czarnych spodziewań i rozczarowań — chociaż jeszcze tłuką się wśród nas tragikomiczne gesty: prof. Pragier na konferencji prasowej głosi — przed prasą zagraniczną i polską — że „jeszcze jesteśmy rządem”, że nie należy ulegać panice. Jakby nie było już dawno wyroku i jakby władza nie przeniosła się już dawno gdzie indziej. Wszelkie próby *via Retinger*, skoki spadochronowe w Polsce, przywożenie Arciszewskiego, to tragicznie spóźnione poczynania. Jest za późno. Anglii nie udało się stworzenie żadnego przyczółka mostowego w Polsce.

Mówiłem u Prezydenta Raczkiewicza o potrzebie uratowania funduszy przez stworzenie m.in. Instytutu polsko-angielskiego, którego pierwszym zadaniem byłoby opracowanie dobrego słownika polsko-angielskiego. Narzuca się także konieczność stworzenia polskiej placówki wydawniczej, kupna drukarni. Ale o tym nikt nie chce myśleć. Jacys mętni cwaniacy tworzą wydawnictwa.

Była delegacja u jednego z ministrów; delegacja ta wspominała o potrzebie założenia instytutu polsko-angielskiego, uratowania funduszy. Folkierski odpowiedział delegatom: „Ależ panowie, my jeszcze rządzimy”. Slepota do końca.

Doskonały ongiś filozof, zacny prof. Żółtowski, także ofiara polityki, z której nie wiele rozumie, głosi, że wszystko przegrane na rzecz komunizmu. „Niekoniecznie panie profesorze...”. „Komunizm zaleje Europę, to nowa wiara!”. „Jeżeli to jest nowa wiara, to należy w takim razie stawiać na herytyków. Religię rozbić można tylko schizmami”.

W tych warunkach, kiedy coraz więcej ludzi widzi, że gra w Londynie skończy się, coraz więcej ludzi pyta, czy nie powinno się wracać? Są spryciarze, którzy już poukładali sobie kariery i karierki. Ale są i tacy, co jak Ksawery Pruszyński są zdania, że tam jest nasze miejsce. Szczuje się na niego i uprawia przeciwko niemu niską kampanię. Obrzydzenie.

Prof. Grabski wywiesza rezolutnie hasło *Nil Desperandum* i ma bodaj rację — trzeba podziwiać wigor starego uczonego, który także sparzył się na polityce, ale jednak rozumie z niej więcej niż Stroński, Kot i inni. Grabski wraca. Mikołajczyk pojedzie do Polski, musi udowodnić Zachodowi, że współpraca z komunistami jest niemożliwa. Nikt inaczej mu nie uwierzy, tym bardziej, że jedzie Benesz i Masaryk. Jeżeli oni jadą — dlaczego nie jadą Polacy?

Tych co wracają do Polski z pobudek jasnego patriotyzmu: tam jest nasze miejsce — trzeba bronić. Nawet jeżeli za to spotykają cięgi i zarzuty sterowania „ku Warszawie”. Tak było zawsze w dobie katastrofy, że oskarżano tych, co szli do nowego ładu, co przyjmowali ten nowy ład i mówili, że nie ma innego wyjścia, że trzeba z tym nowym ładem się rozprawić — przez akt obecności. Jest to także akt odwagi: większy może niż pozostawanie na emigracji.

Katastrofa była nieunikniona. Jest to katastrofa historyczna Europy. Nasza dola jest funkcją tej katastrofy — upadku Europy. Czy mogło być inaczej? Tak: mogliśmy przyjąć katastrofę w lepszych warunkach. Bez tak strasznych strat w ludziach, bez całopalenia Warszawy, bez niezabezpieczenia się tutaj, na Zachodzie. I to jest nasza wina, wyłącznie nasza.

Przestałem chodzić do Raczkiewicza. Nie miało to celu. Wygłosiłem pesymistyczny odczyt, który w poszerzonej formie wydrukowałem jako „Przyszłość Polski”. I piszę dla wydawnictwa Grydzewskiego szkic pt. „Wiek klęski”, gdzie badam przyczyny naszego rozgromu.

Przed każdym z nas otwiera się pytanie: wracać czy zostać? Zostać tutaj, to oderwać się od wielkiego i groźnego procesu, który przetrawi nasz naród. Zostać tutaj, to szansa zrobienia niewiele dla kraju, trochę dla siebie — ale czy naprawdę tyle? To pytanie dręczyć nas będzie często, stale, latami.

Zbigniew GRABOWSKI

Kronika kulturalna

Kongres socjologów w Waszyngtonie

W pierwszych dniach września bieżącego roku odbył się w Waszyngtonie piąty międzynarodowy kongres socjologiczny. Jeśli chodzi o liczebność, kongres waszyngtoński ściągnął większą liczbę uczestników — ponad tysiąc osób — aniżeli każdy ze zjazdów dotychczasowych. Przyczynił się do tego fakt, iż zjazd odbywał się po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych, kraju zdecydowanie dominującym w światowej socjologii pod względem jakościowym i ilościowym (doroczny zjazd socjologów amerykańskich, poprzedzający kongres międzynarodowy, zgromadził ponad dwa tysiące uczestników). Ale pomimo liczego udziału gospodarzy zjazd waszyngtoński był w pełnym tego słowa znaczeniu kongresem międzynarodowym i jego uczestnicy reprezentowali wszystkie kontynenty świata. Po Stanach Zjednoczonych najliczniej stawiła się Europa, po Europie — kraje Azji, Ameryki Łacińskiej, Afryki i Środkowego Wschodu. Nowa Zelandia przysłała dwóch przedstawicieli, a Australia jednego, którym był Polak J. Zubrzycki, profesor socjologii na Uniwersytecie w Canberze.

Zajmując czołową pozycję co do ilości uczestników kongres waszyngtoński ustępował pierwszeństwa swym poprzednikom pod względem merytorycznym. Nie mógł się on równać kongresowi w Stresa (1959), który piszący te słowa również miał sposobność obserwować. Sesje plenarne kongresu w Stresa, czy poświęcone były diagnozie socjologii w jej kontekście społecznym, czy też debatowały nad stanem teorii socjologicznej i metodologii nauk społecznych lub też nad społecznymi skutkami planowania, utkwily w pamięci uczestników. Natomiast kongres waszyngtoński nie upamiętnił się żadnym wydarzeniem. Na obradach sekcyjnych każdy z obecnych zapewne wysłuchał kilku interesujących referatów. Czytelników *Kultury* zainteresuje fakt, iż takim jednomyślnie wyróżnionym odczytem był referat młodego socjologa polskiego, Andrzeja Malewskiego, nieobecnego w

Waszyngtonie, przedstawiony na sekcji obradującej nad socjologicznymi modelami i teoriami. Na ogół jednak przebieg kongresu waszyngtońskiego był bezbarwny i monotony. Większość przemówień powtarzała fakty, tezy i argumenty dobrze znane zainteresowanym danym zagadnieniem. Ponieważ referaty tego typu zabierały lwia część czasu posiedzeń plenarnych i sekcyjnych, w sumie kongres pozostawił w pamięci uczestników nie najlepsze wrażenie.

Inna była jeszcze przyczyna tego stanu rzeczy. Stosownie do programu, kongres miał dyskutować trzy zagadnienia. Określone one były tytułami: 1) Socjolodzy, politycy i opinia publiczna, 2) Socjologia rozwoju, 3) Istota i problemy teorii socjologicznej. Żadne z tych zagadnień nie zostało chyba dostatecznie sprecyzowane przez organizatorów kongresu, gdyż luźne związki łączyły przemówienia zarówno osób imiennie zaproszonych do zabrania głosu, jak i dyskutantów przemawiających ochotniczo i z własnej inspiracji. Tak na przykład pierwszy temat pobudził niektórych mówców do omawiania stosunków łączących socjologów i polityków danego kraju, innych do analizy związków wzajemnej zależności między polityką i socjologią, innych jeszcze do opisu społecznego zainteresowania zagadnieniami socjologii. Z okazji drugiego tematu można było dyskutować prawie każde zagadnienie. Na przykład piszący te słowa wysłuchał w jego ramach dowcipnego i błyskotliwego odczytu o torysach w szeregach klasy robotniczej w Anglii oraz był obecny na referacie formującym hipotezę, która ma wyjaśnić rzekomą brak związku między wykształceniem a pionową ruchliwością społeczną. Ten referat bezpośrednio sąsiadował z przemówieniem opisującym rolę wydziałów prawa w kształtowaniu się tak zwanych wyższych klas w Niemczech Zachodnich. Obecny na zebraniu Hindus głośno protestował, iż wspomniane referaty nie mają wiele wspólnego z problematyką społecznego rozwoju. Miał on zapewne rację przy pewnym znaczeniu tego wyrażenia, ale kwestią terminologicznych definicji nikt się nie zajął, ani przed kongresem ani na kongresie. Wreszcie w ramach trzeciego głównego tematu dyskutowano metodę historyczną i porównawczą, funkcjonalizm, marksizm i modele socjologiczne, a więc, żeby tak powiedzieć, zbiorcze zespoły zagadnień wyznaczone przypadkowo przez treść nadesłanych referatów. Powyższe przykłady miały wywołać w umyśle czytelnika to poczucie intelektualnego zagubienia, jakie niejednokrotnie prześladowało uczestników zjazdu i na jakie się oni uskarżali. Ten stan rzeczy był zaś wynikiem braku należytego porządku myślowego w samym programie kongresu.

Kongres waszyngtoński zadokumentował silniej jeszcze niż zjazd poprzednie, iż język angielski jest językiem uniwersalnym socjologii. Kto tego języka nie zna, niech lepiej na międzynarodowe spotkania socjologiczne nie przyjeżdża. Bez biegłej znajomości angielskiego przemawiający do międzynarodowego audytorium nie będzie miał odzewu, a jego referat, niezależnie

od treści, przejdzie niespostrzeżony. Daje to automatycznie przewagę socjologom amerykańskim i brytyjskim oraz tej stosunkowo nielicznej grupie socjologów innej narodowości, którzy w pełni przyswoili sobie język i aparaturę pojęciową współczesnej socjologii anglo-saskiej. Z drugiej strony ten stan rzeczy upośledza wszystkich innych i stawia ich w sytuacji, w której nie zwykle trudno jest wyrwać się z anonimowości współczesnego masowego międzynarodowego kongresu. Kwestia języka odgrywa mniejszą rolę w stosunkach osobistych i w warunkach kamealnych. W olbrzymich salach obsługiwanych przez mikrofon i megafony, wobec wielkiego audytorium domagającego się co najmniej językowej płynności, czułego na swadę, dowcip i retorykę, ma ona decydujące znaczenie.

Tę okoliczność należy brać pod uwagę gdy omawia się porównawczo wkład i udział poszczególnych delegacji w międzynarodowym kongresie. Przychodzi ona w szczególności na myśl, gdy ma się scharakteryzować rolę delegacji sowieckiej na kongresie waszyngtońskim. W delegacji tej były dwie grupy, z których pierwsza liczniejsza i ważniejsza, bo przywódcza, różniła się od drugiej między innymi przez to, iż jej członkowie nie znali żadnego obcego języka. Ich przemówienia były odczytywane przez tłumaczy, ich udział w dyskusji nie był nigdy spontaniczny i nie przygotowany. Na zebraniach plenarnych i sekcyjnych siedzieli w zwartych szeregach, zajęci rozmową między sobą i nie zwracając uwagi na toczące się obrady, których śledzić nie byli w stanie i jak się zdaje nie mieli ochoty.

Ta grupa uczestników sowieckich, której przewodniczył filozof Fiedor Konstantynow, leader całej delegacji, przebywała w innym świecie aniżeli pozostali uczestnicy kongresu, a przyczyną tego faktu nie była wyłącznie nieznajomość języka. O tym można było się przekonać, gdy wstępowali na podium, gdzie tłumacze odczytywali ich przemówienia. Oprócz tytułu nie miały one zazwyczaj niczego wspólnego z przedmiotem dyskusji, stanowiąc dobrze znaną mieszankę marksistowsko-leninowskich banałów i naiwnej politycznej propagandy. Co nas najbardziej uderza w waszych przemówieniach, oświadczył w jednej z dyskusji kongresowych Raymond Aron, jest ich nie marksowski charakter. Marks był krytykiem społeczeństwa, krytykiem porządku społecznego i politycznego swych czasów. My staramy się przywrócić socjologii jej funkcję krytyczną, wy umiecie jedynie chwalać i umacniać świat w którym żyjemy.

W delegacji sowieckiej była jednak również inna grupa, składająca się z ludzi młodych. Zнали oni bądź język angielski, bądź francuski, które były oficjalnymi językami kongresu. Zнали oni ponadto socjologię, a nie tylko marksizm-leninizm. Byli oni przeto w stanie brać rzeczywisty udział w obradach, śledzić ich przebieg, uczestniczyć w dyskusji, odpowiadać na stawiane zarzuty w języku pojęciowym zrozumiałym dla pozostałych uczestników kongresu. Z młodszymi delegatami sowieckimi można było się nie zgadzać, ale można było się z nimi porozumiewać, co stanowi

warunek niezbędny wymiany myśli i zrozumienia niezgodnych lub wykluczających się stanowisk.

W ostatnich kilkunastu miesiącach pojawiać się zaczęły różnorodne znaki, świadczące o tym, iż w Rosji Sowieckiej dokonywała się rehabilitacja socjologii jako samodzielnej dyscypliny oraz że podejmować zaczęto badania społeczne posługując się współczesnymi empirycznymi metodami. Wystąpienia starszych członków delegacji sowieckiej na kongresie waszyngtońskim położyły kres oczekiwaniom by pod tym względem mogły nastąpić szybkie zmiany. Albowiem przemówienia starszych delegatów sowieckich będąc w swej wymowie politycznej polubowne, pojednawcze i przyjazne, co do treści były konserwatywne, wolne od autentycznej myśli socjologicznej lub może wolne od wszelkiej myśli autentycznej.

Ale wystąpienia wspomnianej grupy młodszych uczonych sowieckich budziły odmienne refleksje i dostarczyły nowego potwierdzenia tezy, iż w Rosji rzeczywiście rozpoczęły się procesy, jakie ostatecznie mogą doprowadzić do odrodzenia się socjologii. Różnice między starszą i młodszą generacją przemawiają natomiast za tym, iż nie należy oczekiwać by procesy te dojrzały i przyniosły konkretne wyniki w krótkim okresie czasu. Być może, jeśli chodzi o nauki społeczne, zasadniczych zmian nie można w Rosji oczekiwać zanim nie nastąpi zmiana pokoleń.

Delegacja polska na kongresie waszyngtońskim była przeźrębiona na skutek interwencji Partii, która z jednej strony ograniczyła jej liczbę, z drugiej wyznaczyła jej skład skreślając z listy proponowanej przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne grupę wybitnych, młodych, nie partyjnych socjologów z Andrzejem Malewskim i Stefanem Nowakiem na czele. W tych warunkach Stanisław Ossowski, jeden z wiceprzewodniczących *International Sociological Association*, zrezygnował z wyjazdu do Waszyngtonu. Z wyjazdu zrezygnował również Zygmunt Bauman, czołowy młody socjolog o marksistowskiej orientacji, a to w wyniku zatargu z partyjną cenzurą. Nieobecność Ossowskiego i najbardziej poza granicami kraju znanych młodych socjologów nie przeszła niezauważona i nie przyczyniła się do poprawy nadszarpniętej reputacji Polski ludowej na scenie międzynarodowej.

W Stresie widziało się i słyszało polskich socjologów wszędzie; występowali na sekcjach plenarnych i sekcyjnych, polemizowali publicznie z innymi i między sobą, często zabierali głos w dyskusjach, przewodniczyli obradom i spełniali funkcje sprawozdawców. W Waszyngtonie obecność polskiej delegacji przebiegała niezauważona. Paradoksalnie mówiąc, najwyraźniej zaznaczyła się obecność tych, którym przyjazd uniemożliwiono, a jak była o tym mowa, referat Malewskiego, jednego z socjologów skreślonego przez Partię z delegacji kongresowej, odbił się głośniejszym echem na kongresie niż referaty i interwencje obecnych polskich delegatów.

Jakkolwiek trudno było nie dostrzec różnic w dokonaniach

delegacji polskiej w Stresie i Waszyngtonie, trzeba jednak również podkreślić, iż polscy przedstawiciele na zjeździe waszyngtońskim podtrzymali ustaloną w świecie pozycję polskiej socjologii (choćby wielka to szkoda, iż na ostatnim zebraniu plenarnym kongresu pewien polski ekonomista dzielił się z audytorium wielce oryginalną myślą, mianowicie, iż rozwój społeczny przebiega w krajach kapitalistycznych inaczej niż w krajach socjalistycznych). Polska jest krajem autentycznej socjologii i autentycznych socjologów a fakt ten pozostaje w mocy niezależnie od tego czy wyboru delegacji dokonuje partia czy też Polskie Towarzystwo Socjologiczne. Zarządzenia administracyjne wprowadziły sprawiły, iż polska delegacja znalazła się w cieniu, a delegacja sowiecka stała się bardziej widzialna i głośniejsza. Jest natomiast rzeczą wysoce wątpliwą czy ten zorganizowany rozkład biasków i cieni wyszedł rzeczywiście na korzyść delegacji sowieckiej.

Istnieje inna jeszcze okoliczność, która sprawia, iż polska delegacja zawsze wzbudza zainteresowanie i przyciąga uwagę na scenie międzynarodowej. Polska socjologia jest wyspą w bloku państw sowieckich i ten jej szczególny charakter występuje jawnie i bez wysiłku polskich socjologów, gdy tylko ukazują się razem z socjologami innych krajów bloku (w Waszyngtonie prócz delegacji sowieckiej była również delegacja czechosłowacka, rumuńska i węgierska). Ta okoliczność łącznie z pewną znajomością dziejów i perypetii polskiej socjologii w ostatnich kilkunastu latach naocznie ukazuje socjologom świata zachodniego doniosłą funkcję społeczną ich zawodu, jego rolę diagnostyczną i terapeutyczną, intelektualną i moralną, jeśli ktoś woli.

Ten szczególny stosunek do polskich socjologów znalazł wyraz w wyborach do komitetu wykonawczego *International Sociological Association* oraz w pierwszej decyzji podjętej przez nowy komitet wykonawczy ISA. Gdy na wniosek polskiego przedstawiciela Rada Towarzystw Socjologicznych wybrała do komitetu wykonawczego delegata sowieckiego (F. Konstantynowa), jednocześnie z delegatem sowieckim wybrano również Polaka, Jana Szczepańskiego (wszedł on na miejsce Stanisława Ossowskiego, którego kadencja wygasła w tym roku). Nowo wybrany komitet wykonawczy miał do rozstrzygnięcia sprawę, gdzie ma się odbyć następny międzynarodowy kongres socjologiczny. Jedyne formalne zaproszenie złożył delegat niemiecki, prof. R. König z Kolonii, przewodniczący *International Sociological Association* na najbliższe cztery lata, który wyraził gotowość urzędzenia następnego międzynarodowego zjazdu socjologów w Niemczech Zachodnich. Ale na wniosek prof. T.H. Marshalla komitet wykonawczy powziął jednomyślną uchwałę by prosić Polskę o zorganizowanie kongresu w Warszawie. Uchwała ta obrazuje najlepiej szczególną pozycję polskiej socjologii w świecie, pozycję zdobytą nie tylko dzięki rzetelnej wiedzy, ale również innym walorom jej przedstawicieli.

Zbigniew JORDAN

Książki

„Tematy” zasmucające

Pierwszy numer nowego, pięknie na kredowym papierze wydawanego kwartalnika „Tematy”, poświęconego ukazywaniu czytelnikom polskim „obrazu współczesnej Ameryki”, ocenił dosyć krytycznie K.A. Jeleński w kwietniowej „Kulturze”. Recenzent zupełnie słusznie zarzucił redaktorom pewną staroświecczyzną w doborze materiałów. W tej chwili mamy już przed sobą trzy zeszyty „Tematów”, łącznie blisko 600 stron formatu większego niż „Kultura”, i możemy oceniać nie same początki, ale całe o większym zakroju przedsięwzięcie.

„Tematy” wydawane są w Nowym Jorku pod redakcją Pawła Mayewskiego i Jana Kempki, przy pomocy finansowej tamtejszej Fundacji im. Louisa A. Anspachera. (Komitet Redakcyjny imponuje zestawem nazwisk: Daniel Bell, Zbigniew Brzeziński, Cecil Hemley, William Phillips, John A. Thompson i Lionel Trilling). Pomysł wydawania takiego pisma jest znakomity: zainteresowanie Ameryką i jej współczesną kulturą jest w Polsce ogromne — większe, niż jakimkolwiek innym krajem świata. A choć tłumaczeń z literatury amerykańskiej, zwłaszcza klasycznej, ukazuje się dużo — dostępny zasób informacji i tekstów jest ciągle niewspółmiernie mały w porównaniu z powszechnie odczuwaną potrzebą. Dobrze redagowane „Tematy” mogą więc teoretycznie liczyć na wielką popularność wśród studentów, literatów, naukowców i dziennikarzy polskich. Nasuwa się jednak pytanie, czy pismo do Polski w ogóle dociera? Jakimi drogami i w jakiej ilości? W prasie krajowej nie udało mi się znaleźć jakiegokolwiek w tej sprawie wzmianki, choć przeglądowi zawartości pism, polskich i zagranicznych, poświęcone jest sporo stałych rubryk. Jest zaś oczywiste, że bez możliwości docierania do odbiorców pismo pozbawione jest na dłuższą metę racji bytu. Mówię „na dłuższą metę” ponieważ można mieć nadzieję, że trudności ze zorganizowaniem kolportażu — oczywiście oficjalnego — okażą

się przejściowe. Szkoda jednak, że wydawcy nie postarali się o usunięcie tych trudności, jakiekolwiek one są, zawczasu.

Być zresztą może, że ostatecznie wyjdzie im to na dobre — zyskują bowiem na czasie i mają okazję do wypuszczenie kilku numerów w pewnym sensie „próbnych”, do praktycznego zaznajomienia się ze swoim zadaniem i nabrania wprawy. Prawdę zaś mówiąc trzy pierwsze zeszyty „Tematów” zasługują na pochwałę prawie wyłącznie jako przejaw dobrych intencji, nie jako wartościowe i rzetelne osiągnięcie.

„Tematy” składają się z przekładów — przeznaczonych dla tych interesujących się Ameryką czytelników polskich, którzy nie znają angielskiego. Jest chyba rzeczą zupełnie oczywistą, że podstawowym warunkiem osiągnięcia przez pismo tego rodzaju przyzwoitego choćby poziomu jest, aby przekłady te były przynajmniej dobre. Tymczasem lektura „Tematów” musi człowiekowi, nie skłonnemu z natury do skrajnego niechłujstwa językowego, sprawiać dotkliwą przykrość. Po przeczytaniu kilkunastu wybranych na chybił-trafił stron z 2 i 3 zeszytów „Tematów” czułam się wręcz fizycznie zmęczona i z trudem tylko mogłam skupiać uwagę na sensie (często niejasnym) tekstów.

Sygnalem ostrzegawczym jest zresztą zamieszczona na odwrocie karty tytułowej (i trzy razy przedrukowana) nota redakcyjna, w której czytamy: „Zadaniem „Tematów” jest udostępnienie czytelnikowi polskiemu esejów, utworów literackich i studiów krytycznych, które składają się na obraz intelektualnej Ameryki. „Tematy” zawierać będą przekłady z literatury pięknej, krytyki literackiej, sztuki, filozofii i tych dyscyplin, które są częścią współczesnego życia i myśli”. Trudno to nazwać inaczej, jak tylko bardzo złą polszczyzną. Eseje są przecież także utworami literackimi; „obraz intelektualnej Ameryki” brzmi źle i nie wiadomo co znaczy; nie można „przekładać ze sztuki”; „dyscyplina” bez przymiotnika oznacza po polsku tylko „kozią nóżkę” czyli instrument do obijania niegrzecznych dzieci; wreszcie nasuwa się pytanie, jakie to dziedziny twórczości naukowej czy artystycznej *nie* są „częściami współczesnego życia i myśli”? A przecież nota wyjaśniająca podstawowe założenia pisma powinna być zredagowana szczególnie starannie!

Zespół tłumaczy „Tematów” jest dosyć spory, ale poziom przekładów (poza poetyckimi) jednostajnie i prawie bez wyjątku niski. Czytamy więc: „punkt ciężkości w brzemieniu prac”; „narzucanie tematu na powieść”; „na powrót zaczęli czerpać z poetów”; „Zanim depresja i wyczerpanie wreszcie go opadły”; „zamlęte przejawy symbolicznego pisania”. „Na przykład, w jednym z przekładów rzymskiego poety przeprowadził związek z Wordsworthem”. (O Poundzie) „Jeśli względy zawodowe skłaniały historyków ku konkretnym wydarzeniom kosztem filozoficznego rozmachu, ich własny program popychał ich w tym samym kierunku”. „Ironia jest ogólnym terminem na oznaczenie tego rodzaju określenia, jakie otrzymują różne elementy w kontekście

od całego kontekstu". „Stając się narzędziem zniszczenia Blanché Kowalski jest równocześnie mścicielem jej homoseksualnego męża". I jeszcze, na zakończenie garstki przykładów, które można by mnożyć w nieskończoność, kawałek „artystycznej prozy": „Pierwszy dźwięk fortepianu uderzył słuchaczy jak szok. Spojrzeli na siebie. Nawet muzyk podniósł na chwilę twarz; ukrył ją jednak natychmiast w dłoniach, z wysiłkiem, jak gdyby poczuł ból którego człowiek nie może znieść. Słuchali głęboko i bez ruchu. Ze starego aparatu wyrastały mokre, niebiesko-zielone tony, stając się natychmiast osobnymi, upojnymi obecnościami. Te osobne, upojne obecności przelewały się w nagłej fali bolesnego, pięknego dysonansu, wzbierając i ścieniając przytływ, splątana harmonia wylewów, miękkich fal powrócone harmonii, uciszeń i małych, cichych pian interludium, napływających w przerwach. Każdy dźwięk przebijał jak miecz i był niewymownie słodki". Tu nie wiadomo zresztą, gdzie się kończy nieudolność autora, a gdzie zaczyna nieudolność tłumacza.

Szczególnie irytujące są jednak nie rażące błędy (wprowadzające element niezamierzonego komizmu, a więc nieco rozrywki), tylko jednostajna niewolniczość wobec przekładanych tekstów pozwalająca na ogół domyślać się układu wyrazów w angielskim oryginale. Nagminnym błędem jest zwłaszcza mylenie kolejności rzeczowników i przymiotników; mamy więc „muzyczny temat" i „moralną rozterkę" (jak gdyby istniała i niemoralna), „ludzkie nadzieje" i „współczesną prozę" — pomyłki może drobne, ale męczące w dużych ilościach. Rzeczą zaskakującą i smutną jest, że nawet tłumacze znani skądinąd jako samodzielni i poprawnie po polsku piszący literaci jako tłumacze stają się nieporadni i niezręczni — i znajdujemy w ich przekładach takie kwiatki, jak „ludzie peryferalni w cyrku", „skreślony tutaj punkt widzenia zarysuje się jeszcze silniej", „garbate skąpiradło" na określenie zamordowanej przez Raskonikowa lichwiarki, „teatr szekspirowski ocenia pozytywnie dające się objąć zmysłami elementy dramatyczne", „nie tylko w historii życia umysłowego, ale w całej postawie wobec przeszłości Nowa Historia nakazywała zewnętrzne ujęcie danych historycznych" itd.

Od czasu do czasu trafiają się w tekstach i błędy innego rodzaju; np. Gaudier-Brzeska był znanym rzeźbiarzem, a nie rzeźbiarką jak tego chce tłumaczka „Poezji Ezry Pounda".

Przekłady są zdecydowanie najsłabszą stroną „Tematów", ale i dobór tekstów budzi sporo zastrzeżeń. (Pomijam w tej recenzji zupełnie przekłady poetyckie, które wymagałyby specjalnego omówienia). W numerze 2 znajdujemy 4 cenne pozycje (na 8): „Społeczeństwo masowe i współczesna proza" Irvinga Howe, „Poezja Ezry Pounda" Haydena Carrutha (który psuje trochę swój szkic wykretnym potraktowaniem sprawy faszyzmu autora „Cantos"), „Historia życia umysłowego w Ameryce" Johna Highama (tytuł jest mylący, bo idzie o historiografię, nie o historię) i „Główne kierunki w krytyce dwudziestego wieku" René Welleka (chodzi o krytykę literacką). Natomiast jedyny

przykład prozy artystycznej, „Gwiazda" Arthura C. Clarke, jest b. słaby, a pozostałe trzy szkice nie pasują do założeń pisma: Eric Bentley w artykule „O krzywdzeniu Szekspira" (ogłoszonym już 10 lat temu i średnio ciekawym) omawia głównie inscenizacje angielskie, Aldous Huxley (którego trudno przecież uważać za reprezentanta „współczesnej Ameryki") pisze o szesnastowiecznym zapomnianym kompozytorze włoskim Carlo Gesualdo, a krótki artykuł Ericha Fromma „Sytuacja człowieka w dobie obecnej" jest tak ogólnikowy i banalny, że wręcz wyrządza krzywdę reputacji tego oryginalnego myśliciela. Numer uzupełniający dwie obszerniejsze recenzje i 16 krótkich not o książkach (w tym aż 7 o książkach nieamerykańskich). Zamieszczanie takich not jest teoretycznie pomysłem dobrym; te jednak, które znajdujemy w „Tematach", są często zbyt ogólnikowe i aluzyjne i wymagałyby większej ingerencji redakcyjnej.

W numerze 3 znowu cztery wartościowe pozycje (na 10): „Ameryka nieustannie odkrywana" krytyka angielskiego Petera Quennella, „Krytyka teorii społeczeństwa masowego" Daniela Bella (prawdziwy rodzynek), „Perspektywy nauki i ludzkie nadzieje" Ernesta Nagela i „Podstawy teorii ontologicznego realizmu" Edouarda L. de Laurota (trudno się domyśleć z tytułu, że tematem szkicu jest współczesny film). Najgorszą pozycją jest znowu proza („Przenośny patefon" Waltera Van Tilburg Clarka). Szkice R.G. Cohna „Sartre contra Proust" i P.W. Kurtza „Kierkegaard, egzystencjalizm i świat współczesny" są nie „na temat" (nic wspólnego ze współczesną Ameryką); pierwszy z nich w dodatku zupełnie słaby, drugi — raczej przestarzały. Dwa inne szkice: „Humor w Ameryce" (chodzi raczej o „komizm") Maxa Shulmana i „Moralna rozterka Tennessee Williamsa" Arthura Gantza także nie zostały szczęśliwie wybrane; pierwszy pełen jest niemądrego mizdrzenia się, drugi tonie w oczywistościach i patologicznej obsesji. Zdziwienie budzi też jedna z dwu obszernych recenzji: omawia ona dwie książki pisarzy angielskich, nic nie mające wspólnego z Ameryką, i to omawia raczej prymitywnie (nb. nie wiadomo czy recenzentowi czy tłumaczowi należy przypisać pogląd, że „Lesedrama" to to samo co „sztuka kame-ralna" — w każdym razie redakcja powinna była ten nonsens usunąć).

Na podstawie wyliczonych tytułów łatwo dostrzec, że swoją rolę prezentowania „obrazu współczesnej Ameryki" spełniają „Tematy" jak dotychczas nie najlepiej. W dwu omawianych zeszytach właściwie trzy tylko dobre pozycje (Howe, Bell i Quennell) mówią wprost o dzisiejszych Stanach Zjednoczonych; parę innych przedstawia interesujące poglądy współczesnych pisarzy amerykańskich — reszta mogłaby być z powodzeniem i pożytkiem zastąpiona przez inne materiały. Rozczarowanie budzi zwłaszcza nieobecność (poza dwoma słabymi tekstami) współczesnej prozy, której nie widać także w zapowiedziach redakcji. Zapowiedzi te wywołują zresztą pewne zdziwienie ilością pozycji znowu nie „na temat": stuletnia nowela Melville'a, F.R. Karl o powieści

angielskiej, M.G. Lund o Durrellu, M. Gold o Arnoldzie Toynbee'm — tak jak gdyby mało było pod ręką problemów i pisarzy amerykańskich!

Oczywiście niesłusznie byłoby wymagać od redaktorów „Tematów”, aby zamieszczali wyłącznie teksty zupełnie nowe, na tematy aktualne i ściśle amerykańskie. Takie teksty powinny mieć jednak pierwszeństwo, powinny nadawać ton całości — reszta może być uzupełnieniem i ornamentem. Przypuszczam, że dobrze byłoby, gdyby redakcja zdecydowała się na większą koncentrację poruszanych zagadnień i poświęcała np. po połowie każdego zeszytu na materiały-szkice, prozę, poezję i recenzje — dotyczące jakiegoś określonego „tematu”, naświetlające jakieś jedno wybrane zagadnienie. Taka połowa zeszytu byłaby czymś w rodzaju monograficznej antologii, rzucającej światło na wybraną część „obrazu współczesnej Ameryki”. To cośmy do tej pory otrzymali — to nie obraz, ale jakieś jego pomieszczone i często koślawe fragmenciki. Wśród tekstów brak przede wszystkim informacji o współczesnym życiu społeczno-kulturalnym w Stanach.

Wydaje się, że redaktorzy „Tematów” wykazują za mało śmiałości i wszechstronności w poszukiwaniu swoich materiałów. Ograniczają się zbytnio do zagadnień tradycyjnych i źródeł oczywistych, nie wychodząc prawie poza ramy tzw. „małych kwartalników” — podczas gdy sięgnięcie z jednej strony do doskonałego „Daedalus’a”, wydawanego przez Amerykańską Akademię Sztuk i Nauk a z drugiej do pism tygodniowych (jak dodatek do „New York Times’a”) bardzo by pismo wzbogaciło. Powinni oni także zastanowić się głębiej nad tym, czego oczekuje czytelnik polski od pisma kulturalnego, wydawanego w Nowym Jorku. Na pewno nie wiadomości o Sartrze i jego nienawiści do Prousta — ale czegoś o Faulknerze i Henrym Millerze. Chce się dowiedzieć nie o egzystencjalistach (o których mógł być już to samo przeczytać u siebie 15 lat temu), ale o Kerouacu i Saulu Bellow; nie o Stratfordzie-on-Avon ale o szeroko dyskutowanym i w Warszawie J.D. Salingerze, którego książka niedawno się w Polsce ukazała. Śledzenie polskiej produkcji wydawniczej może być dla redaktorów „Tematów” ogromnie pożyteczne, bo dostarczy wskazówek co do zainteresowań a zarazem co do luk. Jak bardzo potrzebny jest np. jakiś większy szkic o nieznanym w Polsce zupełnie Thoreau! I lepiej zamieścić coś o Henrym Jamesie, niż o Angliku Durrellu, lepiej o nowej sensacji „Catch 22” Josepha Hellera niż o Gesualdo — bo tego się właśnie po „Tematach” spodziewamy.

Przed wszystkim jednak — i to powinien sobie redaktor „Tematów” dobrze zapamiętać i co chwila powtarzać — trzeba natychmiast i radykalnie podnieść poziom przekładów. Nawet gdyby „Tematy” składały się z samych arcydzieł geniuszu — w obecnej formie językowej będą niestrawne i zasmucające.

Teresa SNORES

Polski rewolucjonizm szlachecki

Rzecz Jerzego Szackiego pt. „Ojczyzna, naród, rewolucja” (1) jest pracą marksisty, którą czyta się bez zażenowania i sprzeciwu intelektualnego. W jakimś miejscu autor mówi o „uproszczeniach marksistowskich” i sam pilnie się ich wystrzega. To co można by mu zarzucić to nadmierne subtylizowanie odcieni, rozszczepianie włosa, swoistą talmudyczność. Ale jest to lepsze od topornego obciosowywania zagadnień, od włączania ich siłą na Prokrustowe łoża gotowych schematów.

Rozprawa Szackiego należy do historii myśli społecznej. Powstała w kręgu oddziaływania takich przedstawicieli tej dyscypliny jak Nina Assorodobraj i Bronisław Baczko. Szacki jest ich uczniem i gęsto się na nich powołuje, ale trudno się obronić wrażeniu, że nauczył się niejednego również z błędów swoich nauczycieli. Dziewicza praca (teza doktorska) jest nie tylko ich godna, ale pod niejednym względem ich przewyższa.

Podtytuł książki brzmi „Problematyka narodowa w polskiej myśli szlacheckorewolucyjnej”, wprowadza termin „rewolucja szlachecka”, stworzony przez Lenina (wcześniej i podobno niezależnie od Lenina zastosował go Henryk Grynwasser w dziele „Demokracja szlachecka”). Byliśmy przez długi czas świadkami tak bezwstydnego osłaniania własnej nagości umysłowej rzekomo nieomylnymi autorytetami, zaklinania się na słowa proroków, mechanicznej cytologii, że ten leninowski termin budzi zrazu nieufność. Ale bliższe przyjrzenie się jego zawartości przekonuje, że określa on trafnie także polską formację ideową z pierwszej połowy XIX wieku. Czyni to lepiej niż wprowadzony przez Handelsmana i dotąd używany termin „romantyzm polityczny” — o wiele od tego szerszy i bardziej mglisty.

Nasi rewolucjoniści szlacheccy wywodzili się z drobnej szlachty — żeby użyć określenia Mochackiego — „trzymającej środek między możnymi i chłopami”, stanowiącej „polski stan trzeci”. W latach 1815-30, między utworzeniem Królestwa Kongresowego a powstaniem listopadowym, z tej warstwy rekrutowali się biuraliści, niźsi oficerowie, literaci, dziennikarze, młodzi uczeni, słowem — inteligencja, grupa pracowników umysłowych. Ona była główną wytwórną idei i najbardziej prężną siłą polityczną, choć nie tworzyła partii w formalnym znaczeniu wyrazu, organizacji z jednoznacznie sformułowanym programem. Formy jej działania były inne: kółko samokształceniowe, łoża wolnomu-

(1) Jerzy Szacki: *Ojczyzna, naród, rewolucja. Problematyka narodowa w polskiej myśli szlacheckorewolucyjnej*. Warszawa 1962. PIW. Str. 260.

larska, spiszek wojskowy, duży wkład do ruchu intelektualnego (w tym zakresie zdumiewa obszar, który przeorał Mochnacki, jego gorączkowość w przyswajaniu sobie obcych zdobyczy myślowych, tworzeniu własnych konstrukcji, nasuwająca skojarzenie z Brzozowskim).

Ale studium Szackiego nie dotyczy całości zjawiska. Nie jest to monografia życia umysłowego i politycznego w owym piętnastoleciu; za ciągle „najpoważniejszą” pracę tego rodzaju uważa on książkę Askenazego o Łukasimskim (1908). Nie jest to nawet historia polskiego rewolucjonizmu szlacheckiego, która czeka na napisanie. Nie jest to dzieło historyczne w ścisłym znaczeniu słowa, nie opiera się na poszukiwaniach archiwalnych, nie wydobywa na jaw nowych materiałów. Prawie wyłącznie posługuje się materiałem drukowanym, już znanym i powszechnie dostępnym.

Zakres pracy jest wąski, aż nadmiernie wąski. Tworzy ona rozdział tego co Anglosasi nazywają „historią idei” (*history of ideas*). Szacki skupia się na idei narodu w rewolucjonizmie szlacheckim, bada treść pojęciową tego słowa. Widzi w tej formacji społeczno-politycznej i w tym okresie 1815-30, który słusznie uważa za przełomowy — przejście od idei „ojczyzny”, stworzonej przez Oświecenie do ośrodkowej w romantycznym poglądzie na świat idei „narodu”.

Oświeceniową ideę ojczyzny analizuje na podstawie bogatego archiwum Filomatów wiążąc tę organizację, której Mickiewicz był współtwórcą i członkiem, z pokrewnymi jak „Panta Kojna”, tajny związek młodzieży polskiej w Berlinie i Warszawie w latach 1817-1822. Do sprecyzowania idei narodu służy mu pisma Mochnackiego sprzed r. 1830; Szacki sądzi, że są one dla tego okresu bardziej typowe niż prace Lelewela, którego Mochnacki nazywał „rozmnożycielem i patronem rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń”. Na osobie zapomnianego publicysty Jana Ludwika Żukowskiego i na przykładzie pisma „Nowa Polska”, które Żukowski redagował w czasie powstania listopadowego demonstruje Szacki próbę połączenia przeciwstawnych idei ojczyzny i narodu (Żukowski zawdzięcza mu wydobyte na światło dzienne; jest to pod względem materiału najbardziej odkrywczą część książki).

Oświecenie pojmowało ojczyznę jako ideał moralno-polityczny, jako dążenie do lepszego ustroju, który usuwając krzywdzące podziały i nierówności, odwołując się do dobrych stron natury człowieka, zapewniając im ciągły rozwój, umożliwiłby stworzenie harmonijnej, szczęśliwej wspólnoty „rodzaju ludzkiego”. Romantyzm widział naród jako wspólnotę mniejszą, uwarunkowaną historycznie, istniejącą w czasie i przestrzeni, przy czym kładł nacisk na odrębność poszczególnych organizmów narodowych. Te ujęcia występowały często jako przeciwieństwa: natury i historii, rewolucji i tradycji, nowego doskonalszego społeczeństwa i starego, rozzdzieranego egoizmami.

Szacki rzuca te dwie idee na szerokie tło europejskie, roztrząsa je bardzo szczegółowo w polskiej odmianie. Niekiedy ta szczegółowość ociera się o przesadę. Analityka uwodzi przyrodzony talent widzenia różnic i odcieni; praca jest „przeczytowana”, obciążona nadmiarem przytoczeń. Cechuje ją brak ekonomii; dla ukazania stosunkowo prostej prawdy konstruuje olbrzymie rusztowanie i wprawia w ruch skomplikowaną maszynę.

Ale ważniejsze jest coś innego: wnioski ostateczne. Ta praca marksisty dochodzi do wniosków niemarksistowskich. Określą drogą — co prawda pełną nowych widoków — wraca do tez nauki tzw. burżuazyjnej. Bo koniec końców, u mety wszystkich subtelnych rozbiórów Szacki musi przyznać, że polska ideologia szlacheckorewolucyjna stanowi „inną całość”, nie podobną do tego co było gdzie indziej, nie spełniającą postulatu czy schematu Marksa. Rewolucjoniści szlacheccy choć bez wątpienia byli grupą określoną społecznie, choć wyrażali pewną sytuację społeczną i manifestowali pewne społeczne postawy, bynajmniej nie byli rzecznikami egoistycznych interesów grupowych. Właśnie analiza Szackiego, przeprowadzona przez niego „klasowa interpretacja ideologii” popiera stary pogląd, że reprezentowali oni „ponadklasowe uczucia patriotyczne i humanitarne”.

W ich ideologii nie tylko zespala się dziedzictwo Wieku Oświecenia i inspiracji rodzącego się romantyzmu, nie tylko przeplatają się idee „ojczyzny” i „narodu”, ideału moralnego i rzeczywistości historycznej. Zachodzi w tej ideologii jeszcze coś innego. Tworzy ona niezwykłą syntezę, która usuwa tak ostry na Zachodzie antagonizm rewolucji i tradycji (u Mochnackiego wyraża się to sprzęgnięciem słów „rewolucja-restauracja”). Tradycjonalizm łączy się w tej syntezie z postępowością, rewolucyjność z ciągłością istnienia narodowego, własne aspiracje wchodzą w naturalny sojusz z ruchami społeczno-politycznymi innych krajów. Podstawą na której dokonywa się synteza jest walka z zaborcami, dążność do wskrzeszenia państwa polskiego.

Oto kilka sformułowań Szackiego: „Szlacheckorewolucyjna pasja reformatorska kierowała się nie tyle przeciwko określonej klasie społecznej, ile przeciwko pewnym postawom moralno-politycznym, ocenianym jako szkodliwe z punktu widzenia interesów całego społeczeństwa polskiego”. „Szlacheccy rewolucjoniści występowali jako rzecznicy ponadklasowego interesu narodowego i dopiero w związku z nim brali pod rozwagę konkretny układ stosunków między klasami”.

Jaki jest „morał” tej pracy? Metoda marksistowska może być użyteczna pod warunkiem, że nie uważa się za jedyną i nieomylną, że nie nagina faktów do z góry powziętych założeń. Oczywiście uprawnione, pożądane i potrzebne jest „konkretne studium nad historią polskiej myśli społecznej, studium uwzględniające całe życie polskie w wieku XIX, wszystkie jego sprawy, problemy i konflikty, a nie tylko dążenie narodu jako takiego do niepodległości”. Ale z tego studium może wynikać to co —

jakby wbrew woli autora a dzięki jego rzetelności naukowej — wynika z książki „Ojczyzna, naród, rewolucja”, że właśnie dążenie do niepodległości tworzyło syntezę tych słów, syntezę wyrażanych tymi słowami pojęć, wyobrażeń, napięć moralnych i dążeń praktycznych.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- The Shame of the Twentieth Century. Bolshevik Methods of Combatting the Ukrainian National Liberation Movement. A Documentary Report.* Str. 79 (Wyd. Ukrainian Publishers Ltd, London, 1962).
- Khrushchov's Crimes in Ukraine. Mass-Murder of Ukrainian Political Prisoners.* Str. 93. (Wyd. Ukrainian Publishers Ltd., London, 1962).
- TYS - KROJMALUK (Jorge). *Guerra y Libertad. Historia de la Division „Halychyna”* (D. U.1) del Ejercito Nacional Ucraino (1943-1945). Str. 186 i 7 szkiców. (Wyd. Biblioteca del Instituto Informativo-Editorial Ucraino, Buenos Aires, 1961).
- Polnische Pointen Satiren und kleine Prosa* de 20. Jahrhunderts. Zebrał i przełożył Karl Dedecius. Str. 156. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München, 1962, cena w opr. DM. 11,80, w brosz. DM. 5,90).
- JANTA (Aleksander). *Na tropach Norwida w Ameryce.* Str. 15. (Odbitka z książki Zbiorowej „Norwid Żywy”, wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, B. Świderski, Londyn, 1962).
- LEGEŻYŃSKI (Stefan). *Lata paryskie Cypryana Norwida.* Str. 102-112. (Odbitka z książki zbiorowej „Norwid Żywy”, wyd. staraniem Zw. Pisarzy Polskich na obczyźnie. B. Świderski, Londyn, 1962).
- LORENTZ (Stanisław). *Relazioni Artistiche fra l'Italia e la Polonia.* Str. 58. Conferenza tenuta nella Biblioteca di Roma dell'Accademia Polacca di Scienze e lettera il 20 Ottobre 1961. (Wyd. Angelo Signorelli Editore, Roma, 1962).
- FERAOUN (Mouloud). *Textes sur l'Algérie.* Str. 32. (Supplément à „Preuves” N° 139 (Septembre 1962).
- Dywiersanci.* Str. 36. Powielacz. (Nakł. „Naszego Znaku”, Londkoping, Szwecja. Wrzesień 1962).
- Ce qu'il faut savoir de la Commission Internationale de Juristes.* Str. 18. (Wyd. Commission Internationale de Juristes, Genève).
- HOFFMAN (Jakub). *Bemerkungen zu den Thesen Enno Meyers und Gotthold Rhodes über das Problem der deutsch-polnischen Beziehungen im Geschichtsunterricht.* Str. 314-341. (Odbitka z „Internationales Jahrbuch”, Bd VIII, Braunschweig 1961/1962).
- TUREK (Victor). *Second Supplement „Polonica Canadiana, 1848-1957”.* Str. 217-229. (Odbitka z V. Turek: „The Polish-language Press in Canada”, Toronto, 1962).

- LEWYTKYJ (Borys). *Wo steht die Sowjetunion heute. Einführung in die gegenwärtigen Probleme der sowjetischen Gesellschaft.* Str. 64. Wydawca: Arbeitsgemeinschaft „Arbeit und Leben” Düsseldorf, 1962 (Friedrich Ebert. Str. 34/38).
- FELSZTYN (Tadeusz). *Ewolucjonizm.* Str. 40. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, cena 4/- lub 0,65 dol.).
- MALAK (O. Henryk Maria). *Apostolka Miłosierdzia z Chicago.* Str. 151 i 1 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, marzec 1962).
- PAPIEŻ JAN XXIII. *Encyklika o nowych zagadnieniach społecznych* (Mater et Magistra). Str. 48. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).
- PIATKOWSKI (Henryk plk dypl.) *Wspomnienia z „wypadków majowych” 1926 roku.* Str. 32. (Odbitka z „Bellony” rocznik 1962, wydawanej przez Instytut Hist. im. Sikorskiego. Nakł. B. Świderski, Londyn, 1962).
- GUERRERO (Eustaquio, S. J.) i ALONSO (Joaquin M. a., C. M.F.). *Libertad religiosa en Espana. Principios, Hechos, Problemas.* Str. 253 i XVI oraz 1 nlb. (Wyd. Fe Catolica, Madrid, 1962).
- HULTEN (M.H.M. van). *De collectivisatie van de landbouw in de Volksrepubliek Polen 1944-1960.* Str. 223. (Wyd. H.J. Koersen en Zonen, Amsterdam, 1962).
- Zeszyty do historii Narodowych Sił Zbrojnych.* Zeszyt II. Str. 80 (Chicago, 1962).
- Finlandia z daleka i z bliska.* Str. 28. (Wyd. Polsko-Fiński Komitet Zbliżenia, Helsinki, 1962).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Deviation Control: A Study in the Dynamics of Doctrinal Conflict.* Str. 5-22. (Odbitka z „The American Political Science Review, Vol. LVI, N° 1, March 1962).
- LEWYTKYJ (Borys). *Die Notenklatur ein wichtiges Instrument sowjetischer Kaderpolitik.* Str. 407-412. (Odbitka z „Osteuropa” Nr 6/1961, Stuttgart).
- TERTZ (Abram). *The Trial Begins* (w języku japońskim, wydanie książkowe). Str. 194 i 14 nlb. (Jiji Press, 1962, cena Y 100).
- TUREK (Victor). *Polish Language Press in Canada. Its history and a bibliographical list.* Str. 248. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Instytut Naukowy w Kanadzie, Toronto, 1962).
- KOS - RABCEWICZ - ZUB-KOWSKI (Ludwik). *Los Tribunales Sociales (de Camarades) en la URSS.* Str. 93-105. (Odbitka z Nr 43 „Boletín del Instituto de Derecho Comparado de Mexico. Enero-Abril 1962).
- STROBEL (Georg W.). *Die Warschau-Pakt-Organisation.* Str. 33-49. (Odbitka z „Zeitschrift für Politik”).
- STROBEL (Georg W.). *Probleme der Entwicklung der Wirtschaft Polens.* Str. 142-155. (Odbitka z nr. 2/1961 „Ost Europa Wirtschaft”).
- STROBEL (Georg W.). *Das Deutschlandproblem in der Polnischen Politik.* Ein Bericht über das Jahr 1961. Str. 165-172. (Odbitka z Zeszytu 2/1962 „Ost Europa”).
- STROBEL (Georg W.). *Arbeiterschaft und Linksparteien in Poland 1928-1938.* Str. 67-102. (Odbitka z Zeszytu I (April) 1962 „Geschichte Osteuropas”).
- ZAJĄC (J.L.). *Stereoscopic Depth Phenomena with Witt-König Effect.* Str. 153-157. (Odbitka z „The Journal of Psychology” nr 54, 1962).
- ZAJĄC (J.L.). *Some Investigations of Perception of Movement and Related Depth Phenomena.* Str. 117-128. (Odbitka z „Brit. J. Psychol.” nr 53 (1962).

Listy do Redakcji

Haan, dnia 23 września 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 177/8 „Kultury” zostałem przez czytelnika z kraju sprostowany do odpowiedzi. Korzystam więc z tej okazji, aby nakreślić kilka słów.

W liście do „Kultury” pisałem, że poglądy p. Mieroszewskiego często nie pokrywają się z poglądami polskiej opinii publicznej. Nadal utrzymuję to twierdzenie. Nie wszyscy w kraju są jednolitego poglądu co do problemu polsko-niemieckiego oraz nie wszyscy zakładają z góry, że p. Mieroszewski jest wyrocznią narodu polskiego.

Stanowisko Polaków w sprawie granic zachodnich jest zgodne, choć spotkałem się zarówno w kraju, jak i na Zachodzie z wyjątkowymi zdaniem. Różnice poglądów na ten temat istnieją także po stronie niemieckiej. Podczas mego stosunkowo krótkiego pobytu w NRF, nie spotkałem nikogo głośno marzącego o wielkich Niemczech od Saary do Kłajpedy, choć jestem przekonany, że tak myślące jednostki istnieją. W czasie mego długoletniego pobytu w Polsce spotkałem raz młodego aktywistę PZPR-u, który śnił o Rzeczypospolitej Polskiej od Kijowa do Lubeki. Są to jednak skrajne i dzięki Bogu osamotnione głosy.

Wydaje mi się błędem, popełnianym często z polskiej strony, szukania rozwiązań problemu polsko-niemieckiego z nacjonalistycznego punktu widzenia. Ten sam błąd popełnia także część polityków i publicystów niemieckich, ale stanowisko „narodowe” przeważa — zdaje mi się — po stronie Polaków. To „narodowe” stanowisko jest zrozumiałe... Starsza generacja po obydwóch stronach została wychowana w duchu nacjonalistycznym, nawet w duchu nienawiści. To niektórym pozostało. W NRF nowoczesne wychowanie młodego pokolenia kroczy po linii europejskiej, przy czym reguła nie wyklucza wyjątków. Wychowanie w Polsce Ludowej odbywa się nadal w kierunku nacjonalistycznym, a w stosunku do NRF wręcz szowinistycznym. Pomimo tego duch europejski wkłada się także — choć powolnie — do szeregów młodej inteligencji polskiej w kraju.

P. Mieroszewski, a także niektórzy publicyści niemieccy, szukają wyjścia z konfliktu polsko-niemieckiego na drodze nazwijmy nacjonalistycznej, to znaczy mają na celu osłabianie sąsiada. Chyba dlatego p. Mieroszewski propaguje demilitaryzację Niemiec, oraz ich neutralizację. Pomijam neutralizację jako temat, który z powodu braku realnych podstaw słusznie wychodzi z mody. Natomiast demilitaryzacja Niemiec Zachodnich godzi w interesy jednoczącej się Europy. Samo prowadzenie dyskusji w świecie zachodnim na ten temat wzmacnia tylko nadzieję Związku Radzieckiego na opanie całej Europy. Pomijam także propagowane przez p. Mieroszewskiego teorie rewizjonizmu w obozie komunistycznym, które są tak zawile i ezoteryczne, że budzą wątpliwości, czy w ogóle prowadzą do jakiegoś pozytywnego dla Europejczyków celu.

Zbliżenie polsko-niemieckie wymaga dużo cierpliwości i wyczucia z obydwu stron. Dla każdego rozumnego Niemca jest rzeczą oczywistą, że o wysiedlaniu ludności polskiej z terenów za Odrą i Nysą nie może być mowy. Byłaby to ponowna zbrodnia. Ale z drugiej strony, rozwiązanie proponowane przez p. Mieroszewskiego wydaje mi się nierealnym i to z wielu względów. Rozwiązania tej kwestii — wydaje mi się — szukać należy w przyszłej Zjednoczonej Europie. Myśl „europejskiego” rozwiązania tego zawilego problemu nie jest obca poważnej części młodej generacji w Polsce. Z myślą tą spotykałem się już w roku 1956 w Klubach Młodej Inteligencji, podczas pamiętnych dni Polskiego Października. Tylko przez dzieło zjednoczenia Europy wzrosną szanse porozumienia polsko-niemieckiego, a gdy pewnego dnia suwerenna Polska wejdzie w skład nowego tworu politycznego o nazwie „Europa” — zbliżenie narodu Mickiewicza i Chopina z narodem Goethego i Beethovena stanie się rzeczywistością nieodwołalną, tak jak nieodwołalnym jest dzisiaj porozumienie, a nawet przyjaźń francusko-niemiecka, oraz jak nieodwołalnym zjawiskiem politycznym jest coraz szybsze jednoczenie się Europy.

Załączam wyrazy prawdziwego szacunku.

Mgr. Joachim Georg GÖRLICH

Bloomington, 30.IX.1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym zrobić kilka uwag na marginesie recenzji mojej pracy „Polska i mniejszości narodowe 1919-1939” („Kultura”, nr 9, 1962). Recenzent, p. B. Heydenkorn, zadał sobie dużo trudu, aby dać rzeczową krytykę mojej pracy — jestem mu za to bardzo wdzięczny. Każda pozytywna krytyka jest dużą pomocą dla autora.

W pierwszym rzędzie chciałbym zaznaczyć, że ja rzeczywiście nigdy nie pracowałem w polskiej administracji i w tym wypadku faktyczną winę ponosi mój wydawca, który przeholował w odtworzeniu mojej biografii. Niestety nie mogłem zrobić korekty tekstu, zamieszczonego na obwołucie książki. W Ameryce i tak bywa.

Inna sprawa jeśli idzie o poglądy recenzenta odnośnie niektórych stwierdzeń w mojej pracy. Tu jest w pierwszym rzędzie sprawa osobistej opinii i stopień znajomości decyduje przy każdym stwierdzeniu czy uważam. I tak np. nie jest moją winą, że oficjalna polska statystyka nie zasługuje na całkowite zaufanie i w tej sprawie osobiście uważam, że każda dyskusja jest bezcelowa. Ludzie starszego pokolenia dobrze pamiętają technikę spisu ludności i mogliby oni tysiącami przykładów potwierdzić mój sceptycyzm. Ja w każdym razie nie mogę podzielić poglądu p. Heydenkorna w sprawie tzw. „tutejszych”. Już sam termin był i został dyskryminacją i normalnie lokalna prasa polska doskonale wiedziała o kim tu mowa i tylko zła wola czynników rządowych przeszkadzała w pozytywnym rozwiązaniu tego zagadnienia. W dalszym ciągu recenzent robi mi zarzut, że ja głównie opierałem się na stanowisku i reakcjach mniejszości narodowych. Tak, to jest prawda i na str. 181 wyrażnie się do tego przynajm. W trakcie pisania pracy miałem wrażenie, że jeśli idzie o urzędowe stanowisko strony polskiej to jest dużo dostępnej literatury i dlatego zwracałem większą uwagę na

stronę przeciwną by stworzyć pewną równowagę poglądów i prawdy. Przecież moja praca to nie jest wielotomowe wyczerpujące studium, a prędzej jest to opracowanie pewnego specyficznego zagadnienia i to zagadnienie wymaga jeszcze wielu innych opracowań, by w rezultacie dać ostateczny, historyczny obraz Polski z lat 1919-1939. Nie wykluczone, że ja sam, w przyszłości, wróć do tej tematyki i wtedy na pewno wykorzystam niektóre uwagi recenzenta. Wreszcie, niech będzie mi wolno podkreślić, że krytyk słusznie zaznaczył pozytywny charakter mojej pracy w odniesieniu do narodu polskiego, co całkowicie odpowiada moim osobistym poglądom. Niewątpliwie najbardziej pozytywnym zjawiskiem jest fakt zamieszczenia rzeczowej recenzji mojej książki na łamach „Kultury” i to jest najlepszym zadatkem na dobro-sąsiedzkie ułożenie polsko-ukraińskich stosunków. W tym sensie gratuluję Redakcji za ten poważny odgłos z polskiej strony.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Stefan HORAK

Holyoke, Mass., 1.X.1962 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przyznaję, że pismami profesora Adama Schaffa zainteresowałem się dopiero kiedy zacząłem spotykać często na łamach „Kultury” jego nazwisko. Sięgnąłem więc do jego artykułów z ostatnich lat, łącznie z tymi, jakie ogłasza teraz w „Przeglądzie Kulturalnym”. Być może ciekawi Pana reakcja jednego z czytelników „Kultury” na te wypowiedzi kurtuazyjnego jej przeciwnika. Wydaje mi się, że wywody prof. Schaffa miałyby znaczną siłę przekonywującą, gdyby nie

1) Ton namaszczony, przemawianie przez nos, tak że odgaduje się zbyt dużą pewność siebie i przesadne poczucie bezpieczeństwa, wynikające zapewne z faktu, że nikt w Polsce, ani spośród komunistów ani nie-komunistów, nie ośmielił się wskazać na słabe punkty i błędy logiczne w jego rozumowaniu.

2) Zdolność budzenia samym stylem pewnych wspomnień, wskutek czego czytelnik jest zmuszony powtarzać sobie co drugie zdanie: „Człowiek — to brzmie dumnie” i „Największym naszym skarbem jest człowiek” — jak rzekł wielki Stalin.

Z tych powodów otrzymuje się wrażenie, że jest to literatura taktyczna, ważna może i znamienita, ale trwająca tak długo tylko, jak długo trwają okoliczności, które powołały ją do życia.

Racz przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szacunku.

Stefan KUNCE

Londyn, 13 sierpnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Z.S. Siemaszko w liście do „Kultury” nr 7-8/62 dał wyraz poglądom na ujemną według niego rolę „nacjonalizmu polskiego”, który decy-

dująco zaważył na ostatecznym kształcie, w jakim wyłoniła się na arenie politycznej odrodzona po niewoli Rzeczpospolita Polska. Przez myślenie ideo-łącznie kategoriami Polski etnicznej, „wydrwiwanie” i zwalczanie idei jagiellońskiej, nacjonalizm polski skazał swój kraj „dobrowolnie na małość”.

Jako urodzony na ziemiach b. W.Ks.Lit., oderwanych od Rzeczypospolitej w r. 1772 (woj. mścisławskie), postaram się spojrzeć na ten problem oczami nie historycznego „Litwina”, nie „krajowca”, a zamieszkałego tam z dziada pradziada Polaka, świadomego swej przynależności do narodu polskiego i odrębności etnicznej od Litwina i Białorusina.

Przede wszystkim co to jest idea jagiellońska?

Jej pięknym wyrazem jest akt Unii Lubelskiej, stwierdzający obustronną zgodę dwóch suwerennych państw na nowy związek „wolnych z wolnymi, równych z równymi”. Akt ten poprzedziła 183 lata trwająca unia dynastyczna wolnej Polski z wolną Litwą. Po nim — 226 lat scalania się obu państw w jedno, po czym — odcięcie Litwy od Korony, rozczłonkowanie samej Korony i 123 lata walk już nie tylko o ideę jagiellońską, ale o sam byt narodu polskiego w jego granicach etnicznych. To co dojrzewało przez 2 wieki i przeszło 2 wieki kwitło, poddano przez 5 ćwierćwieczy trzebieniu i wyrzucaniu z korzeniami.

Trwanie przy polskości wymagało ofiar. Na Litwie spowodowało to niemal automatyczną segregację. Przy polskości został ten, kto czuł się Polakiem. Stąd — zacieśnienie się elementu polskiego, wyodrębnienie się, wzrost solidarności i poczucia narodowego i odrębności kulturalnej na tych obszarach, które uważał za polskie a gdzie znalazł się w mniejszości jako polskie wyspy, oazy czy samotne posterunki. Każdy kto trwał, zwłaszcza na ziemi, czuł się Mohortem, obrońcą kresowych forpocz polskości. Czy była to szczególna forma nacjonalizmu, wywodząca się z ducha czasu? Dla nas był to pospolity patriotyzm i wypływające z niego obowiązki wobec narodu, którego byliśmy już jako tylko straż tylna nieodłączną częścią.

Niespoliszony kulturalnie element etnicznie nie polski b. W.Ks.Lit. czy tzw. „ziem zabranych” zaczął żyć własnym życiem, a rodzące się „nacjonalizmy” litewski i (słabszy) białoruski — krzepnąć w walce o swoje nowe idee, rodzące się z własnych korzeni narodowych a terytorialnie sięgających poza granice dawnej Rzeczypospolitej. (Białoruś i Ukraina).

Pierwsza wojna światowa ożywiła znacznie polskość na ziemiach kresowych przez napływ uchodźców wojennych z Królestwa, silniej wiążąc tymi żywymi więzami polskość kresową z Polską etniczną, która do nich przysła. Język polski jawnie zabrzmiął we wrogich mu dotąd murach szkół rosyjskich i na ulicach miast i miasteczek. Rozwija się harcerstwo, jeszcze konspiracyjne. Polskość wyżywa się. 3 maja 1917 pierwsze (i jedyne) w historii Mohylewa uroczyste przedstawienie „Dziadów” w teatrze miejskim.

Z posuwającą się za Dniepr armią niemiecką przyszedł w mundurach niemieckich Polacy z Wielkopolski. Nie było ich dużo, ale wzniciili zainteresowanie dalekimi i obcymi niemal kresami zachodnimi Polski. Dotąd widzę przed oczyma „Kurier Poznański”, rewelację na głębokiej prowincji Mohylewskiej, w Białyniczach.

Gdy pod koniec 1918 r. na ziemiach dawnej Korony wstawała do niepodległego życia nowa Polska, między nowym ośrodkiem politycznym — Warszawą i nową, ale wciąż tą samą zaborczą Moskwą nie było dawnego Wilna czy Kijowa. W.Ks. Litewskie leżało w gruzach. W dawnych Inflantach i Żmudzi powstawały Łotwa i Litwa, a na południu Ukraina nad-dnieprzańską jako nowe ośrodki, świadomie przeciwne tradycji jagiellońskiej jako godzącej w ich samodzielną kulturalną i polityczną. Bierny w gruncie rzeczy był tylko element białoruski, w zarysowującej się próbie sił polsko-

rosyjskich nie angażujący się czynnie po żadnej stronie, chyba że dał posłuch hasłom walki klasowej (w mniejszym stopniu dotyczyło to także i Polaków).

Łotwie Polska oddała wywalczony przez Polaków Dźwińsk. Nie poszła na ustępstwa wobec roszczeń Litwy do jej obszarów historycznych. Oprócz Ukraińców naddnieprzańskich na południu, na północy jedynie Litwa zwalczała czynnie polskie pretensje do Wileńszczyzny. Obawy „wąskiego nacjonalizmu” litewskiego nie były w gruncie rzeczy czymś nowym. Jeszcze przed unią lubelską Litwa domagała się od Zygmunta I wystarania się o koronę królewską dla Litwy, „wówczas bowiem Polska Litwy nie pochłonie” (Konopczyński). Epizod Petlury dowiódł bierności Ukrainy naddnieprzańskiej. Ostatecznie więc zmagania zbrojne na ziemiach b. W.Ks. Litewskiego sprowadziły się do kolejnego etapu historycznych zmagani litewsko-a potem polsko-rosyjskich, biorących początek od XIV w. gdy na Kremlu zrodziła się idea Iwana Kality „sobirania ziemi russkoj”.

Domagać się od Polski w 1919-20 latach zrealizowania idei jagiellońskiej to znaczy domagać się, by Polska: 1) wywalczyła własną niepodległość, 2) wywalczyła wolność innych, 3) zjednoczyła ich w związku „wolnych z wolnymi” i 4) pobiła jednocześnie przeciwnika czynnie przeciwstawiającego się realizacji pierwszych trzech etapów. Polska, omal sama nie znokautowana, wyszła z zapasów zwycięska, nie na tyle jednak, by mogła dyktować warunki pokoju. Traktat ryski był kompromisem polsko-rosyjskim i wypadkową ówczesnych sił głównych rywali.

„Szansa wielkości została stracona” — pisze p. Siemaszko.

Można by stawiać podobne zarzuty narodowi polskiemu, gdyby biernie poddał się dyktandu twórców traktatu wersalskiego, nie wychodząc ani na milę poza granice etniczne Polski, tak jak je widzieli Lloyd George i jemu podobni. Ale przecież ani Dmowskiemu w Wersalu ani Piłsudskiemu na polach bitew nie marzyła się „narodowa małość”. Wschodnia granica Polski, o którą walczył dyplomatycznie Dmowski, była bliska granicy Rzeczypospolitej sprzed drugiego rozbioru. Oparcie przez niego roszczeń Polski na zasadach historycznych i zamieszkałym te obszary elementem polskim szło wbrew „duchowi czasu”. Było nim hasło „samostanowienia narodów”. W oczach polityków zachodnich nasz marsz na wschód na obszary z polską mniejszością etniczną był wyrazem naszej zaborczości, i nie znalazł zrozumienia. Realizacja idei jagiellońskiej przez Piłsudskiego na polach bitew nad Dźwiną, Berezyną i Dnieprem, czyli niemal na linii Dmowskiego, a więc realizacja w jedynie skutecznej formie walki zbrojnej i faktów dokonanych orężem na miejscu, a nie w formie przetargów w kancelariach dyplomatycznych — też zawiodła. Zadanie — jak się okazało — było ponad siły polskie i te niewielkie nie polskie, które walczyły o własną niepodległość w oparciu o Polskę.

Skoro o wielkości narodów decyduje nie wielkość idei czy wzniosłość uchwał ale zwykła, ordynarna, fizyczna siła zdolna do wcielenia idei w życie, w odpowiednich ku temu warunkach, przeto i narodowa „wielkość” czy „małość” jest funkcją mocy tej siły w danym momencie historycznym. Dlatego też o „małość narodową” drugiej Rzeczypospolitej nie obwiniałbym „wąskich nacjonalizmów”, polskiego i pobratymców. Jest to cena, którą zapłaciła Polska za półtorawiekową nieobecność w roli gospodarza na swych ziemiach. „Szansa wielkości” została stracona znacznie wcześniej. Wtedy, gdy w obronie „złotej wolności” trzeba było walczyć nie z własnymi królami, ale „zaciskać pasa” by nie pozbyć się wielkości zapracowanej przez Jagiellonów.

Wolno mieć taką lub inną ocenę wyrobienia politycznego u przywódców wywalczającego niepodległość narodu, nie można jednak narodowi

odmówić jednego: że był „kowalem własnego losu”; wykuł Polskę inną, niż ją chcieli widzieć i sojusznicy i wrogowie. Dlatego nie bardzo rozumiałem u Polaka skłonności do przyznawania racji Mołotowowi szkalującemu Polskę jako pokrakę wersalską. Granicy polsko-rosyjsko-ukraińskiej nie dyktował Wersal. Podwaliny pod pokojowe współzycie polsko-rosyjskie kładł traktat ryski (w dwa lata po Wersalu — wzmocniony potem paktem o nieagresji) likwidując — wedle słów przewodniczącego delegacji sowieckiej — „politykę gwałtu caratu”. Wznawiając w r. 1939 politykę gwałtu tym razem czerwonego caratu, wygodniej było nawet z Rosji robić ofiarę dyktatu wersalskiego, a Polskę — tego dyktatu narzędziem...

„...Dopiero w r. 1945 Rosja zdołała ostatecznie odebrać Polakom ideę jednoczenia terenów położonych między Rosją i Niemcami...” — pisze p. Siemaszko. Mówiąc zgodnie raczej z historią. Polska sama, po nieudanej próbie sił, zrezygnowała z tej idei w r. 1921 w traktacie ryskim i między Niemcami i Rosją stanęła sama. Zmiażdżona przez Niemcy i Rosję w r. 1939 odrodziła się w niewoli w położeniu jakby lennej Korony czy raczej Polski przedunijnej. Na wschód od niej zamiast W.Ks. Litewskiego są teraz również niewolne Litwa, Białoruś i Ukraina. Nie było ich w 1918 r. Dziś mają za sobą 44 lata.

W r. 1945 Moskwa zrealizowała nie tylko ideę „zbierania ziemi ruskiej” i „złaniania w rosyjskim morzu słowiańskich rzek”, ale weszła na drogę poszerzania sowieckiego morza w komunistyczny ocean.

Wbrew p. Siemaszce — historia narodów żyjących nie zna pojęcia „ostatecznie”. *Tempora mutantur...* Chodzi o to, by tym zmianom czasów towarzyszyła równoległa ewolucja idei politycznych, zwłaszcza tak szacownych jak idea jagiellońska...

Łączę wyrazy poważania.

Antoni RAWICZ-SZCZERBO

Orlando, dn. 17.9.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Cuchnący rodzynek” p. Szternal w nr. 9/179 „Kultury” dotyczący noweli pt. „W dzień śmierci jego...” zakreślił mi swym odorem w nosie! Wprawdzie wspomniana nowela nie wprawiła mnie w cielący zachwyt. Powiem szczerze — wręcz przeciwnie, ale...

...nie czułam się zmuszona czytać ją do końca. Uczyniłam to całkowicie dobrowolnie i wątpię, aby p. Sz. ktokolwiek do czytania „zniewalał”. Stąd wniosek: p. Sz. czytał z własnej, nieprzymuszonej woli ponieważ c o ś go w tej „nieobyczajowej szmirze” zainteresowało i o to szokujące uczucie wydaje się mieć żal do autora i „Kultury”.

...To że dał czytać niedorośli coś co uznał za niewłaściwe, jest wyłącznie własnym niedopatrzaniem p. Sz., o które śmieszne jest obwiniać redakcję „Kultury”.

Tak już jest że to wychowawcy powinni kierować i kontrolować indywidualnie programem lektury niedojrzałych, nie zaś wydawcy i redakcje uprawiać generalną cenzurę obyczajową, przyczynając poziom publikacji do poziomu nieletnich. Tym bardziej, iż „Kultura” pomyślana jest dla dorosłych i stosowanie ograniczeń: „bo ktoś nie dojrzały mógłby przeczytać”, jest typowym amerykańizmem prowadzącym do obniżenia — nie podniesienia

— poziomu, z gatunku owych niezbyt świątłych wyroków sądowych, które zabraniają sprzedaży książek Henry Miller'a aby uchronić dzieci przed zgorszeniem.

Jako stała prenumeratorka „Kultury” od pierwszego dnia jej istnienia (czyli od n. 1/1) protestuję przeciwko demagogii czytelników próbujących narzucić redakcji swe własne kryteria literackie i moralne i proszę o dalsze umieszczanie nowel i artykułów, które mogą mnie osobiście nie wprawiać w zachwyt.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Barbara SZUBSKA

Chicago, 22 września 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Śmigłego („Kultura” nr 9/179.1962) proszę Pana o zamieszczenie mojego wyjaśnienia i sprostowania:

Rozumiem szok i oburzenie p. Śmigłego wypowiedziane w liście do Redakcji „Kultury”. Znam mi jest to uczucie. Wyrok kary śmierci za niepopelnione zbrodnie boli bardzo. Niemniej potknięcia należą także do cech ludzkich i nikt nie jest od nich wolny. Potykam się więc i ja. Tym razem jednak nie mogę uderzyć się w piersi, gdyż nie ja uśmierciłem (żyjącego jeszcze), p. Śmigłego.

Wyrok kary śmierci za bandytyzm w mojej książce „wydała” na p. Śmigłego drukarnia, a przegapiono to w korekcie. Po prostu pomyłono pseudonimy. Bowiem zamiast strz. Śmigły winno być: ŚMIAŁY. I tak też brzmi w moim maszynopisie, który jest u mnie oraz w drukarni i jest do wglądu p. Śmigłego. Następnie, w posiadaniu Redakcji „Kultury” jest oświadczenie drukarni, potwierdzające ów błąd.

Tyle na temat pomyłki „w druku”. Łudzę się, że będę wytłumaczony wobec p. Śmigłego i opinii. Gorzej natomiast jest — wydawać by się mogło — z zarzutem postawionym mi przez p. Śmigłego co do niedotrzymania danej mu obietnicy, tj. „sprostowania i naprawienia jego krzywdy moralnej”...

Otóż, samym faktem i pretensją p. Śmigłego (wyluszczoną mi przez niego w niezbyt grzecznej formie i to w miejscu publicznym) byłem nie mniej zaskoczony niż sam żyjący „nieboszczyk”.

Prawdą jest, że przyrzekłem p. Śmigłemu sprawdzić i sprostować, prosząc przy tym pokrzywdzonego o adres i kontakt ze mną.

Sprawdziłem maszynopis książki i stwierdziłem w nim: „strz. ŚMIAŁY”. Wygrzebałem „Kulturę” (paryską), rok 1951, nr 6/44, w której pisałem na ten temat. Stwierdziłem, że brzmi tam: „strz. ŚMIAŁY” (strona 137). Dla pewności jednak i w obawie aby nie być znów uderzonym — tym razem z kolei przez „żyjącego” Śmiałego — zadałem sobie nieco trudu nad odnalezieniem Książki Rozkazów „z tamtych czasów” (zachowała się takowa i jest tu na emigracji). I w tym dokumencie pod datą 5 listopada 1944 roku, w Rozkazie Dziennym nr 83 wyczytałem:

„Wyrokiem Sądu Polowego został skazany na karę śmierci strzelec Śmiały, za kradzież różnych rzeczy... Wyrok wykonano”.

Z kolei dokonałem próby skontaktowania się z p. Śmigłym, aby mu to wszystko zakomunikować i omówić z nim sposób „sprostowania i naprawie-

nia...” — niestety Pan Śmigły po rozmowie ze mną i po opuszczeniu Chicago zatarł ślady po sobie, nie zostawiając mnie ani nikomu ze znajomych swojego adresu. Dopytywałem o niego pp. Rutkowskich, pp. St. Kowalskich i p. Biegacza. Poszukiwałem go przez kolegów w Kanadzie, między innymi przez K. Jacha w London, Ont. — bez skutku. Wreszcie po kilku miesiącach p. Śmiały napisał kartkę do p. Biegacza, z adresem nadawczym: „Hotel w Toronto”. Napisałem do niego na „Hotel”. Mój list nie wrócił. Nie nadeszła też odpowiedź p. Śmigłego...

Czy zatem Panie Śmigły ma Pan podstawę posądzać mnie o złą wolę, chęć wymigiwania się, czy o brak poczucia odpowiedzialności? Mimo to przepraszam Pana za wyrządzoną Mu — mimo woli — krzywdę. Przepraszam bardzo!

Łączę wyrazy szacunku.

W. ŻBIK-KOŁACIŃSKI

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwia wysyłkę W O L N Ą O D C Ł A
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani NATYCHMIAST, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Tazab House

LONDON, S.W.7.

22, Roland Gdns.,

Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue.

NEW YORK, 3

ALgenquin 4-4161

P E K A O

PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PACZKI DO WYBORU
WOLNE OD CŁA

Przekazy pieniężne i paczki P.K.O. NIE PODLEGAJĄ ŻADNYM OPŁATOM CELNYM ANI PODATKOWYM bez względu na wysokość przekazywanych kwot.

W ramach przekazanej kwoty odbiorca może wybrać potrzebne mu towary z magazynów P.K.O. lub podjąć równowartość w gotówce. Realizacja przekazów pieniężnych może być dokonana w następujących placówkach P.K.O.: Warszawa, Kraków, Rzeszów, Kielce, Wrocław, Szczecin, Gdynia, Łódź, Tarnów, Poznań, Białystok, Bydgoszcz, Lublin, Katowice, Nowy Targ.

Równowartość £. przekazem P.K.O. waha się w granicach £ = 201 złotych (\$ = 72 zł.).

Najniższa kwota, którą można przekazać jest £ 5 — (\$ 14.00). Do każdego zlecenia należy dołączyć opłatę manipulacyjną, pobieraną przez Bank P.K.O., w wysokości 7/- (\$ 1.00) BEZ WZGLĘDU NA WYSOKOŚĆ PRZEKAZYWANEJ KWOTY. Zlecenia te mogą być przekazywane telegraficznie za dodatkową opłatą 10/- (\$ 1.50). Przez posiadanie własnej stacji telegraficznej Telex No 23919 zamówienia wykonuje się natychmiast z jednoczesnym potwierdzeniem odbioru przez P.K.O. — Warszawa.

Zlecenia P.K.O. prosimy przekazywać wraz z należnością, podając czy wpłata jest na *przekaz gotówkowy* (tzw. SKUP czy „DO WYBORU” towar z cennika P.K.O. Adres odbiorcy winien zawierać PEŁNE IMIONA i NAZWISKO.

Termin realizacji przekazu: zwykły — około 3-ch tygodni, — telegraficzny — około 3-ch dni.

Przekazujemy do Polski EMERYTURY, OSZCZĘDNOŚCI i SUMY SPADKOWE.



PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

HASKOBA Ltd.

121 Earls Court Rd., London, S.W.5. ENGLAND

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1962



PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg

ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires

AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney

BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..

BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; **Seweryn A. Hartman**, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. **J. Orciuch**; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.

FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.

HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538

IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40

KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Radomski**, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; **M. Król**, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « **Zwiazkowicz** », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; **W.T. Drymmer**, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407.

MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350. dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855

NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1

NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.

SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431

SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm

U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7 Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 124 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 153 Broad Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740.

W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11

WLOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czkiem lub przekazem pocztowym.

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	Roczna
55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh
7 sh. (a)	£.A.2.0.0	£.A.3 15.0
45 fr. b.	240 fr. b	450 fr. b
	5 dol. am	9 dol. am
3,50 NF	19 NF	37 NF
3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol
3,85 NF	21 NF	41 NF
1 dol.	5 dol.	9 dol
1 dol.	5 dol	9 dol
4.- DM 5 sh. 6 d.	22 DM 31 sh.	40 DM 60 sh.
3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
5 kor.	25 kor.	45 kor
1 dol.	5 dol.	9 dol.
5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Rol,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

TOM LXXXIII

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

„Jest to zbiór dokumentów dotychczas niepublikowanych, dotyczących okresu 1956/57. Trzeba było wielu lat nieustannych wysiłków i zachodów, by zdobyć te materiały. Wśród tych dokumentów Czytelnik znajdzie nieznanne „białe kruki”, jak na przykład słynny artykuł Stefana Kurowskiego pt. „Apatia — czyli w poszukiwaniu celu”, który ukazał się w skonfiskowanym w całości przez cenzurę ostatnim numerze „Po Prostu” z dnia 7 września 1957 r.”.

Stron 200

Cena egz. 10 NF (15/-; \$ 2,25)

**PRZYPOMINAMY NASZYM
CZYTELNIKOM, ŻE 3-CI “ZESZYT
HISTORYCZNY” UKAŻE SIĘ W
STYCZNIU 1963 I PROSIMY O
NADSYŁANIE WPŁAT NA R. 1963
MOŻLIWIE PRZED KOŃCEM RB.**